


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

HRABINA COSEL

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM PIERWSZY

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Na królewskim zamku w stolicy saskiej jakby wszystko wymarło: cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzieś liść żółknie na drzewach i rzadko wieją wiatry chłodne, dni bywają weselsze jeszcze, a nocy jasne i ciepłe.

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianym tle, jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, gasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się strażnicy milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta, zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba, w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne: nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę. Król, zrzuty niemal z tronu, wygnany z królestwa, wrócił na kurfirstowskie gniazdo opłakiwać swe straty, wysypane próżno miliony i srogą niewdzięczność Polaków. Sasi nie mogli pojąć, by tak szlachetnego i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz „niewdzięczność” nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu. Wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecji i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezno po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku. Dlaczego, nikt nie wiedział. Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął. Mówiono nawet w mieście i na dworze, że na przekór Szwedowi August nakaze bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść, że swej chwilowej przegranej nie brał tak bardzo do serca.

Rzadcy przechodnie, przesuający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wcześnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Kto by wszakże, minąwszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się, iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie.

Strażnicy tu nie wpuszczali nikogo.

Na pierwszym piętrze, mimo wichru, okna były szeroko poodmykane. Zza obsłon, którymi na pół tylko były okryte, rześiste światło jarzące migało, odbite mnóstwem zwierciadeł, a

chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawiała, i obiwszy się o szare mury powoli słabym obumierał echem.

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie. Nagle, jakby po przebrzmiałej mowie, zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją kto posłyszał i drugim, szyderczym odpowiedział śmiechem. Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła pod oknami, stawiała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię.

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy.

Tam król się weselił.

Od powrotu z Polski takie ucztę wieczorne, nietłumne, w gronie kilku poufałych ludzi – nazwijmy ich przyjaciółmi – bywały częstsze niż dawniej. August Mocny, zwyciężony przez dziwnego, półgłówkiem zwanego, Karola XII, wstydził się oczu pokazywać w licznych zebraniach: zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku. Naówczas przynoszono węgrzyna złocistego, po którego umyślnie słano na Węgry co roku, ustawiano puchary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy wszyscy z krzeseł pospadali, a króla Hoffmann pod rękę, śmiejącego się, do łóża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa magiarskiego niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku pucharach dla tych, których nie cierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał herkulesową, gniew – olimpijski, a władzę – nieograniczoną. W dniu powszednie, z rana, gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę i oczy błysły, i wargi zadrżały, i odwracał się nie patrząc na tego, co go tak rozplomienił, ale po kielichu niejeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać.

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana ani słodszy, ani łaskawszy dla wszystkich. Uważano nawet, że im kogo mniej znosił, tym dlań uśmiech miał miłszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ścisnął ich jeszcze jak najłepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się toć przecie panu potrzeba było koniecznie. Cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, lub podpijano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryzli?! Ten rodzaj rozrywki najmiłszym był panu, a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku. Niewinność to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził, ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem, nawet co zamyślał który z dworaków; jeśli nie wiedział, to odgadł. Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy. Kończyło się na tym, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna, a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzył z góry na komedię życia, nie gardząc w niej olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apollina, wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król się czuł tak smutnym i znudzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i pucharami jaśniejący bufet, z królującą, srebrną, o złotych obręczach, baryłą, długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia – Wackerbarth, wreszcie domowi, Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstenberg,

Imhoff, Friesen. Vitzthum, i Hoym, i niezrównany w żartach, niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny, a umiejący rozśmieszyć, choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan.

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękną jego twarz, zwykle jasną, oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim. Kilka flasz próżnych świadczyły, że biesiadować nie teraz dopiero poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju. Bursztynowy płyn nie rozłocił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy, aby pana rozbawić; nic to nie pomagało: August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego, bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Z ukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze.

W drugim końcu siedział niepozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparł, nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzdychał. Był tak smutny, że się wydawał śmiesznym.

– Słuchaj – szepnął Fürstenberg, trącąc łokciem Wackerbartha (obaj już byli dobrze podchmieleni) – widzisz ty Najjaśniejszego Pana? Żle jest, nie może go dziś nic rozweselić, jedenaasta godzina, do tej pory powinien by już być w różowym humorze. Nasza wina.

– Jam tu gość – odparł Wackerbarth ruszając ramionami – to nie moja rzecz. Wyście, znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyślić powinni.

– Znudził się Lubomirską, oczywista rzecz – dodał z boku Taparel.

– Nie, bo przyznam ci się, że i tych Szwedów strawić trudno – szepnął po cichuteńku Wackerbarth. – Ja mu się nie dziwię.

– Eh, eh! Szwedów! Zapomnieliśmy tymczasem; pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, my przyjdziem tylko zbierać owoce – począł, trącąc w kielich, Fürstenberg. – Nie Szwedy go gryzą, ale już Lubomirskiej ma dosyć. Trzeba mu inną znaleźć.

– Czyż o to trudno? – szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth.

– Ano, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterlę wyszukać! – rozśmiał się Lagnasco.

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszeć nie było, bo król zdawał się przebudzać jakby ze snu i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem. Nie potrzeba było więcej, ażeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa współbiesiadników wcale nie wiedziała, z czego najjaśniejszy pan rozśmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

– Kyan! – krzyknął król. – Co ci jest? Czy cię kochanka zdradziła? Czyś goły? Czy ci nieprzyjaciół wpił się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr o sześciu świecach do połowy zgaśł od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

– Kyan, co ci jest? – zapytał król.

– Najjaśniejszy Panie – odparł baron – osobiście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zazdrosny, ale rozpacz mnie morduje.

– Cóż się stało? Mów! – począł król.

– Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję! – odparł poważnie Kyan. – Tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożym obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałym, z męstwem niezłomnym, stworzony, aby świat ci, u stóp leżąc, służył, nie masz nic.

– Tak, to prawda – rzekł August chmurząc brew.

– Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy. Kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśniej, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem rad byś odetchnąć w wesołym kółku, przynoszą ci wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaś mnie, co cię kocham, rozpacz porywać?!

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puchar i stuknął nim o stół. Zza kredensu wybiegły dwa karły jak jeden i stanęły przed królem.

– Słuchaj, Tramm – zawołał August – każ podać gąsior ambrozji! Kyana robię podczaszem. Wino, któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozją zwał się węgrzyn królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić kazał. Było to wino nad winą, niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzymą.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny Murzyn we wschodniej odzieży, na srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

– Kyan, gospodaruj! – zawołał.

Kyan wstał. Karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu: szepnął im coś i małymi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwili zjawili się z nowym szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, który zna wagę zleconych sobie obowiązków, Kyan jął się ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości, królewski; dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze, ministerialne kielichy, poza nimi drobniejszych rozmiarów, jak na żart, niby naparstki w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki śmieszne.

Wszyscy patrzeli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów, i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił najprzód wszystkie drobne. Niewiele one na pozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolej szła na ministerialne. Wśród powszechnego milczenia podczaszki sumiennie i te wszystkie nalał pełną. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski, wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

– A, dobry z waćpana podczaszki! – rozśmiał się król. – Dla ciebie ja jestem ostatnim. Cóż to ma znaczyć?

Śmieli się otaczający.

– Najjaśniejszy Panie – odezwał się, stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru – jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią co dzień z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszeń nalewa, potem starszyzna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puchar, tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłonie, patrząc szydersko po przytomnych.

– Kyan! Twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą!

Murzyn niósł już na tacy ambrozję. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno: z ukosa spoglądano na Kyana, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana, hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

– Mówmy o czym innym! – zawołał.

Fürstenberg wstał.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł – godzina nadchodzi, w której o niczym innym mówić się nie godzi, tylko o tym, co dniowi i nocy króluje – o kobietach.

– Doskonale – poparł król – każdy niech swoją kochankę opisze. Fürstenberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się, wymówił król te słowa. Po twarzy Fürstenberga przebiegł grymas.

– Dane mi pierwszeństwo – odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec – dowodzi tylko, że przed okiem argusowym naszego Najjaśniejszego Pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię, i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy Panie – dodał, ręce składając, Fürstenberg – proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

– Nie, nie! – poczęto dokoła. – Portret być może bez podpisu, jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz Pana święty i nieodwołalny. Maluj, Fürstenberg!

Wszyscy po trosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że spod różu i bielidła twarzy jej widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstenberg właśnie grosza potrzebny. Wszyscy wiedzieli, że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstenberg ociągał, naglić tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i wskazując na Fürstenberga, powtórzył:

– Nie ma litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi młody roztrzęsaniec wychylił swój kielich do dna.

– Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie – zawołał – możeż mi kto zaprzeczyć, znaż kto, co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada?! Moja kochanka należy do bóstwa, bo jej jednej nie zagraża to, co wszystkim innym! Piękność jej dojrzała, jaką jest, pozostanie na zawsze. Żąb czasu skruszy się o marmurowe jej kształty.

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy nie milego wyrazu. Małe jego oczki, świdrujące, gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyżółkły, w tej chwili dopiero po ambrozji nieco rumieńca nabierał. Hoym słynął z donżuaństwa, ale jego miłostki od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano, że się ustatkował.

Chodziły wieści, iż się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jej nikt: siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony, przez dni kilka dotrzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno napity. Poznać to było łatwo po mimowolnych głowy jego ruchach, po wysileniach, z jakimi dźwigał ręce ociężałe, po uśmiechu ust krzywym, po przymykających się powiekach i całej postawie zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla króla i jego towarzyszków ministra od akcyzy schwytać w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

– Kolej na Hoyma – rzekł król. – Hoym – dodał – znasz mnie, nie ma wymówki. Wiemy wszyscy, żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez miłości żyć nie możesz. Poza te ściany nie wychodzi nic. Spowiadaj się!

Hoym głową na wszystkie strony wykręcał, a ręką z próżnym bawił się kielichem.

– He, he! – zaśmiał się.

Z cicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust i wypił z tą bezrozumną chciwością, właściwą już napitym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

– Heę, he! – począł bełkocząc. – Chcecie wiedzieć, jak wygląda moja kochanka, ale ja, mili panowie, nie mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam za żonę boginią!

Rozśmieli się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

– Śmiejecie się – mówił Hoym – kto jej nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę, że i Wenus obok niej wydałaby się praczką z przedmieścia. Mogęż ja ją opisać? W jednym jej oku czarnym jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny oprzeć mu się nie potrafi. Postać jej Praksytelesa dłuto by zawstydziła, na jej uśmiech nie ma wyrazu, ale to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie rozkwita co dzień.

Kiwali głowami przytomni niedowierzająco, Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.

– Opiszże ją lepiej: to są westchnienia, nie obrazy.

– Któż opisze doskonałość! – dodał Hoym z podniesionymi w sufit oczyma. – Wszystkie piękności ma, a żadnej wady.

– Gotówem uwierzyć, że piękna – zawołał Lagnasco – jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niej kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

– Przesadza! Pijany jest! – przerwał Fürstenberg.

– Jak to, piękniejsza od księżnej Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwym okiem mierząc króla, ale król rzekł spokojnie:

– Tu nie ma innych względów nad prawdę. Piękniejsza od Lubomirskiej?

– Najjaśniejszy Panie – krzyknął, unosząc się, Hoym – księżna jest kobietą piękną, a moja żona jest boginią! Na całym dworze, w całym mieście, w całej Saksonii, w Europie – drugiej takiej nie ma!

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiała sala.

– Jaki zabawny Hoym pijany!

– Jaka pocieszna akcyza pijana!

– Co za nieoszacowany człowiek!

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod wpływem ambrozji i zapominał się, gdzie był i przed kim to mówił.

– Śmiejecie się! – zawołał. – Znaie mnie przecie wszyscy, sami mnie donżuanem nazywacie. Oddajecie mi tę sprawiedliwość, że na piękności niewieściej nikt się lepiej nie zna nade mnie. Dlaczegoż bym miał kłamać? To bóstwo, nie kobieta! Dość jednego jej oka, aby w najzimniejszym łonie pożar zapaliło; jej uśmiech...

To mówiąc, spojrział mimowolnie na króla. Wyraz twarzy Augusta, chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo, przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Rad by był się cofnąć, lecz nie mógł sobie zadać kłamu i jak stężały zamilkł poblaski. Próżno śmiechami i wywoływaniem starano się go zmusić, by szedł dalej. Hoym ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozji, stuknięto w kielichy.

– Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! – zawołał Fürstenberg. – Teraz zdrowie Najjaśniejszego Apolina naszego.

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc. Hoym wstał chwiejąc się i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło, wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskim stał Fürstenberg, którego król „Fürstchen” przez pieszczotę nazywał i w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apollo odwrócił się ku niemu:

– Fürstchen – rzekł cicho – akcyza nie kłamię, od lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem. Trzeba go zmusić, aby nam ją pokazał. Użyj takich środków, jakich chcesz; niech kosztuje najdrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürst się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu, i innym na rękę. Panująca dotąd królewska kochanka, *en titre*, księżna Teschen, miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku pałac na Pirnajskiej ulicy odziedziczyła, a Fürstenberg, choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom, dobijającym się serca króla, gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiej niezbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście i ton zaczynały nudzić króla, który wołał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach. Fürstenberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale wsparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha.

– Kochana akcyzo! – zawołał głośno. – Wstyd mi za ciebie, kłamałeś bezwstydnie, i to wobec Króla Jegomości; żartowałeś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego łotra, jak ty, i kobieciarza nie może być kockodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ją porównywać – to były żarty!

Hoymowi znowu wino grało w głowie.

– Com mówił – rzekł z gniewem – to była prawda! *Tausend Donnerwetter! Potz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufalej król wszystko przebaczał. Po pijanemu prości śmiertelnicy chwyтали go za szyję i całowali, nie lękając się, by ich Goliat zdusił w objęciach.

– Stawię tysiąc dukatów w zakład, o – krzyknął Fürstenberg – że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może!

Hoymowi dolewano wina, akcyza piła z rozpaczy.

– Trzymam zakład! – zgrzytnął zębami blady i pijany. – Trzymam.

– Sędzią... ja będę sędzią! A sądu zwlekać się nie godzi – wyciągając rękę dodał August. – Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi.

– Hoym, pisz! Kurier królewski powiezie list do Laubegast – dodał ktoś z boku.

– Pisz list natychmiast! – zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron.

W jednej chwili podsunęto mu papier, Fürstenberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśliwy Hoym, w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział, jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk. Ktoś po schodach zbiegł w dziedzińce, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

– Fürstenberg – szepnął August – ja widzę po Hoymie, że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła. Trzeba go spoić na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył.

– Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam – dodał książę.

– A ja nie – spokojnie rzekł król – czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A taki byśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili!

Uśmiezek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się skupiło z kielichami. Wyzywano go, wymyślano toasty, dolewano ambrozię różnymi, z flaszek podstawianych kryjomo dobowanymi, płynami i w pół godziny Hoym blady jak trup, z głową zwieszoną, z usty okropnie otwartymi spał leżąc na stole. Hajducy królewscy na dany znak ponieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże raczej niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnajską ulicę, położono go w jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak, wcale się nie przebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali po wyniesieniu tego trupa rozpoczęła się dopiero bachanalia, przy zamkniętych drzwiach, w ciśniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajducy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecię do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety! Wszystkie jego rysy aż do najdrobniejszych są prawdziwe!

Fürstenberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę tylko, aby ochłodzić głowę, i zamyślił się głęboko, mówiąc do siebie:

– Będziemy tedy mieli nowe panowanie. Lubomirska nadto się też wdawała w politykę, mogła opanować króla... Na co mu rozumna kochanka? Niech go tylko bawi i kocha! To jej powołanie. Zobaczymy Hoymowę...

II

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach, w czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma, do którego on się czasami z domu swojego wykraślał, aby tu spędzić wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod niebytność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie owego czasu: z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuski, z wyginanymi ozdobami i floresami, po murach. Sprowadzeni ze stolicy murarze ukрасili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała krata żelazna w słupach murowanych, na których stały piękne wazony kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie, grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu, z galerią kamienną, przybraną w wazony i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko zza drzew, ale smutnie jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia ani licznych sług, ni ruchawego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu zza płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytem zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnymi, jasnymi, bystrymi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swej młodości, piękności i dumy, mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutną przy tej powadze jak żałobny posąg, zdjęty z grobowca. Nigdy się nie uśmiechnęło jej oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselej w niebo. Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki, których ani zrywała, ani się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzona. Wiedziano, że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta, nie widując prawie nikogo, oprócz siostry Hoyma, Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne, że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla, a nadzieję pozostania w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej odsuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jej jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jej zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie, i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale za to namiętności w nim nie wywoływały burzy. Hoym, zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu podżegany, znużył się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie i chciał ten skarb mieć zatajonym przed oczyma ludzkimi. Tylko gdy króla i dworu nie było w Dreźnie, pani Hoym miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoiło ją dumą, żółcią, goryczą, smutnymi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwacznym. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte, jako wyczekiwanie równie samotnego zgonu; a była jak anioł piękna i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech, i ci, co ją z dala widzieli, nie daliby jej z twarzy dziecinnej niemal ani ośmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszym życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta nieśmiertelna dziewiczość bratowej gniewała. Gniewały ją i inne jeszcze w niej przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda intrygi i kłamstwa, królewski majestat, z jakim z góry swej potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, może by jej nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła jej wzajemnie, wstręt do niej czując instynktowy. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę. Przez samą panią Vitzthum, po cichu szepczącą nieraz tajemne skandaliki, wiedziała Anna Hoym, że mąż nie był jej wiernym. Mogła go łatwo jednym czulszym wejściem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jej pewną; nie chciała. Wydał się jej już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną, gdy przyszło do otwartej kłótni, czuł się tak słabym, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dnie w Laubegast. Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodziny. Lecz rodzina nie była jej bardzo przychylną: ojca i matki nie miała od dawna, a księżna Brunświcka, z domu Holsztetin-Plön, czyby ją znowu na dwór przyjęła? Głośnie tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletniej jeszcze Anny, którą ksiądz Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jej piękności cudnej chciał pocałować i... dostał publicznie prawie policzek.

Nie miała się więc gdzie podziać biedna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którym trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, kilka lat przechadzając się ponad brzegami Elby, nad którymi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniacza czereda otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tym swym ustroniu, że ją żadne niemal nie postrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wisiał, niż trzymał się na dworze Augusta, a dostał się nań prawie mimo woli i mimo woli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów, co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniótl w ręku puchary, łamał talary i kruszył podkowy, przy obiedzie w Piekarach, po odbytej ceremonii przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającej przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się z niechcenia pono ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero początki jego w Polsce; rzekł tylko, iż ciekawy był widzieć współzawodnika w sile, bo go jako żywo nigdy w życiu jeszcze nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę, pochodzącego bodaj z wielkiej

a niegdyś bardzo możnej rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa, po koronacji przedstawić. Ale rzecz przy tylu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup by jej nie wznawiał, postrzegłszy się, iż niezręcznie z tą paralełą wystąpił, gdyby sam król nie narpał się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego pana Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jako tako u jezuitów dokończył, wałęsał się sam nie wiedząc, co począc z sobą. Do wojska by był rad szedł, ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypadało. Po długich więc poszukiwaniach w mieście udało się Zaklikę odkopać gdzieś po niewoli pasującego się z piórem przy kancelarii. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nierad musiał kazać oporządzić od stóp do głów i dopiero sam obejrzawszy, że mu wstydu nie robi, trzymał w pogotowiu. Król najczęściej z tą siłą przy ucztowaniu występował, gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworacy zawsze na ten eksperyment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „A gdzie wasz siłacz, mój ojcz?” Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębczak, smukły, rumiany, hoży, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim herkulesem. August, spojrzawszy nań, począł się uśmiechać. Że był szlachcic, przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francusku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szcześnie tu słów nie było potrzeba. Stały dwa puchary srebrne, jednakowiusieńkie przed królem, wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgął, i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydersko się uśmiechając podsunął sam drugi Zaklice i rzekł:

– Próbuje, jeśli puchar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu, garść nastawił i objął blachę twardą. Chwilkę niby się ważyło, co będzie, krew mu uderzyła do głowy, i puchar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconym znać było. Panowi przytomni jęli dowodzić, że puchar z cieńszej był blachy albo nadkruszony.

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice, i kruszył je leciuchno, nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował go w dwóch rękach i złamał też. Dano Zaklice bodaj grubszego, hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał, ale już się też i rozpałił, a to mu sił dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła królowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwyczajonych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puchary mu darował, a potem namyśliwszy się, powiedział, żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędnik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz, aby się nigdy nie ważył z siłą popisywać ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwisł tak przy dworze ów niebożętko Zaklika. Dano mu kilkaset talarów pensji, barwę co się zowie wspaniałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem, gdzie się on ruszył, jeździć musiał. A że to było, jak mówi przysłowie, pokorne ciele, dobrze mu było. Król wprowadzie słowa doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał, by mu na niczym nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuszczyzny słuchać, jał się obojga języków uczyć bystro i we dwa lata już nimi dobrze w gębę obracał. Ano, z tego próżnowania i że żyć nie bardzo z szołdrami lubił, bo tak ich zwał, *salva reverentia* dla króla jegomości, gdy pora była po temu, około Drezna pieszo schodził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby, tak urwistych, że z nich spojrzawszy, *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednej to z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod beapańską lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście. Właśnie o tej godzinie wyszła Anna hrabina Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, od razu zamarł z admiracji, tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tał myśląc, że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy, patrząc a patrząc i napatrzeć się nie mogąc. Zdawało mu się, że się oczyma napasie do syta, a im dłużej patrzył, tym więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota czy szal, dosyć że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzył, nie było mu też komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo: w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopaczysko rozmiłowało, że wychudło i zgłupiało. Kobiety służące u dworu u pani Hoymowej, które wyspiegowały go, a domyśliły się pewno, co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tym i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go nie widziana, a może się jej go i żal zrobiło, ale kazała do siebie przywołać i surowo go zgromiła, że się tu niepotrzebnie włóczył, a zakazała, aby więcej nogą około dworu nie postać.

Że przy tej rozmowie nikogo nie było, a chłopca głupota jego znać ośmielała, odpowiedział na to, że przecież, patrząc, nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda; a dodał, iż choćby go tam ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się, tupiąc nóżką, pani Hoymowa, grożąc, iż go mężowi przeskarży, a nic go to nie nastraszyło. Potem się kilka tygodni z tej strony, z której ją widzieć mógł, nie pokazywała. Chodziła do Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika, po szyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki stał tak ukryty, aby tylko ją zobaczył. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyla, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, ano nieprawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną tej piękności pał i pał. Już czy jejmość o tym wiedziała, czy nie, nie było słuchu, a nie mówiono więcej o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i król by był może nawet rad, żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król był dużemu koniowi z wielkiego gniewu, w jaki wpadł, głowę jednym cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego ów nawet sławny Zaklika nie dokaże. Przyprowadzono szkapę starą spod dragona, twardokościstą. Dawano po cichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł – jak to mówiono – nikt go nie pohamował. Wobec tedy króla, panów i wielkiej cizby osób, poprobawwszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwał jak brzytwą. Mówił, że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu, ale nic. Król, słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzją. Na Zaklikę nikt i nie spojrzał już, a dworscy słudzy, których miał przyjaźniejszych, szeptali mu, że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy lada małym czym spotka ciupa na Königsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył, a wcale się tego nie zląkł. Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować, wiele wina strzyma. Ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklankę piwa, wina kieliszeczek, dalej nie mogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wleli mu puchar węgryna, od którego, jak padł, tydzień odchorował i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. Ano potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować nie śmiał.

I znowu chodził na wygląkanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił. Anna, hrabina Hoymowa, która o wszystkim mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspomniała, zdając się go nie widzieć ani wiedzieć o nim.

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze i drągi, jak było we zwyczaju naówczas, psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, słudzy szli z kurami spać, a pani, choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tym nie wiedział.

Tej nocy właśnie, gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiatr bujał, w Laubegast tak go słyhać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna, rozebrawszy się, czytała w Biblii, bo to jej było czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy św. Pawła. Toż myślała a rozmyślała nad nimi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jej pokoju, gdy tętent się dał słyszeć za domem, potem jakby kto bramą żelazną targał i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieuleknionego ducha pani poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żołdactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegli i po górach się kryli tułając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyją później płacić im przyszło, gdy na nich obławę zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to brama nie przestała dzwienceć ani psy ujadać. Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiero zobaczyli, że tam się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służbą. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał.

Gdy go jej przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu, iż coś złego stać się musiało, pobladła nieco. Poznaawszy jednak rękę męża, choć zmienioną, na liście, uspokoiła się. Przyszedł jej tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednej nocy do Königsteinu i zabrano mu wszystko, co miał. Sam Hoym nieraz po cichu spowiadał się jej z tego, iż królowi nie wierzy i nie będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy za granicę nie wyniesie.

Dowiedziona to było rzeczą, iż król gdy najczulszym się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba. Uśpić bowiem pragnął, nim ofiarę swą stracił ze szczytu, i lubował się, patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, azali los kanclerza nie spotkał jej męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron. Zdziwiła się niezmiernie, postrzegłszy na bilecie męża ręką, acz widocznie zmienioną i pośpieszną, kreślonym rozkaz, aby natychmiast przybyła posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich, a i ciekawość też wiodła. Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży, i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast na zawsze się za nią zamknęły.

Myśli dziwne w drodze ją opanowały. Czuła się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jej na łzy zbierało. Nie wiedziała, co jej groziło i czy jej co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu po kilkoletniej niebytności wiedziano wszędzie. Z nimi razem powracały do Drezna intrygi, podstępny, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnymi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy na pozór lekkie i wesołe, a w istocie tragiczne.

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przegrywała weselu tych, co zwyciężyli. Nieraz z dala patrzyła Anna. na siną górę Königsteinu, pełną tajemnic i ofiar.

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedzały pochodnie dworskie i konie pędziły. Ani opatrzone się, jak stanęła kareta na bruku u domu przy Pirnaiskiej ulicy. Toż choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobudzić. W domu tym, w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokoiów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstręt wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarie i całe izby papierów. Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej wprawdzie, ale ciemnej, ponurej i smutnej. Nie zastawszy męża w domu, tym więcej się

zdziwiła hrabina Anna, ale słudzy ją upewnili, iż to była „noc królewska” i że przy tej zabawie zwykle przeciągał się pobyt na zamku do dnia białego i dłużej, niekiedy dni i nocy parę. Zmuszona szukać przytułku i odpoczynku, hrabina musiała dziś po raz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obrała gabinet z drugiej strony kancelarii ministra położony, oddzielony od innych pokoi, i tu sobie prawdziwe łóżeczko obozowe usłać kazawszy, zaryglowawszy się ze sługą, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem.

Dzień już był biały, gdy usnąwszy głęboko na chwilę, przebudziła się, słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stąpanie. Sądziła zrazu, iż to był chód męża i w cichości co najprędzej poczęła się z pomocą sługi ubierać.

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jej jeszcze wdzięku dodawał. Znużenie podróży, niepokój, gorączka podniosły królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpliwością odryglowała drzwi, które ją dzieliły od gabinetu, otwarła je i stanęła w progu.

Naprzeciw niej zamiast męża stał człowiek zupełnie jej nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niej uczyniły wrażenie. Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckiego duchownego, niemłody, z głową wypełzłą i błyszczącą, około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Zżółkła skóra przylegała do kości jego czoła tak, iż żyły rysowały się wszędzie wypukło. Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przy tym nadawały tej twarzy, ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zatrzymującego oczy zdumione, iż mimo woli ode-
rwać ich od niej nie było można.

Patrzała nań Anna, ale i on, jakby zjawiskiem tej kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionymi w nią oczyma, w których mimowolnie malowało się uwielbienie dla cudownego, boskiego tworu, podobnego aniołom. Stał i usta mu drżały, i ręce się podniosły zdumieniem na pół, na pół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł, i błogosławić.

Dwie te istoty, zupełnie sobie nieznane, badały się tak chwilę oczyma. Duchowny cofnął się z wolna. Anna oglądała się, szukając oczyma męża. Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny, spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał:

– Kto ty jesteś?

III

– Ja bym tu prędzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

– W domu waszym? – powtórzył zdumiony duchowny. – Jak to? Więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrzał na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonymi powiekami, złożył ręce jakby z rozpacz i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać, zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się ożywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakimś wielkim wyrastać: stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niej onieśmieloną, małą, zdziecinniałą, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakimś natchnieniem wewnętrznym. Nagle oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód.

– Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwały swej jako piękne cnoty naczynie, ty, pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrząsniesz pyłu z nóg twych, skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz, rozdarłszy szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty?! – zawołał jakby nagle rozogniony miłosierdziem. – Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz?! Kto cię weń wrzucił? Kto był tym niegodziwym, co tak piękne dziecię boże cisnął w ten świat plugawy? Czemu nie uciekasz? Dlaczego stoisz niestrwożona, a może nie wiedząca o niebezpieczeństwie? Dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała, słuchając go, lecz głos starego takie na niej czynił wrażenie, iż uczuła się, może pierwszy raz w życiu, podbitą i onieśmieloną. Oburzał ją ten ton duchownego, a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta, on mówił dalej:

– A wieszże ty, gdzie jesteś? A wiesz, że ta ziemia, na której stoisz, chwieje się pod stopami twymi? Że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną, gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

– Cóż za przestraszające obrazy kreślisz, mój ojcze! – odezwała się wreszcie Hoymowa. – I dlaczego mnie nimi chcesz zatrwożyć?

– Bo z czystego czoła i oczu twych, dziecko moje – rzekł duchowny – widzę, żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego, co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

– Od kilku godzin – uśmiechając się odpowiedziała Hoymowa.

– I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość swoją, bobyś tak nie wyglądała – uśmiechnął się boleśnie stary – nieprawdaz?

– Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie. Od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi, ledwie z dala widziałą Drezno.

– A nic chyba nie słyszałaś o nim – dodał stary i wstrząsł się. – Wszystko, co mi mówisz, przeczytałam na czole twym, w wejrzeniu – rzekł smutnie. – Bóg mi czasem daje zajrzeć głęboko w duszę ludzką. Niezmierną litością zostałem zdjęty, widząc cię, piękna pani; zdało mi się, że patrzę na lilię białą, rozkwitłą w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąć, gdzieś wzrosła, i wonieć pustyni a Bogu.

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła przejęta kilka kroków ku niemu. W jej oczach i postawie widać było wzruszenie.

– Ojciec mój – rzekła – ty kto jesteś?

Stary zdawał się nie słyszeć, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

– Kto ja jestem? – rzekł. – Kto ja jestem? Nędzna istota, grzeszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy lub się z niej wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy. Jam ten, który przepowiada upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli. Kto ja jestem? Naczynie w ręku Bożym, przez które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli. Jam ten, za którego czarną suknią biegają ulicznicy, rzucając na nią błotem, ten którego proroctw nikt nie słucha. Nędzarz wśród bogaczy, ale praw i czysty przed Panem, ale spokojny wśród szalów, z modlitwą na ustach wśród rozpusty.

I zamilkł, ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym. Spuścił głowę.

– Dziwne zrządzenie – odezwała się Anna, nie odstępując od niego – po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrożę i oznajmienie. Nie jestże to palec boży?

Wstrząsła się i dreszcz przebiegł ją całą.

– Zaprawdę dziwne! – powtórzyła.

– Opatrzne – rzekł stary – a biada tym, co litościwej, bożej nie słuchają przestrogi. Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? Nikt, ubogi od kościoła kaznodzieja, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga. Zowie się Schramm. Hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto, jak się tu dziś znalazłem. Ale kto was tu sprowadził? Kto wam tu przybyć dozwolił?

– Własny mąż! – rzekła Anna.

– Proś go, niech cię uwolni – szepnął, oglądając się trwożliwie, duchowny. – Widziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują jak lalki. Tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć. Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz. Okołą cię siecią intryg, osnują jadowitymi pajęczynami, uśpią, upoją, Zawrócą głowę melodią pieśni, ukołysz serce bajaniem, złudzą oczy bezwstydem, oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spojona, znużona, osłabła, polecisz w przepaść.

Anna Hoym zmarszczyła brwi.

– Nie! – zawołała. Nie jestem tak słabą, jak sądzicie, ani tak zasadzek nieświadomą, ani tak spragnioną życia! Nie, świat ten mi się nie uśmiecha, patrzę nań z góry, niżej on ode mnie.

– Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć widziała – odparł Schramm – nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła. Królewskie w nim posągi popaliły się na węgiel i obrukały sadzami. Idź stąd, idź, idź, szkoda ciebie i białej, niewinnej duszy twojej.

To mówiąc, ręce wyciągał, jakby ją chciał wygnać i przyspieszyć odejście; ale Anna stała niezatrwożona, szyderski razem i litości pełen śmiech błąkał się po jej ustach.

– A gdzież ucieknę?! – zawołała. – Los mój połączony jest z losem tego człowieka, odebrać go odeń nie w mocy mojej. Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się, co mi wyznaczono. Tylko nie śpiącą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale ja chyba im panować będę.

Schramm strwożony spojrzał: stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca.

W tej chwili otwarły się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczorajszego niekorzystnie się już wydawał; dziś, po białym dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu wyglądał gorzej jeszcze. Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlachetnego nie nadawało mu wdzięku, twarz pospolita odznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami konwulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą najsprzecznieszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały ogniem tryskając, usta śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniały. I w tej chwili, ujrzawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzecznieszych jakichś uczuć. Uśmiechnął się jej i w chwilę, jakby gniewem chciał buchnąć, nasrożył, ale się zwyciężył i zawahawszy, wsunął żywo do gabinetu.

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz.

– Szaleńcze, fanatyku, komediancie przebrzydły! – zawołał, nie witając się nawet z żoną. – Znowuś nabroił, znowu do mnie przychodzisz, abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? Wiem wszystko, pójdziesz precz od kościoła, na wieś, tam, na pustynię, do prostaczków, w góry.

Wskazał ręką.

– Ja ani chcę, ani myślę cię bronić! – dodał zapalając się. – Podziękuj Bogu, jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gdzie do kąta, bo tu by cię dalej co gorszego spotkać jeszcze mogło. Ha, myślicie – ciągnął dalej zapalając się minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz – myślicie, że tu na dworze wolno wszystko i że to, co wy nazywacie słowem bożym, nie ocukrowane możecie podawać ustom do słodyczy nawyklłym? Że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów, nawracających pogan? Schramm, mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocale, gubisz się sam.

Duchowny, niezachwiany bynajmniej, spokojny stał, patrząc ministrowi w oczy.

– Ale ja jestem kapłanem bożym – rzekł – jam poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niej. Niech się stanie...

– Męczennikiem! – rozśmiał się Hoym. – To by było za wiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i oplwawszy wyświecą.

– Więc pójdę – odezwał się Schramm – ale dopókim tu jest, ust nie zamknę.

– I kazać będziesz głuchym! – szydersko dodał minister ruszając ramiony. – No, dosyć tego, rób co chcesz. Ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze, gdy każdy ocali siebie. Jam ci to przepowiadał, Schramm. Milczeć trzeba umieć, umieć pochlebiać lub ginać podeptanym. Cóż chcesz, przyszły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu pokłonił się Schramm, popatrzył na żonę Hoyma z politowaniem, na niego – z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzał, oderwał wzrok ku niemu.

– Żal mi cię – burknął krótko – idź, zrobię, co mogę, ale zatop się w Biblii i trzymaj język za zębami. Ostatni raz ci to radzę.

Schramm, prawie nie słuchając, wyszedł. Małżonkowie zostali z sobą sam na sam. Hoym nawet nie przywitał się z Anną, od dawna źle z sobą byli. Widocznie nie wiedział, od czego począć rozmowę. Zakłopotany stał i zły. Chwycił rękami dwa końce peruki swej i targał.

– Po cóżes hrabia kazał mi tu przybyć tak nagle? – zapytała Anna z wymówką i dumą.

– Po co?! – podnosząc oczy zawołał Hoym, zaczynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany. – Po co? Bom był szalony! Bo mnie ci niegodziwcy spoliłi, bo nie wiedziałem, com robił! Bom głupi, bom nieszczęśliwy, bom wariat! Tak, wariat! – powtórzył.

– Więc mogę nazad powrócić? – spytała Anna.

– Z piekła się nie powraca! – zaśmiał się Hoym. – A waćpani z łaski mojej w piekle jesteście: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła, i padł na krzesło.

– A, tak, istotnie oszaleć przyjdzie – mruknął – lecz z królem nie ma wojny!

– Jak to? król?

– Król! Fürstenberg! Wszyscy, wszyscy! Nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie. Dowiedzieli się, żeś ty piękna, żeś ja głupi, i kazali mi panią pokazać!

– Któż im o mnie powiedział? – zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta. Zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzeselka. Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimnym szyderskim.

– Dość tego – rzekł cicho, zniżając głos – mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię. Wezwałem panią, bom musiał ją tu ściągnąć. Król chciał, a Jowisz piorunuje tych, co mu się śmiać sprzeciwiać. Dla jego zabawki musi służyć wszystko, królewskimi stopy depta skarby cudze i rzuca je w śmietnisko. Na to nie ma ratunku, jak na śmierć.

Zniżył głos i umilkł, jakby słuchał, czy się kto nie odezwie. I począł znowu z wolna chodzić po pokoju.

– Założyłem się z księciem Fürstenbergiem, że pani jesteście najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesji pięknych role grają. Nieprawdaż, żeś był głupi? Pozwalam, byś mi to pani powiedziała. Najjaśniejszy nasz Pan ma być zakładu naszego sędzią, i wygram tysiąc dukatów.

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła, z najwyższą wzdargą odwracając się od niego.

– Nikczemny waćpan jesteście, panie hrabio! – krzyknęła w gniewie. – Jak to? Wy! Wy, coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skąpiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie mnie teraz jak komediantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami?! To najwyższa podłość!

– Nie szczędź pani, wyrazów, mów, co chcesz – rzekł Hoym z boleścią – wart jestem, zasłużyłem. Wszystkiego za mało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy. Szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić.

Załamano ręce. Anna zamilkła i patrzała.

– Ja jadę do domu – rzekła – ja tu nie pozostanę, wstydziałabym się sama siebie. Koni! Powóz!

Rzuciła się ku drzwiom. Hoym stał uśmiechając się gorzko.

– Koni! Powozu! – powtórzył. – Ale waćpani nie wiecie chyba, gdzie jesteście i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie ręczę, żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójda złapać cię i odprowadzić. Nikt nie odważy się wieść, nikt nie uzuchwala ratować. Waćpani nie wiecie, gdzie jesteście?

Hrabina załamano ręce z rozpaczą. Hoym patrzył na nią z jakimś uczuciem niewysłowionej zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

– Nie – rzekł dotykając z lekka jej ręki – posłuchaj mnie, pani; nie jest jeszcze może tak źle, jak ja mówię, jak przeczuwam. Mówmy z flegmą i rozsądnie. Gina tu ci, co chcą być zgubieni. Pani możesz nie być piękną, gdy zapragniesz. Możesz się stać odstręczającą, surową, straszną, możesz dla ocalenia mnie i siebie przybrać postawę odrażającą.

Tu zniżył głos.

– Znasz pani historię naszego Najmiłoścowszego Pana a Króla, Augusta? – zapytał się z dziwnym uśmiechem. – Pan to wspaniałe, hojny, sypiący złotem, które moja akcyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska. Nie ma drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy, nie ma, który by potrzebował bawić się drożej, nieustannie i dziwacznie. Łamie podkowy i kobiety i rzuca je na ziemię. Kanclerzy, których ścisnął wczoraj, zamyka na Königsteinie. Do-

bry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodził. Serce ma najlitościwsze, tylko mu się sprzeciwiać nie trzeba.

Mówił coraz ciszej, a trwożliwymi oczyma biegał dokoła.

– Znasz pani historią jego! A! Ciekawa bardzo – szeptał dalej – lubi kobiety coraz świeże, coraz świeże, jak smok ów w bajce żyje dziewicami, które mu przerażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą, a on je pożera. Któż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona, ale obok znajomych – trzykroć tyle zapomnianych. Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w atlasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na łachmany polować. Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewej ręki, ja bym ich naliczył dwadzieścia. Königsmarek jest jeszcze piękna, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach, ale już wszystkie go znudziły. Szuka, kogo by pożarł! Dobry pan! Łaskawy pan! – dodał śmiejąc się. – Wszakże zabawić się musi, wszak dlatego na świat przyszedł, aby mu służyło wszystko: piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr, a straszny jak Jupiter.

– Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz – wybuchnęła oburzona Anna – maszże mnie za tak nisko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się sprowadzić z drogi honoru?! Waćpan mnie nie znasz! To obelga!

Hoym patrzył z politowaniem na nią.

– Znam moją Annę – rzekł z uśmiechem – lecz znam dwór, pana, ludzi, co nas otaczają, i urok, jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie, byłbym spokojnym.

– Alem przysięgała wam, to dosyć – odezwała się z dumą kobieta. – Nie pozyskałaś serca, ale masz słowo. Słowo jest czymś więcej niż serce, bo serca ja nie jestem panią, a słowu memu jam królową. Takie kobiety, jak ja, nie łamią przysięgi.

– Łamały i takie dla blasku korony – rzekł Hoym – księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

– Mogę być żoną, nie chcę być kochanką – zawołała – sromu na czole nosić nie umiem!

– Srom! – rzekł Hoym. – A, to piecze tylko chwilę i goi się rana, choć piętno zostaje na wieki!

– Waćpan jesteś obrzydliwy! – przerwała kobieta z gniewem. – Sprowadzasz mnie tutaj sam i karmisz takimi groźbami.

Wzruszenie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Hoym się zbliżył z pokorą.

– Daruj mi – odezwał się – głowę straciłem, nie wiem, co czynię i co mówię. To dzikie domysły i strachy. Jutro jest bal na dworze. Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowej. Mnie się zdaje – z cicha począł spuszczać oczy – waćpani możesz, co zechcesz, nawet nie być piękną. Ja chętnie zakład przegram. Będzie ci łatwo stać się śmieszną, niezgrabną. U króla wiele waży elegancja, dowcip, żywość. Cóż łatwiejszego, jak okazać się zaniedbaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic jeszcze. Drewno pełne jest pięknych kucharek. August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele. Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwym, postępując ku oknu.

– Każesz mi więc grać komedią dla ocalenia swojego honoru, postawiwszy go na kartę o tysiąc dukatów! – zawołała z uśmiechem ironicznym. – Ale ja nie cierpię fałszu! Waćpana honorowi nic nie grozi. Anna Konstancja Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet, co się na łaskę pańską biorą i dają spodlic dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać, bądź spokojnym. Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę.

Hoym zamilkł i pobladł.

– Pani na balu tym być musisz – rzekł głosem stłumionym – tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo, ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją. Król kazał.

– A ja nie chcę! – odparła Anna.

– Sprzeciwisz się jemu? – spytał Hoym.

– Dlaczegoż nie? Panem jest wszystkiego, oprócz domu i rodziny, które do Boga należą. Cóż mi uczyni?

– A! Wam nic – rzekł niespokojnie minister – nadto dla pięknych pań jest grzeczny, ale ja pójdę na Königstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci: nędza, śmierć!

Zakrył sobie oczy rękami.

– Wy go nie znacie – szeptał cicho – on się uśmiecha i jaśniej niż Apollo, ale jak bóg piorunów straszny. Nie przebaczył nigdy nikomu, kto śmiał zwątpić, że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu lub ja zginę.

– A sądzisz pan, hrabio Hoym – odparła Anna – iż ta groźba waszej zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna. Hoym posunął się za nią błądy.

– Na miłość bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może! Zaklinam was!

Kończył te słowa, gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i nasrożył się.

– Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnawszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy poza nim postrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabiny, a poza nią żywo szpiegujące go oczy siostry. Zdawało mu się, że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego nikt jeszcze w mieście nie wiedział. Odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście, iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechnym. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmieszany nad wyraz; dał znak słudze, który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabiny, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach, koronkami okrytych. Hrabina Reuss, biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic przerażającego. Przecież na widok jej blada już twarz Hoyma zdawała się blednąć jeszcze; zmieszał się, jakby w niej groźbę zobaczył.

Siostra jego, pani Vitzthum, towarzysząca hrabinie Reuss, mogła to łatwo dostrzec w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko w zamian dwa uprzejme uśmiechy.

– Hoym, doprawdy mogłabym się gniewać na ciebie – ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hrabina Reuss – jakże to być może?! Żona twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nic nie wiem, a ja przypadkiem od Hülchen dopiero dowiaduję się o tym.

– Jak to! – krzyknął minister, nie posiadając się ze zniecierpliwienia. – I Hülchen już wie o tym?

– A! – zawołała, wchodząc, pani Reuss. – I ona, i cały świat, i wszyscy o tym tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami wiednąć nie dasz.

To mówiąc, posunęła się ku Annie badając ją oczyma, rozpatrując się w niej, jak znawca pięknych koni patrzyłby na zwierzę na targ wyprowadzone.

– Jak się masz, droga hrabino? – rzekła, wyciągając ku niej obie ręce. – Jakżem rada, że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi, że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej, pustelnico moja śliczna! Przybywasz dziś, nie znasz Drezna, każże mi sobie pomóc. Ja i Vitzthum niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie. Biedna ty nasza strwożona ptaszyno

W czasie tego przemówienia ta, którą hrabina Reuss nazwała spłoszoną ptaszką, stała tak dumna i jaśniejąca siłą, wcale nie zatrwożona, jakby tu panowała od dawna.

– Dziękuję wam pięknie – odezwała się spokojnie – właśnie mąż mi powiedział, że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością? Czy nie mam prawa zachorować, choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka?

– Nie życzyłabym ci tego pretekstu używać – odpowiedziała hrabina Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu, podawszy jej rękę, przeprowadzał właśnie do ponurej sali audiencjonalnej – nikt nie uwierzy w chorobę, popatrzysz na ciebie, co wyglądasz jak Juno, pełna blasku zdrowia i siły; nikt nie da wiary przestraszowi, boś nieulekniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i korzystając z tego, że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

– Kochana Anno, nie masz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać; raz przecie wyjdiesz z tej niewoli, którą dla ciebie oplakiwałam. Zobaczysz dwór, króla, świetność naszą, której równej nie ma w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonana, że los najszczęśliwszy cię czeka.

– Jam tak do mojego więzienia i ciszy nawykła – cicho rzekła Anna – iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

– Hoym mój – dodała Vitzthumowa – spali się z zazdrości!

I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie, którym towarzyszył pomieszany minister, stały wśród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła, pochylając się ku pięknej gospodyni.

– Droga moja – szepnęła – bardzom rada, że pierwsza cię witam rozpoczynającą życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co. Hoym niechący podstawił ci pod nogi podnózek, po którym wyniść możesz wysoko. Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilczała chwilę.

– Sądząc, żem ambitną, mylisz się, kochana hrabino – odezwała się zimno – płochę lata przeżyłam, wielem myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko, aby do niej i do mej Biblii powrócić.

Reuss się rozśmiała.

– Wszystko to się zmieni – rzekła wdzięcząc się do gospodyni. – Na teraz myślmymy o jutrzejszym ubraniu. Vitzthum, patrz i złożmy walną radę, jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa się zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

– Jakkolwiek się ubierze – odezwała się Vitzthumowa – zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze nie ma żadnej, co by nie zgasła przy Annie. Mnie się zdaje, że jak najskromniejszy ubiór będzie jej jak najlepiej do twarzy. Niech inne się sadzą na róż, bielidło i fioki, jej dość choćby dziewiczej sukienki.

Rozmowa o gałgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mieszała się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy.

Hrabina Reuss z niezmierną bacznością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jej z jakimś niepokojem dziwnym. Zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usłyszeć nad to, co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jej wiekowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami, iskrzącymi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przeczuciach. Pani Reuss przyklaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła żwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewczę zachował potęgę.

– Cudowna Anna nasza! Zachwycająca! Niezrównana! – wołała. – Jutro wieczorem cały dwór u kolan jej leżeć będzie. Hoym wcześniej powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona, co tak jest skłoną do mdłości, odkrywających jej wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się. Reuss opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła króla serce omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także, ranny mocno w nogę stracił przytomność. Przebudzenie było rozkoszne, bo August klęczał u nóg jej, gdy po raz pierwszy otwarła oczy.

– Niestety – dodała Reuss – dziś, gdyby nawet napadły ją mdłości, król by się może raczej przestraszył, niż uradował nimi. Przeszły pierwsze zapaly. Na jarmarku lipskim Najjaśniejszy Pan puścił sobie cugle i dokazywał z francuskimi aktorkami. Co gorzej, mówią, że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau, od której tylko doznał nielitościwej oziębłości. Fürstenberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotów by jakiej piękności uczynić z niego ofiarę.

– Spodziewam się – rzekła obrażona nieco Anna – iż mnie, kochana hrabino, nie posądzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuskimi aktorkami, choćby po drugiej stronie księżne się znalazły. Serce królewskie wcale niewesołym jest darem, a moje coś więcej warto niż resztki po księżnie Teschen.

Reuss zarumieniła się mocno.

– Cicho, cicho, dziecko jesteś – odezwała się oglądając – któż ci mówi o tym? Paplemy o wszystkim; dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowaną. Vitzthum i ja przyślemy ci kupców naszych i szwaczki. Jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu albo ci ich braknie, Meyer pożycz w największym sekrecie, jakich tylko zapragniesz, nie widzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny. – To mówiąc, wstały obie i poczęły ścisnąć Annę, która je milcząc do drzwi salonu przeprowadziła. Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akcyzy.

U wschodów na dole stała karetka hrabiny Reuss, do której wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślane. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie.

– Co ty wróżysz? – szepnęła.

– To nieuchronne – szepnęła hrabina – to konieczne. Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumną jest, będzie się szczęściu opierać długo, ale nie króla więcej nie drażni nad taki opór, z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwaczną; wszystko to przymioty, które nie tylko ciągną, ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz najlepiej, nim pochwyci w ręce wodze; potem byłoby za późno. Ja ciebie, ty mnie wspomagaj: dajmy sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tej nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nic zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne; królowała nam za długo. Schodzi z pola. Król się nudzi, a jeśli kiedy, to teraz, gdy jest tak nieszczęśliwym, pociechy potrzebuje i rozrywki. Fürstenberg, ja i ty potrafimy to nareszcie, że ją obalim. Dość mamy wszyscy tej cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumną.

– Biedny Hoym! – zaśmiała się Vitzthumowa. – Jeśli będzie miał rozum...

– Zyszcze na tym: nie kochał jej od dawna rozpustnik – przerwała hrabina Reuss. – Choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

– Posądzam Fürstenberga!

Hrabina Reuss zmierzyła ją bystrym, przelotnym wejrzeniem i w oczach jej błysnęło na chwilę coś jakby iskierka szyderstwa; ruszyła ramionami.

– A, są osoby predestynowane! – rzekła z ironią.

Nagle, po kobiecemu jakoś, zaśmiała się głośno.

– Wiesz – dokończyła – powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecinnej świeżości, będzie jej cudnie do twarzy. Uważałaś, jaki to ogień w tych oczach?

– I jaka duma, niestety! – dodała Vitzthumowa.

– Niech no król zobaczy! – zakończyła pierwsza. – Niech August zapragnie się jej podo-
bać, ręczę ci, i głowę, i dumę straci.

IV

Przy Pirnajskiej ulicy, naowczas jednej z najparadniejszych małego, murami obwiedzonego i ściśniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza, a dziś więźnia stanu na Königsteinie. Księżna Lubomirska z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe, w nagrodę zapewne iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwyтали dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaśniałą swą umieściła rezydencję. Jeżeli nie odpoczywała w darowanych jej także dobrach Hoyerswerda i innych majątnościach na Łużycach, siedziała naowczas w pałacyku na Pirnajskiej ulicy lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Frydrychstadzie. Owe pierwsze lata gorącej miłości i rycerskiej zalotności, gdy piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiej Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem swych lat dwudziestu, owe lata szczęśliwe, przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, prześpiewane na wspaniałych balach drezdeńskich i lipskich – zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia Karolina, karcąc zalotność Augusta II, który do znajdującej się w jej orszaku księżnej Anhalt-Dessau zwrócił swe zapęły, sprowadziła razem pod oczy bałamutnego donżuana trzy jego dymisjonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hrabinę Esterle i panią Haugwitz, aby króla razem i księżnę Teschen-Lubomirską wprowadzić w kłopot i zawstydzić; od tego balu, co się najczulszymi później ukończył zapewnieniami stałego przywiązania – księżna Teschen jakby po strasznym *memento mori* nieustannie miała na myśli jedno: że może, że musi być jak inne zdradzoną przez niestałego a znudzonego Augustynka. (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości i „*mein liber Augustin*”, piosenka popularna, do niego się stosowała.). Król wprawdzie, mimo pokątnych bałamuctw bez liku, zawsze okazywał księżnie Teschen wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała nim władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych, ale czuła w duszy, że król lada chwila miał się od niej oderwać na zawsze.

Zwierciadło pokazywało jej jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starym pielegnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz czegoś świeższego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go rozmowa pięknej księżnej, jej zręczność w zabiegach dworskich, jej polityka, pokryta gazą płochości kobiecej, jej perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą

korzystać umiała. August przyjeżdżał do niej jeszcze na parę godzin, ale dziś już, gdyby ją jak niegdyś zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałyby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko na powrót wyjedzie. Mgłą smutku powlekały się jej śliczne, łzawe oczy niebieskie, pełne melancholii i łudzące charakterem łagodnym, gdy w istocie księżna żelazną miała wytrwałość w postanowieniach i zabiegach. Z każdym dniem większa opanowywała ją trwoga, ażali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wiekuistego z królem rozdziału.

Nic się na pozór nie zmieniło, nic jej nie brakło, szanowano ją jeszcze jako panią na dworze, a w oczach dworaków czytała bliski swój upadek: łapała szyderskie ich półuśmiechy i ukradkowe, złośliwe spojrzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco, ale naówczas sądziła, że dla niej ustatkuje się płochy, że kiedyś może być królową. Złudzenia te dziś się rozchwiały i uszły. Los wszystkich ulubienic pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność, gdy królowi podobać się chciała. Później, zamknięta w domu, płakała po cichu kryjomo i zemstą zawczasu już pierś się jej podnosiła. Coraz częstsze bywały teraz listy do prymasa Radziejowskiego. Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia siebie siostrzenicy pierwszego dostojnika Rzeczypospolitej i wysilał się na przekonanie jej o swym stałym przywiązaniu. Tymczasem szpiegowano księżną pilnie. Król, nim zasłużył na pomstę, już się jej lękał. Miłość ze strony Augusta II zmieniła się w czczą galanterię, czuć ją było lodem i chłodem. Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowej u dworu, ale w sercu na równi z królową: była mu już obojętną. Marzenia o koloandrowych miłościach przeciągnęły jak wiosenne obłoki, duma tylko po nich obrażona została.

Gdy stolnikówna litewska rzucała rodzinną ziemię, marzyła o tronie: tron rozsypał się w próchno. Pozostawał wstyd chybionej rachuby i sromotne położenie kobiety bez męża i domu, zapłaconej za chwilę szału bogatymi podarkami tytułów, ziemi i złota. Chwila triumfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuisty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta, lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał stracić z wyżyny, na której się chwiała, myślała o sobie. Nudziła się też, a chłopię, które jej kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecię królewskie, przychodziło w uścisku pić gorące łzy, z którymi się matka tała. Księżna Teschen, nim miała prawo nazwać się nieszczęśliwą, już się nią czuła. Dziecię jej miało zapewnioną przyszłość, ona – żadnej.

Pałac przy Pirnajskiej ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał co dzień tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nie tylko nie wzbraniać, ale ułatwiać przystęp. Może by był rad, aby któryś z nich pozyskał sobie serce już mu ciężące przywiązaniem zbyt łzawym. Niecierpliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze we łzach i tam, gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna, jeszcze pozornie w łaskach, miała, szczerych czy nie, przyjaciół i donosicieli. Wiedziała codziennie o każdym króla kroku, uśmiechu i słowie, szpiegowwała go zazdrośnie. Z owej uczty nocnej, gdy wyciągnięto u Hoyma przyznanie się do pięknej żony, gdy go na zakład wyzwano, gdy posłano do Laubegast po piękną Annę, księżna Teschen miała sprawozdanie dosłowne. Niespokojna, w gorączce chodziła, myśląc, czy ma się na balu u królowej znajdować, stanąć do pojedynku tego lub pogardliwie rzuconą rękawicę nie podniesioną zostawić.

Rano około jedenastej doniesiono o przybyciu pani Hoymowej. Nikt jej nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną, wiedzano, że – urodzona w roku 1680 – była rówieśnicą Lubomirskiej, ale rodzaju i niebezpieczeństwa tej piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyan nielitościwy miał się odezwać:

– Nie pytajcie, czy piękna, byle do ostatniej nie była podobną.

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe.

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnej był mniejszy niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po mieście, nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono, że król jak zwykle, gdy mu szło o świetność zabawy, sam jak najstaranniej balowy program oznaczył i niecierpliwiał się już o zakład Fürstenberga i Hoyma. Mówiono, że panna Hülchen i hrabina Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymowę w swe sieci uwikłać i łaski jej sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jej bratowa zgasi wszystkie urodą.

Księżna słała w miasto, odbierała raporta swych wiernych, rozpaczała i płakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącego zerwać, zatrzymać, teraz zdawała się nadchodzić godzina stanowcza. Łamała ręce, nagle myśl dziwaczna jej przyszła, spojrzała na zegar. Dom Hoyma nie bardzo był daleko od jej pałacu, szepnęła coś służącej, zarzuciła gęstą, czarną zasłonę na oczy od łez czerwone i cicho zbiegła po wschodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drażnicy. Rzuciła się w jedną z nich. Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą, poszli tyłem, ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wąską i pustą, na którą wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy otworzył ją dla wyskakującej z lektyki księżnej, która obejrzaawszy się, wbiegła wprost na górę do Hoyma pałacu. W sieniach czekał już na nią młody mężczyzna, który jej wschody wskazał.

Przez ciemny korytarz zakwefiona i nie mogąca się dać poznać, choćby ją kto napotkał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała.

Nierychło je otwarto. Zdaje się, że sługa, która ostrożnie uchylała drzwi, chciała tylko zobaczyć, kto przyszedł, i nie byłaby wpuściła nadbiegającej, ale księżna Teschen jedną rączką wpuściła jej w dłoń kilka dukatów, drugą popchnęła z lekka, obejrzała się, w które drzwi iść dalej, i pobiegła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla niej urządzić miano, gdy nieznana postać zakwefiona ukazała się na progu. Zdumiona tymi niespodziewanymi odwiedzinami, cofnęła się marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kwef, stanęła i oczy wlepiła ciekawie, słowa nie mówiąc, w Hoymową. Zdyszana, przejęta patrzała, wargi jej ścinały się i drżały, błądź okrywała lica. Obejrzała się lekliwie dokoła i szukając podpory, na bliską kanapkę zemdlona upadła.

Anna podbiegła ku niej, przybyła i służąca. Obie podniosły omdlałą.

Oslabienie jej trwało tylko chwilę, porwała się jak obłąkana, oczy znów wlepiła w rywalkę i milcząc wskazała na sługę, aby odeszła. Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych następująca, niepokojem napełniła przybyłą i tak już strwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla niej gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno. Lubomirska wyciągnęła ku niej bladą, zimną rączkę drżącą.

– Daruj mi – rzekła głosem słabym – chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzec. Pędził mnie tu głos obowiązku, sumienia.

Anna milczała, ciekawie się w nią wpatrując.

– Patrz na mnie – dodała – rozpoczynasz dziś to życie, które ja kończę. Byłam jak ty niewinną, szczęśliwą, spokojną, szanowaną, w zgodzie z sumieniem i Bogiem. Miałam tytuł książęcy, męża i lepiej niż to: imię niepokalane ojca i rodziny. Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę kładł u nóg moich, oddawał serce. Poszłam za nim, spójrz na mnie. Ja dziś nie mam nic: imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, Wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie nie ma dla mnie nikogo. Krewni się nie przyznają do mnie, ci, co się czołgali u nóg mych, jutro znać nie będą. On! On odepchnie jak obcą.

Anna, słuchając, zarumieniła się.

– Pani! – zawołała głosem przerywanym. – Dlaczegoż widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę?! Ja cię nie rozumiem. Kto pani jesteś?

– Wczoraj królowa, dziś nie wiem kto – odparła Teschen.

– Ale ja nigdy żadnej korony nie miałam pragnienia, każda skroń pali! – zawołała Anna. – Dlaczegoż spotykać mnie mają te groźby?

– Przestrogi – przerwała Lubomirska – daruj mi, twej skroni przystała korona. Ludzie za wcześniej ci ją dają, jam chciała odsłonić złoty jej wieniec i wewnątrz pokazać cierniowy.

– Mylisz się, pani – rzekła spokojnie Hoymowa – nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumna. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny albo jej nie dotknę nigdy. Uspokój się, pani.

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jej obudziło liłość w Annie, zbliżyła się z ciekawością i współczuciem.

– Wszystko, co mnie tu od rana spotyka, jest niezrozumiałym – odezwała się z cicha. – Chciałabym się wyrwać stąd jak najrychlej. Któż pani jesteś?

– Teschen – odparła przybyła cicho, podnosząc oczy – słyszałaś o mnie, domyśl się, dlaczego cię tu ściągnięto. Świeżej twarzy potrzeba znudzonemu panu.

Anna krzyknęła z oburzeniem.

– Podli! Frymarczą więc nami jak niewolnicami, a my...

– Ofiarami ich jesteśmy.

– Nie! Ja nie będę. Ja nie chcę być ofiarą! przerwała Hoymowa. – Uspokój się pani, jam tak dumna, że nędzę raczej zniosę niż upokorzenie.

Teschen spojrzała na nią, popatrzała długo i westchnęła.

– Nie będziesz ty, będzie druga. Godzina moja wybiła, lecz choć ty, choć jedna, jeśli masz siłę, zaklinam, pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzgardę w oczy! To woła o pomstę do Boga.

Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu.

– Jesteś ostrzeżoną, broń się.

Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa stała jeszcze, słowa wyrzec nie mogąc. Zjawisko znikło.

Na wschodach czekał na nią ten, co ją wprowadził. Szybko posunęła się ku lektyce, gdy zapuszczając zasłonę w oknie jej, ujrzała bladą twarz młodego wojskowego, który drżący i niespokojny w nią się wpatrywał.

Twarcz młodego oficera była piękną i arystokratyczną, pełną wyrazu, męstwa i energii, lecz w tej chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom swoim nie wierzyć. Mimo dwóch tragarzów, którzy już lektykę podnosić mieli od ziemi, zbliżył się do okna.

– Księżna Urszulo! – zawołał wzruszony. – Mamże oczom mym wierzyć, jestże to podobna?! Wasze to widzę, ukradkiem wyrrywającą się na jakąś schadzkę zapewne. Mówcie, zaklinam, całą prawdę mi powiedzcie, abym natychmiast siadł na koń i więcej nie wrócił. Księżno! Pani! Ja szaleję z miłości dla was, a wy... – zakrył oczy.

– Wy szalejecie, to prawda! – popędliwie przerwała. – Szalejecie tak, żeście ślepi, bo mogliście widzieć, że wychodzę od Hoyma, w którym się przecie zakochać nie mogłam.

Pochwyciła go za rękę.

– Chodź przy mnie, chodź ze mną, nie puszczę cię, aż się wytłumaczę! Nie chcę, abyś i książę mnie w tej chwili opuścił i obwinił, to by już było nadto! Tego bym już przeżyć nie mogła!

Piękne, załzawione oczy księżnej, zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniała.

Pobiegł więc posłuszny za lektyką aż do pałacu, u wschodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana, chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszącemu jej, aby siadł przy niej.

– Widzisz mnie, księżę, w gniewie i oburzeniu! Wracam od tej... od tej, którą tu sprowadzili szkaradni nieprzyjaciele moi, aby króla zająć czymś nowym, aby mnie wygnać, aby mój wpływ obalić. Słyszałeś już o Hoymowej?

– Nie słyszałem – odparł młody księżę (którym był Ludwik Wirtemberski) – nie słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony.

– Tak, umiano obudzić ciekawość w Auguście, osnuto intrygę – poczęła księżna, ożywiając się coraz bardziej. – Widziałam ją, jest piękną, jest niebezpieczną, może być dwa dni królową.

– A! Tym lepiej, tym lepiej! – porywając się z siedzenia, zawołał księżę Ludwik. – Pani będziesz wolną!

Teschen rzuciła nań okiem badawczym, młody chłopak zarumienił się. Nastąpiła chwila milczenia. Podała mu rękę, którą on pochwycił i ucałował z zapalem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym wpadła klaszcząc w ręce osóbką małą, niepiękną, nieco do księżnej podobną, chociaż o wiele od niej brzydszą.

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać: mogła zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dzieśnięć więcej. Znać z niej było, że nigdy świeżą nie była, i mogła się też do późna nie zestarzeć. Nosila jedną z tych twarzy, co są starymi w dzieciństwie i niby młodymi w starości. Szare jej oczki, złe, szpiegujące, ostre, kręciły się i biegały. Usta miała pełne szyderstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą, gorączkową kwoczkę i niezdolną intrygantkę. Strój, nadzwyczaj staranny i pstry, obmyślany był tak, aby jedyną pięknosć jej podnosił: figurkę zgrabną i w pasie przeciętą, nóżkę maleńką i kibić zręczną. Żwawo okręciła się na trzewiczku ku księżni, klaskając w dłonie w chwili, gdy zawstydzony księżę Wirtemberski usta od ręki odrywał.

– *Bravi, bravissimi*, ale niechże ja nie przeszkadzam! – krzyknęła ostrym głosem baronowa Glasenapp. – *Nous sommes en famille*, nie ma się co mnie wstydzić! Siostrunia bardzo słusznie rejteradę sobie zabezpiecza wojskową osłoną, bo... bo podobno zbliżamy się do chwili, w której przyjdzie rejterować z serca króla i dworu! Dobry wódz zawsze sobie zapewnia drogę do odwrotu.

Mała ta, zwinna pani, nie cierpiana od całego dworu, który roznoszonymi plotkami starała się klócić i różnić, była stolnikówna litewska, panna Bokunówna, rodzona siostra Lubomirskiej, żona (natenczas) barona Glasenappa, ale tylko z imienia, gdyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schulenburgiem.

– Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawno nie widziały – rzekła paplać pospiesznie – ale w chwili niebezpieczeństwa zjawiam się zawsze, tak i teraz. Słyszałaś, Teschen – dodała śmiejąc się złośliwie – sprowadzili Hoymową. Ja ją widziałam raz, wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreźnie, i przepowiedziałam naówczas, że jak Helena trojańska komuś będzie nieszczęścia przyczyną. Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek jak Teschen zawsze najniebezpieczniejsze, żywa, dowcipna, zła, dumna; a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone.

Rozśmiała się głośno.

– Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczęście – poczęła, nie dając nikomu przemówić słowa. – No! Ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Wirtemberskiego.

Młody chłopak stał zarumieniony i gniewny. Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

– Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

– Jeśli chcesz, ja ci jego imię na ucho powiem – przerwała, zrywając się i biegnąc do siostry baronowa. Przyłożyła obie dłonie do ust i rzuciła jej w ucho:

– Księżę Aleksander Sobieski, nieprawdaż? Ale ten się nie ożeni, a Ludwiczek gotów, staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która przeglądając się w zwierciadłach, biegła już po pokoju, oczyma śledząc dwie istoty, którym rozmowę z taką złośliwością podsłuchaną przerwała.

– Jeśli Teschen będzie miała rozum – rzekła – może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięsko. Hoymowa, prostytutka, zrazi króla. Spodoba mu się z twarzy, ale dumą go odepchnie. Po niej Teschen znowu wyda się miłą i dobrą. Cóż robić, fantazjom króla trzeba umieć przebaczać! Ci ludzie mają troski nadludzkie i nadludzkie przywileje. Przykro mi tylko – mówiła ciągle, nie przestając – że cię tak wszyscy wzięli na zęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary, że Fürstenberg, a nawet szwagierek Vitzthum akcyzie gotowi złote rogi przyprowadzić. Biedny Hoym! Jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabym za niego, aby mu osłodzić wdowieństwo. Ale rozpustnik stary ani mnie, ani żadnej nie zechce.

W tym miejscu nie utamowanej gadaniny baronowej Glasenapp książkę Ludwik pożegnał się, a uścisk ręki, jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczów baczących Glasenappowej, która mu dygnęła z daleka. Dwie siostry zostały sam na sam, milczenie trwało chwilę.

– Nie powinnaś tego brać tak tragicznie – poczęła Glasenappowa ruszając ramionami – rzecz była doskonale przewidziana od dawna. Król się znudził blondynką. Ty masz księstwo, masz Hoyerswerdę, masz miliony, brylanty, pałac po Beichlingu, wyposażenie dla syna, masz twą piękność, masz resztkę młodości i księcia Ludwika, który się z tobą gotów ożenić. Przyznam ci się, że jeszcze bym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulenburga w dodatku.

– Ale ja go kochałam! – płacząc znowu, przerwała Teschen.

– A! To już przeszło, wiem! – odparła baronowa Glasenapp. – Kochaliście się wzajemnie, ja sądzę, najmniej pół roku, wśród którego on cię z dziesięć razy zdradził po cichu, a ty jego wiele? Ja nie wiem, ale żeś zdradzała, o, ręczę!

– Siostro! – zawołała z oburzeniem Teschen.

– No, ani razu! A jednak, patrzże, wśród tej miłości dla niego umiałaś sobie na zapas w odwodzie postawić Wirtemberga i dziś, gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną, ja bym tego nie potrafiła. Ja dopiero, gdy się do podrapania skłóciła z Glasenappem, wyszukałam sobie Schulenburga. Mnie bo się nic nie wiedzie i wszyscy mnie nie cierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

– Słuchaj, Lubomirska – ozwała się po chwili – królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych diamentów. Ostrzegam cię więc, byś swoje w bezpiecznym złożyła miejscu.

Spojrzała na siostrę, która się jej zdawała nie słuchać: – Będiesz dziś na balu? – dodała.

Wyraz bal wstrząsnął Lubomirską, która powstała nagle.

– Na balu, tak! – poczęła zamyślona. – Potrzeba być na balu, tak! Pójdę cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubej sukni. To by było uderzające, lecz powiedz, Tereniu, będzie mi żaloba do twarzy?

Glasenapp rozśmiała się.

– Niezawodnie, żaloba jest wszystkim do twarzy, lecz jeśli myślisz, że tym rozczulisz Augusta i dworaków poruszysz, mylisz się mocno. Śmiać się będą! Oni tragedii nie lubią.

– Bądź co bądź w żałobie! Pójdę w żałobie – powtórzyła Teschen – ale pójdę, stanę przed nim jak widmo milczące.

– A że Hoymowa będzie rumianą, wesołą i świeżą, znikniesz jak widmo nie postrzeżona. Wierz mi, przeszłości powrócić niepodobna.

Spojrzała na zegar.

– A! Jak późno! Żegnam cię, na balu! Ja także będę na nim, ale na drugim planie, jako widz, który aktorom przykłaśnie. Bądź zdrowa!

V

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnej świetności strojów nie było się można domyślić klęsk wojny, jaka kraj z Saksonią połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu. Król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy diamentowe, szpadę z wysadzaną nimi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśnącymi diamentów rosą. Majestatyczna jego postać, jakby odmłodzona, promieniejąca, więcej by przystała zwycięzcy niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacielem zawziętym.

Na sukniach pań błyszczały także mnogie klejnoty, a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowało. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie, August z galanterią i poszanowaniem na spotkanie jej pospieszył, muzyka zabrzmiała fanfarą. Głównych aktorek dotąd nie było.

Już pan zaczynał brew olimpijską marszczyć i oglądał się na Fürstenberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiałym, gdy u drzwi wchodowych, pomimo poszanowania dla osoby króla, dał się słyszeć szmer tłumiony. Ludzie rozstępować się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę. Fürstenberg szepnął:

– Idą!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, żółkłą, twarz hrabiego Hoyma, który wiódł pod rękę żonę. Nigdy może na tym dworze, nawykłym do oglądania piękności, bardziej olśniewająca postać się nie ukazała.

Hrabina Hoym wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowej na czołe, nieulękliwa, spokojna, poważna, piękna tak, iż z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwała. Król trzymał w nią od wnijścia wlepione oczy, ale się z jej wzrokiem nie spotkał. Mając być przedstawioną królowej, dała się wieść ku niej, nie zdając wcale być przejętą blaskiem tego dworu ani apollińską pięknnością króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłej przedstawił. Zniecierpliwienie drgnięciem odmaloowało się na pańskiej twarzy.

Hoym jak skazany na śmierć winowajca wiódł żonę. Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się jego męczarnią, wcale nie tajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanej co chwila inaczej. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jej wdzięcznie, ale z litością jakby nad losem tej piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jej piersi.

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął.

Księżnej Teschen nie było jeszcze. Z innych pań nie brakło żadnej i chora nawet panna Hülchen, owa Egeria Augusta, przemogła ból, by nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwykłego zapowiadał. Rozstąpili się widzowie, król zwrócił oczy, w progu stała, jakby wahając się czy ma wejść, księżna Teschen. Ubrana była cała w czerni żałobnej. August, ujrzawszy ją, zniecierpliwiony nieco pośpieszył na spotkanie.

– Kogóż to księżna straciłaś – zapytał szydersko – że się nam zjawiasz w tych szatach, tak do zabawy niestosownych?

– Ciebie, Najjaśniejszy Panie – cicho odpowiedziała Urszula – i to nie od dziś dnia.

Oczy ciekawych, zrazu zwrócone na księżnę, wprędce ku Hoymowej znowu się skierowały. Kobiety nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczać temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posągowej piękności swej. Czarne jej oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźnie przyświecały sali balowej, lecz obok nich ginęły wszystkie inne jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty. W chwili gdy hrabina Vitzthum oderwała ją od brata, zbliżył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstenbergowi, aby podszedł ku nim.

– Kochany hrabio – rzekł – sprawa wasza z księciem rozsądzona. Wygrałeś tysiąc dukatów, Fürstenberg jutro ci je zapłacić powinien. Winszuję więc wygranej i żony. Jest ona niezaprzeczalnie najpiękniejszą na naszym dworze. *Vox populi* mój wyrok potwierdzi pewnie, szczęśliwy Hoymie!

Patrząc jednak na Hoyma, przyjmującego z głową spuszczoną w pokorze to powinszowanie, trudno się było domyślić, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawiał on raczej obraz upokorzonego, zgnębionego, własną winę odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie. Fürstenberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla.

– Widzę, Najjaśniejszy Panie – szepnął nie dosłyszczanym głosem – że wyrok królewski i skrzypki za pana mego zapłacić muszę.

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

– Nie skarż się, Fürstenberg, płać tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastreczył widzenie takiego arcydzieła natury – rzekł król.

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegli ją już wszyscy. Postrzegł to August i wedle zwyczaju, by osłodzić każdemu upadek, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnie. Wielkie było zdumienie nie obeznanych z obyczajami dworu, gdy ujrżeli najjaśniejszego pana idącego w tę stronę. Wprawniejsze oko hrabiny Reuss i panny Hülchen, dojrzawszy ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

– Teschen upadła – rzekła hrabina cicho do towarzyszki – król poszedł ku niej.

Starzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu niełaski Beichlinga ściskającego kanclerza, zrozumieli także, co ta czułość dla księżnej Teschen znaczyć miała. August okazywał jej więcej niż kiedykolwiek przywiązania i szacunku.

– Wiesz, pani – rzekł, przyglądając się jej czarnym sukniom i kwefom – jesteś dziś tak piękną, mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniej warszawski, gdym cię widział zemdloną z trwogi o mnie.

– Ale Hoym! Hoym jest piękniejszą ode mnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia nieprawdaż? – ozwała się księżna ironicznie.

– Hoymowa może być sobie piękną, jak chce, i najpiękniejszą – odparł August. – Są rzeczy od piękności piękniejsze, to piersi, w których czułe biją serca. Kochana księżno, nie rób z siebie widowiska, wróć do domu, włóż suknię niebieską, w której ci tak do twarzy, i czekaj na mnie z wieczerzą.

Na lice blade księżnej Urszuli wystąpił rumieniec żywy.

– Królu mój! Panie mój! – zawołała zapominając się. – Miałaby to być prawda? August moim by pozostał?

– Proszę cię, nie wątp o mnie – dodał poważniej król – na cóż bym miał kłamać?

W istocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoym zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem napęliła jakąś trwogą. Charakter energiczny tej kobiety malował się w każdym jej ruchu, wejrzeniu, skinieniu. Czuł on, że przy niej część swej potęgi u nóg Omfali złożyć by musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię, panie, i umrę z żalości. Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów król miał do syta. Dlatego pośpieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jej tracić i poddać się przeczuwanemu jarzmu kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przybranie głowy, krój sukni, dobór barw podnosiły nadzwyczajną jej piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, noskiem małym, drobnymi ustami, oczyma wielkimi, czarnymi i niezmiernie wyrazistymi, z rysami delikatnymi, z bujnymi czarnymi warkoczami. Ręce, popiersie, kibić odpowiadały twarzy, po której bladość i rumieńce żywe zmieniały się, wchodząc i znikając w mgnieniu oka.

Wystawiona na wejrzenie kilkuset osób, Anna Hoym wcale nimi nie była zmieszana. W pierwszej chwili milcząca i poważna, oswoiła się wnet z dworem tym i blaskiem, który się jej wydał rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dochodził świetnością drezdeńskiemu, lecz formy w obu znalazła też same.

Księżna Teschen usłuchiwała natychmiast rozkazu króla, triumfująca niemal znowu, i rzuciwszy okiem omdlałym ku niemu, wysunęła się z sali. Po małej chwili August stał u krzesła hrabiny Hoym. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna, spostrzegłszy go, powstała. Żądał, aby usiadła. Usłuchiwała go, nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nieco ustępowali, aby mu swą ciekawością nie byli natrętni. I tym razem odeszli wszyscy, a hrabia Hoym także, pociągnięty z lekka przez Vitzthuma, który właśnie tę chwilę dobrał, aby z nim o czym ważnym się rozprawić, odejść musiał.

– Hrabino, jesteś pierwszy raz na moim dworze – ozwał się król, grzecznie pochylając ku niej – lecz jej ukazanie się prawdziwym dla niej jest triumfem. Cieszę się tą nową gwiazdą na moim niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

– Najjaśniejszy Panie, wśród ciemnej nocy lada ogień czasem wyda się gwiazdą, lecz po chwili zagasa. Umieć cenić łaskę Waszej Królewskiej Mości, lecz tylko łasce przypisuję te wyrazy.

– Powtarzam tylko, co dokoła słyszę – odparł August.

– A! Najjaśniejszy Panie – śmiejąc się dodała Anna – ludzie zwykle, widząc po raz pierwszy, źle widzą. Nowość bawi. To tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak jak pierwszego dnia wydaje.

Królowi zdało się, iż piękna pani przymawiała mu, przypominając grzeczność okazaną księżnie Teschen; zamilkł chwilę.

– Pani jesteś nazbyt skromną – rzekł.

– O, nie, Najjaśniejszy Panie – żywo przerwała Anna – do piękności nie przywiązuję wagi!

– Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę – rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jej nie odstępował.

– Po długiej samotności, którą Hoym, ten niegodziwy, męczył panią, kryjąc swój skarb – mówił August – dwór się jej dziwnie wydawać musi.

– Bynajmniej! – zawołała Anna. – Młodość spędziłam na mniejszym wprawdzie, lecz dającym zmniejszony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia: wszystkie one, Najjaśniejszy Panie, są jednym.

– Czym? – spytał król.

– Doskonale graną komedią – odpowiedziała Hoymowa.

– A ja jakąż w niej gram rolę?

Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.

– Być może dyrektora trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.

August, zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:

– Znajdujesz pani, że tu jest wszystko udaniem?

– Jakżeby mogło być inaczej? – westchnęła Anna. – Królowie prawdy nie słyszą.

– Być może – mówił August – i dlatego szukają często i serca, i ust, co by im, spragnionym, choć kroplę tego nektaru dać mogły.

– A znajduję – dokończyła Anna – tylko może usta, co zręczniejsze nad inne umieją sączyć truciznę.

– To mi dowodzi – odezwał się król grzecznie – iż pani nie lubisz ani dworów wielkich, ani życia na nich. I smuci mnie bardzo, bom sobie wiele obiecywał, zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczów trochę posępne dni naszych niebo wyjaśniła.

– Najjaśniejszy Panie – odparła żywo Anna – byłabym tu fałszywą nutą, nie umiem tak śpiewać, jak drudzy: głos mój zawsze jeden, a tu co chwila ton inny.

Dla przerwania tego toku rozmowy król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającymi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepiej daleko znał charaktery, skłonności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.

– Widzisz pani – dodał kończąc – że ta komedia dworska dla mnie nie ma pono tajemnic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje, że mnie oszukują, że mną kierują, że mnie oślepić mogą.

– Tak bogowie patrzą na ziemię – zakończyła Hoymowa.

Król z bogów zdawał się zadowolony. Pierwszy raz, gdy to mówiła, wzrok jej spotkał się z wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródki uwielbienie i zapal. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.

Po tej rozmowie król odszedł z wolna. Badano go z daleka, Fürstenberg pierwszy się znalazł na drodze.

– Najjaśniejszy Panie, jeśli śmiem spytać teraz, czy najpiękniejsza jest także...

– Najdowcipniejszą – dokończył król. – Hoymowi powiedzieć trzeba, ażeby się nie ważył żony z Drezna zabierać. Nadzwyczaj miła, trochę jeszcze dzika, ale to przejdzie z czasem.

Hoym spoglądał z daleka. Jemu najtrudniej było odgadnąć myśli Anny, do której teraz z pośpiechem nadbiegły hrabina Reuss, panna Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.

Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.

– Już się kłaniają wschodzącemu słońcu – szepnął do Fürstenberga – lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrygantki.

Fürstchen spojrzał zdziwiony.

– I ty się mylisz, i one się mylą – rzekł August spokojnie, nachylając się mu do ucha – Hoymowa śliczną jest, od stóp do głów ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony, ale nadto energiczna i bystra i zbyt by panować chciała. Kilka dni miłego z nią stosunku to dosyć, nie dobijam się o nic więcej. Piękność mnie nęci, charakter przeraża.

Fürstenberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł dalej.

W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach ponad ściśniętym tłumem. Oczy jej niespokojnie chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niej, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego w tłumie, co ją otaczał. Dopiero po odejściu króla, odetchnąwszy nieco swobodniej, zadumana, przyglądając się ludziom, co ją otaczali, przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.

Wzrok jej zatrzymał się na twarzy bladej długo i pobladła sama, zmieszana nieco. Niepewna sama, czy się nie myli, spojrzała znowu: znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie. Nie było wątpliwości, milczący wielbiciel z Laubegast przywłókł się aż tu za nią. W wyrazie jego twarzy zdawała się czytać politowanie, smutek, trwogę.

Ta głowa nieznajomego niepokoiła ją sobą. Co chwila biegła oczyma szukać jej, pragnąc, ażeby znikła, i znajdowała jak kamienną, jak do muru przyrosłą, jakby trupią, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biedne to oblicze jakiegoś włóczęgi więcej ją zajęło niż jaśniejące królewskie, niż nadskakujące jej dworacze – na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czuła, że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczeń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata.

Byłli to oczekujący godziny wyroku kat czy chwili skazania czekająca ofiara, Anna nie wiedziała, lecz mówił jej głos jakiś wewnętrzny, niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo tkwiła nad nią ta blada głowa, w której oczy łyskały i gasły; stawiała się coraz straszniejszą, coraz bardziej przerażającą. Ilekroć wzrok jej utkwiony w siebie spotkała, dreszcz po niej przebiegał. Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jej jękiem.

W takim usposobieniu zastał ją kwaśny i żółkły Hoym, który rękę podał do wyjścia. Los chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i tłumowi, ponad którym widziała owo widmo dokuczliwe. Ludzie się rozstępowali przed nimi. W chwili gdy przechodzili próg spojrziała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany nieznajomego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego, z obawą spoglądając nań. Chłopak, spotkawszy jej oczy, przypadł jakby nieumyślnie na jedno kolano. Czuła, jak chwycił kraj sukni jej i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę, już go nie było.

Przed nią stała hrabina Reuss i prosiła Hoymów na wieczerzę do siebie tak uprzejmnie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstenberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małym kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egeria Hülchen, dojrzałych lat panna, której król słuchać lubił i rad jej zasięgał; tu się gromadzili ci, co pragnęli władzy lub chcieli się przy niej utrzymać. Król August śmiał się z tej kliki, ale niewidzianymi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss, z domu Friesen, należała do głównych postaci, działających u dworu Augusta II. W jej domu odbywały się najważniejsze narady, dotyczące się obalenia jednych, a podniesienia drugich faworytów pana, tu przepowiadano nieochybnie łaski, jakie miały spotkać piękne panie, i przeczuwano najtrafniej chwilę, gdy niestały król afekta w inną stronę miał obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hrabina Reuss, przeczuwając nową faworytę, zaw sze zabiegała naprzód, by jej względy i zaufanie pozyskać; raziło go więc nadszkanie hrabiny widocznie, każące się domyślać, iż w Annie widziała następczynię księżnej Teschen. Okazać jednak gniew i to, że grę zrozumiał, ani mógł, ani chciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udał więc Hoym, iż nic nie widzi, nie domyśla się niczego, i poszedł na wieczór do Reussowej.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopiero, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jej przyjaciółka, Fürstenberg i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o gałgankach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechnym czułość króla dla Teschen zwiastowała pewne z nią rozstanie. Z wielu względów jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jej stosunki z Sobieskimi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy, jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocniej potrzebował.

W gabinecie Reuss spytała przyjaciela Fürstenberga o rozmowę z królem, o wrażenie, jakie na nim uczyniła Hoymowa.

– Znam dobrze mego pana – odezwał się Fürstenberg – a szczególnie jego usposobienia dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstraszyło chwilowo, ale piękność jej przemawia do jego zmysłów, a zmysły zawsze nad nim biorą prędkiej czy później przewagę. Lęka się jej i tym goręcej pragnąć będzie, a czego chce, to mieć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonną do odegrania roli łatwej kochanki; wypotrzebuje swą siłę; gdy ją zdobędzie, nie ma wątpliwości, iż król się podda.

– Sądź się więc, że jej panowanie nadchodzi?

– O ile go znam, myślałbym, iż się ono zbliża. Król w tej chwili pragnąłby fantazję zaspokoić, ale w związku trwałe nie wchodzić. Od niej zależeć będzie, jak swą sprawę poprowadzi.

– Domyślasz się księżę jej charakteru?

– Tylko przeczuwać go można – rzekł Fürstenberg – sądę, że ani mąż, ani najbliżsi jej nie znają, a może nawet ona sama siebie – taką, jaką będzie, gdy okoliczności ją wyniosą. Dziś jest to kobieta dumna, szlachetna, charakter energiczny, dowcip żywy, zdolności wielkie.

– Ale daż ona wpływać na siebie i kierować? – spytała Reuss.

Księżę się zamyślił.

– Wiem tylko to – rzekł – że z rozumnymi wolę mieć do czynienia niż z tymi, co nie wiedzą, co czynią. Drogę jednych można przewidzieć, drudzy lecą bezdrożami i szukać ich a gonić – trudno!

Stali jakiś czas milczący. Reuss dała mu znak, aby wyszedł. Zadumana przeszła się razy kilka po gabinecie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak, iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka, wprowadziła nareszcie do gabinetu i posadziła przy sobie.

– Kochana hrabino Anno! – rzekła poważnie, kładąc jej rękę na kolanach. – Jeśli masz cierpliwość i pobłażanie dla starej przyjaciółki, posłuchaj mnie i pozwól mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyszy, jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dosyć znasz i dwór, i czasy, i siebie, ażebyś się domyśliła, że nie darmo chciano twojego przybycia do Drezna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kimś kochać, to jest jego naturą. Bądźmy pobłażający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tę jego słabość wybacza. Źle czy dobrze, ale tak jest i inaczej być nie może. Nam, co króla otaczamy, pozostało jedno: ze złego tego tyle, ile można, dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zająć najświetniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości, ale trzeba się śpieszyć i wiedzieć, co czynić.

– Kochana hrabino – rzekła Anna – ambicji nie mam w bogactwach się nie kocham, mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

– Nic bym przeciwko temu do zarzucenia nie miała – uśmiechając się mówiła Reuss – ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla której byś męczennicą zostać miała. Hoym jest niemiły, zużyty, rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje. Kochać go – niepodobieństwo, prędzej czy później odezwie się serce.

– Stłumię głos jego.

– Raz i drugi, ale przyjdą lata tęsknoty i znużenia, rzucisz się w objęcia czyjeś z rozpacz i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolej nasza, król jest miły i piękny, życie z nim może być rajem!

– Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiej miłości chwilowej, kaprysu, nie pojmuje, brzydzę się nią, odpycham! To nie dla mnie.

– Słowo, kochana Hoym – rzekła Reussowa – związki te zawsze się obiecują być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one zrywają. Na próżno byś go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niej go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy księżyna. Rękoię trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Męża czy kochanka trzeba umieć utrzymać u nóg i związać – to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

– Biedna to miłość, którą na paskach i wędzidlach trzymać trzeba – zawołała – takiej nie chcę! Szczerść za szczerść, kochana hrabino – rzekła cichszym głosem – mnie nic nie potrafi ująć, tylko serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskać by mnie można. W chwili gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy umiłowanym, a ten, co mnie kochać będzie, musi być mężem moim.

– Ależ król, król!

– Choćby i królem był! – zawołała Hoymowa.

– Przecież wiesz, iż król jest żonaty, chociaż z żoną nie żyje.

– Musiałby jej się wyprzysiąc, a mnie przysięgać – dokończyła Anna. – A, taką, jak Esterle, Königsmarck, Teschen, ja nie zaspokoję się rolą.

Wstała, mówiąc to, i majestatycznym krokiem przeszła się po pokoju. Reussowa zamilkła, nie było już co mówić więcej.

– Uczynisz, jak ci się zda i zechcesz – rzekła – ja jako dobra przyjaciółka miałam za obowiązek cię przestrzec i dać dobrą radę; zostańmy więc dobrymi przyjaciółkami i nie mówmy o tym. Dodam tylko słowo: stanowisko, którym wzgardzasz i o którym mówisz z taką obojętnością, nie jest tak nikczemnym i podrzędnym, jak sądzisz. Królowie kłaniać ci się będą, możesz rządzić krajem i wielu złemu zapobiec, ludzi ratować i czynić szczęśliwych – to przecież coś warto.

– Honor mi droższy nawet nad to wszystko – odezwała się Hoymowa – nie mówmy o tym.

Reussowa w milczeniu rękę jej uścisnęła i w istocie nie mówiąc już więcej, wyszły razem z gabinetu. Kobiety znajdujące się w salce spojrzały na nie, chcąc coś z twarzy odgadnąć. Anna była purpurową, a Reussowa jak pargamin bladą, obie jednak uśmiechały się łagodnie, jak gdyby burza przeszła i zostawiła po sobie pogodę, żadną chmurką nie zaćmioną.

Pod oknami mignął blask pochodni towarzyszących wieczorami powozom króla. Fürstenberg się wychylił. Król to w istocie jechał znudzony do Teschen i wydawał się w blasku tych świateł smutny, jakby był skazany na najcięższą karę. Zobaczywszy w oknie, a raczej domyśliwszy się, przyjaciela, August dał mu znak ręką rozpaczliwy i powozy znikły na zakręcie ulicy.

VI

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naówczas miejsce odpowiadające dzisiejszemu ministrowi skarbu, nie miał przyjaciół ani u dworu, ni w kraju. Nienawidzono go szczególnie za wprowadzenie po tylu innych uciążliwych najuciążliwszego podatku akcyzy. Sasi bronili się, o ile mogli i umieli, opierali się królowi, a król, któremu nigdy nie starczyło na nieobrachowane jego wydatki, ukrywał źle gniew, jaki wzbudzał w nim ten opór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawić reszty praw i otoczyć obcymi, którzy by żadnych z nią stosunków i z krajem nie mieli.

Rady tej części już usłuchał August II i większa część jego ministrów i ulubieńców wzięta była z obcych krajów. Włosi, Francuzi, Niemcy z innych prowincyj grali tu główne role. Hoym, człowiek zimny, niezłagany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych dochodów dla króla, który to na Polskę, na wojsko, to na uczty i na ulubienice miliony tracił, z powodu zręczności tej w wyciskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie dowierzał, bo przykład Beichlinga i kilku innych czynił go ostrożnym. Wypatrywał tylko chwili, gdy będzie mógł naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec spod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał z bliska, wiadano, że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwiązły i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale, ani gorąco do nikogo. Najlepiej ze wszystkich znała go może siostra, hrabina Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobywała z niego, co jej było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Königsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miewał tylko sprzymierzeńców. Nienawidził go marszałek Pflug, nie cierpieli inni. Fürstenberg był z nim źle także. Gdy po zakładzie kazano Hoymowi żonę przywieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden, śmiano się raczej i przedrwiwano.

Nazajutrz po balu Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincji. Szczególniej na Łużycach coś się tam szlachta głośno przeciwko niej opowiadała. Król żadnego oporu nie znoślił. Po raporcie Hoyma namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

– Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast! Każ krnąbrnych rozpędzić, dośledź tych, co stoją na czele, i w moim imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast bez żadnej wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dalece, ani nawet pożyteczną, chciał zrazu króla przekonać, iż mógłby się kimś wysłużyć i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

– Nie ma ważniejszego nic nad złamanie oporu tych pyszałków, którym się zdaje, że ja z nimi w układy wchodzić mogę. Jedź waćpan natychmiast, weź dragonów z sobą! Jeśli się poważą zgromadzać, rozpędzić sejmiki! Powiedz im, by się nie zapatrywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy radę wkrótce szlacheckiej bucie.

Hoym jeszcze chciał się tłumaczyć, lecz August nie słuchał, powtórzył po kilkakroć:

– Jedź natychmiast! Natychmiast! – Wreszcie popatrzał na zegar. – Za dwie godziny powinieś waćpan być na drodze do Budziszyna; chcę tego i tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko było po pijanemu, naówczas kto się nie lękał, aby go udusił, ścisnął go, całował, a inni i popychali: August śmiał się; na trzeźwo miał jedną wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce nazajutrz po balu nadzwyczaj była podejrzana. Znając króla, dwór i to, co się tu działo, był pewnym, że wypędzano go umyślnie, aby do jakiejś intrygi nie zawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? Nic. Powierzyć siostrze dozór – było to pijakowi dać klucz do piwnicy; przyjaciela nie miał: stał bezbronny. Czuł, że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do pałacu, rzucił papiery o stół, rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni, otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł jak opętany do nowego żony apartamentu.

Była samą. Ciekawym okiem zmierzył pokoje, ją, najdrobniejsze, otaczające przedmioty. Złość malowała się na bladej jego twarzy. Anna patrzała nań spokojnie, będąc nawykłą do scen podobnych.

– Ciesz się, pani! – zawołał. – Byłem tak głupi, że ja tu sprowadziłem, teraz robią ze mną, co chcą. Zawadzam im do intryg, król mnie odprawia precz, muszę jechać za godzinę. Zostaniesz pani samą.

– I cóż to ma znaczyć? – pogardliwie odpowiedziała Hoymowa. – Czy straż waćpana potrzebuje dla upilnowania mojego honoru?

– Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zuchwalstwa ich i bezwstydu! – krzyknął Hoym, stukając o stół pięścią. – Nie wyprawiliby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tym wszystkim czuję palce kochanego Fürstenberga, który mi dziś śmiejąc się szydersko, tysiąc dukatów zapłacił, a wiem, że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl sprowadzenia tu mej jejmości.

– Hoym! – krzyknęła podnosząc się Anna, której oczy zaiskrzyły się. Dostyc tych obelg, idź... jedź... rób, co chcesz... zostaw mnie w pokoju! Sama się obronić potrafię! Dość tego, powiadam ci, dosyc mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypominał mu nadchodzącą odjazdu godzinę.

– Nie potrzebuję panią ostrzegać! – zawołał. – Wiesz, co ja tu czekać może, dodam tylko, że bezcześci nie zniosę! Wolno Vitzthumowi i innym pobiłować, ja nie mam ich dobroduszości.

– Ani jam tak nisko upadła, panie Hoym – przerwała Anna – jak te panie. Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżyła. Jeśli życie jeszcze mi nieznośniejszym uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno.

Hoym nie odezwał się więcej. Zdawał się u progu wahać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukano do drzwi, królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu.

Z zamku śledzono chwilę, gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał; posłano za nim, by sam nie ważył się wracać. Wedle ułożonego planu hrabina Reuss miała do siebie zaprosić Annę, król mógł tam przybyć niespodzianie, *incognito*. Vitzthumowa została zaraz wyprawioną potajemnie dla spełnienia tej misji, ale Anna odmówiła stanowczo. Na próżno zapew-

niano ją, że nikt w świecie o jej bytności wiedzieć nie będzie. Domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz wypowiedziała to siostrze mężowskiej.

– Jesteś nadto domyślna i ostrożna – rozśmiała się Vitzthum – ażebyś kłamać chciała przed tobą. Być by mogło, iż król, ciekawy poznać cię bliżej a wiedzący o każdym ruchu i kroku, zjawiłby się u Reussowej. A jeżeli dla nakarmienia tej ciekawości przyjedzie tu do ciebie do pałacu, coś zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przyzwoiciejże to będzie i piękniej, gdy sam na sam z tobą spędzi kilka godzin? Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobladła.

– Ale król nie może być tak... – zabrakło jej wyrazu – tak... natarczywym, król będzie miał wzgląd na sławę moją! To być nie może! To by było...

– Ja ci powiadam, że może być wszystko, że król jest znudzony i ciekawy i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go uległością swą despotyzmu. Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowej nie będziesz.

– Wieszże ty o tym? – spytała Anna. – Skąd?

– Ja nie wiem nic, ale znam mego pana – śmiejąc się dziwnie, szepnęła Vitzthum. – Pamiętam pewien wieczór... własnego życia. – To mówiąc westchnęła.

Anna załamała rękę.

– A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być potrzeba? Znajdę sztylet i pistolety; ani żelaza, ani prochu się nie lękam.

Rozdrażnioną wielce Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie strachy obrócić.

– Powinnaś wiedzieć to – rzekła – że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobiety się nie splamił. To nie jest w jego charakterze; uprzejmy, grzeczny, natarczywy, zbyt jest pięknym i miłym, by się do takich środków miał uciekać.

Po długiej rozmowie Vitzthumowa zdołała ją na koniec nakłonić, aby razem wieczorem do Reussowej jechały. Z tą triumfalną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstenberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział, że na chwilę pojedzie do księżnej Teschen, a powracając, ekwipaże do zamku odeśle z pochodniami; sam zaś lektyką, którą Fürstenberg miał kazać nagotować, *incognito* zanieść się każe do hrabiny Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg tej wielce, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwej historii, musimy skreślić czytelnikowi równie wierny wizerunek bohaterki naszej, Anny hrabiny Hoymowej.

Była sierotą, samą na świecie, wyszła za mąż zmuszona, a przynajmniej niechętna. Pożycie jej z mężem wprędce stało się nieznośnym, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każda inna w jej miejscu rada by była skorzystać z następczącej się swobody, świetnego losu, choćby nietrwałego, który potem zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłęd chwilowy, ale Anna wychowaną była w surowych niegdyś zasadach: oburzało ją lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczej, jak skutkiem m i ł o ś c i króla i dla króla i w i e k u i s t e g o z n i m ś l u b u.

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko. Chcieć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płochego, jak August, zdawało się czystym niepodobieństwem. Anna, widząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała, że to jest możliwym.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jej podobać bardzo. Blask korony i potęgi dodawał mu uroku, nie dziw też, że Anna miała dlań sympatią, że jej serce uderzyło. Pomimo iż czuła, że z nim by być mogła szczęśliwą, nie przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczej jak małżeństwem i przysięgą urzeczywistnić się mogło.

W tych kilkunastu godzinach, jakie od balu upłynęły, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg, mających na celu zbliżenie jej do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, ważyła i powiedziała sobie:

– Mogę być jego, lecz muszę być królową.

Opór jej Vitzthumowej był raczej już obrachowanym niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą, mając niezmiennie postanowienie raczej zerwać wszystko, niż stać się igraszką intrygi. Czuła się silniejszą nad nią, zwierciadło pokazywało jej urodę i krasę młodości, w oczach króla czytała wrażenie, jakie na nim uczyniła: postanowiła korzyść z tego.

– Nie spodzę się nigdy! – wołała sama do siebie. – Raczej zostanę nieszczęśliwą Hoymową niż Augusta kochanką! Będę jego żoną lub mu obcą.

W tym wszystkim było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki. Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać, że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobieta roiała, a marzenia są niebezpiecznymi towarzyszami w samotności. Niekiedy, rumieniąc się sama przed sobą, przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny. Duma i chęć panowania budziły się w niej z wolna i duszę skłonna do poddania się im opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina, w której miała się ukazać na wieczorze u Reussowej, Anna ubrała się jak najstaranniej, z niewymuszoną, ale smakową elegancją. Moda wieku dozwalała jej cudnych kształtów ręce, obnażone do ramion, i prześliczny tok karczku, i utuczony, marmurowy odsłonić popiersie. Cera nie potrzebowała bielidła ani różu, była świeżości wiosennej, a krew to ją oblewała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białość. Czarne, kruche sploty włosów, utrefione wdzięcznie, podnosiły jeszcze blask płci przejrzystej i jak atłasy delikatnej. Lecz wszystko to było niczym przy oczach pełnych ognia i uroku czarodziejskiego. Oczy te, gdy się wpiły w człowieka, mogły go doprowadzić do szaleńczego; mówiły więcej, niż ona sama kiedykolwiek usta wysłować mogła. Był w nich ten nieokreślony wdźwięk tajemniczości, niezbadany, nęcący, niepokojący, który ciągnie jak wejrzenie bajecznego bazyliusza, co jednym zabijało błyskiem.

Przejrzawszy się w zwierciadło, Anna znalazła się sama tak piękną, iż się swej postaci uśmiechnęła. Ubrana była czarno, a pasowych wstęg pęki odżywiały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa, która zajechała po nią, ujrzawszy ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jej korony nie byłoby jej zdziwilo.

– I ty mówisz – zakrzyknęła ręce łamiąc – że chcesz w zaciszu przemęczyć się z moim bratem, a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?!

– Już ciż – odparła zimno Anna – żadna kobieta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

– Aleś ty mistrzyni wielka i rady do stroju nie potrzebujesz. No jedźmy!

Ten sam okrzyk i ciche szepty radosne przywitały ją u pani Reuss. Piękność jej, która na balu była już zwycięską, tu wydawała się promieniejącą. Wszystkie te panie, co się nie wyrzekły były pretensji do wdzięku, poczuły się teraz starymi i zwiędłymi. Anna, o której wieziono, iż ma lat 24, wyglądała na osiemnaście. Była to – Diana starożytna z całą swą dumą dziewczęcą i surowością leśnego bóstwa, co się z dala od oczów tłumu schowało.

Nikt się tak nie cieszył, jak hrabina Reuss, bo jej widokom odpowiadało to najlepiej. Annę otoczono kołem, zawczasu czcząc ją jak królową i starając się jej łaski pozyskać. Fürstenberg, poprzedzający króla na chwilę zobaczywszy Hoymową, osłupiał.

– Znam króla – rzekł – ta kobieta robi z nim, co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wcale jej uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu już szukał tej, którą chciał widzieć. Ujrzawszy ją zarumienił się, pobladł, zmieszał i zapomniawszy o go-

spodiny, przybiegł ją najprzód przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskiej, milionowych strat, zdrad i zawodów.

Anna przywitała go z dala ceremonialnie i chłodno, ale strój już sam mówił wiele. Chciała się podobać, to było oczywiste i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrażenia król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i względów należnych płci pięknej. Chociaż nie cierpiał hrabiny Reuss, usiadł przy niej na chwilę, rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczów od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchen, potem uśmiechnął się do Vitzthumowej, naokół obdarzył wejrzeniami i galanterią wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonialnego obchodu pani Vitzthum miała czas ująć bratową pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiejś pilnej, ciekawej rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego *tête à tête*, bo jak tylko August ukazał się w progu i zagaił kilku słowy rozmowę z Hoymową, pani Vitzthum poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprawdzie otwarte i podniesiona portiera dozwalała przechadzającym się po salonie paniom oglądać z dala oblicze najjaśniejszego pana ale nikt nie mógł stąd posłyszeć, co mówili ze sobą.

August już dziś wczorajszej obawy zapomniął, widocznie był rozplómienny.

– Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą, a zupełnie inną niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką! – zawołał nie hamując się wcale. Hoymowa się skłoniła.

– Najjaśniejszy Pan tak znanym jesteś ze swej pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpochlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć – odezwała się Anna.

– Wymagasz pani przysięgi? Na wszystkie bóstwa Olimpu przysiąc jestem gotowy. Tak pięknej kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się nielitości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojej obrzydliwej akcyzy.

Anna mimo woli się rozśmiała, pierwszy raz spod warg różowych wyszedł rząd białych jak perły ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całej jej fizjonomii, stała się jeszcze bardziej urocza. Dwa małe dołki, jakby wycelowane, ukazały się na rumianych policzkach i znikły. Twarz oblana chwilę karminem bladła z wolna i przechodziła w ton jakby blaskiem wewnętrznym ogrzana.

Król spojrzał na ręce, a namiennie lubił piękne ręce całować, i ledwie się mógł powstrzymać od przyciśnięcia ich do ust. Były to arcydzieła snycerskie. W głowie mu zawracać się poczęło.

– Gdybym był tyranem – zawołał – Hoymowi bym wrócić tu nie pozwolił, bom zazdrosny o tego Wulkan!

– Wulkan jest też zazdrosny – odparła Anna.

– A Wenus przecież go kochać nie może?

Milczenie było odpowiedzią; długo król czekał.

– Jeśli nie miłość, są inne kajdany, co wiązać może silniej nad nią: łańcuchy obowiązku i przysięgi.

Król się uśmiechnął.

– Przysięgi w miłości?

– Nie, Najjaśniejszy Panie, w małżeństwie.

– Ale są małżeństwa świętokradzkie – rzekł August – a za takie uważam, gdy się piękność łączy z taką niezdolnością szpetoty! Bogowie naówczas złamanie przysięg rozgrzeszają.

– Ale duma ich skruszyć nie dopuszcza.

– Surową pani jesteś.

– Więcej, niż się może zdaje Waszej Królewskiej Mości.

– Przerażasz mię, hrabino!

– Was, Najjaśniejszy Panie? – uśmiechając się poczęła Anna. – Nie sądziłam, abyś Wasza Królewska Mość miał się tym choć cokolwiek czuć dotkniętym. Cóż ta surowość może pana mego obchodzić?

– Więcej, niż się pani zdaje – podchwycił król, własne jej powtarzając wyrazy.

– Tego zrozumieć nie mogę – szepnęła po cichu Anna.

– Jak to? Więc pani nie chcesz widzieć tego, że ja od wczoraj pierwszym jej wejrzeniem zostałem podbity?

– Moja zdobycz – odpowiedziała Anna – zapewne nie potrwa do jutrzej. Wasza Królewska Mość dzielisz tę sławę z bogami, że łatwo kochać i zapominać umiesz.

– Nie – zawołał król czule – wierząc mi, pani, potwarze to są! Cóżem winien, że nigdy nie trafiłem na serce, na umysł, na piękność, co by mnie stałe przywiązać mogły? Nie ja niewiernym jestem, mnie zdradzają. Co dzień spada z tych bogiń jedna zasłona, co dzień gaśnie urok jeden, cud staje się powszednim zjawiskiem, anioł traci skrzydła, a w sercu zamiast miłości znajduję zalotność i chłody. Cóżem winien?! Wierz mi, pani – dodał unosząc się coraz – ja szukam, do kogo bym całe życie mógł należeć, komu bym mógł zostać wiernym. Gdybym znalazł to serce, tę kobietę, oddałbym się jej cały.

– Trudno temu uwierzyć – szepnęła Anna – a trudniej jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość, co by Waszej Królewskiej Mości godną była.

– Wierz mi, pani – przerwał August – że ją w tej chwili w was widzę.

– Po dniu białym, niestety, inaczej bym się wydawała, a po kilku dniach białych zgasłby urok nowości, ani mi łaska Waszej Królewskiej Mości zawrócić może biedną głowę, bo się jej czuję niegodna.

– Pani jesteś zachwycającą! – zawołał August, sięgając po jej rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała. Król, pochwyciwszy białą rękę, pieścił ją i całował tak długo, że nareszcie z całym poszanowaniem dla jego Królewskiej Mości Anna, w płomieniach stojąc, by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała z lekka ją wyrwać.

August wstał cały wzruszony.

– Nie mogę się od pani oderwać – rzekł – będę zapewne musiał w pomoc niedołężnym zapalom, które, jak widzę, żadnego na niej nie czynią wrażenia, wezwać moją władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją. Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jej może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokończył. Anna nie myślała się jakoś wstawiać.

Rozmowa byłaby się przeciągnęła nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, nie wiadomo z jakiego powodu przyspieszywszy wieczerzę cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowej. Był to raczej podwieczorek tylko, na sposób włoski złożony ze słodczy, owoców i wina. Król najpierwszy kielich wychylił za zdrowie żony ministra. Fürstenberg baczna na Najjaśniejszego Pana zwracał uwagę.

– Teschen przepadła! – rzekł na ucho Vitzthumowej.

– I mój brat także! Widzę to jasno – szepnęła piękna pani – byle bratowa rozum miała...

– Byle go nie miała nadto – dodał Fürstenberg. – Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie. Król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jej pono głowy zawrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym.

Po tej *collazione*, od której wstawał każdy, gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August zrećźnie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymową.

Została nie wyrrywając się, była wesołą, swobodną, lecz i Fürstenberg, i król wiedzieli dobrze, iż była zupełnie panią siebie i że świetny triumf, jaki odniosła, wcale jej nie upoił. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa tak skoro, jak inne, i wcale nie zdawała się chcieć z niej korzystać.

Ubodło go to mocno. Przytomność i lodowaty chłód tej kobiety zaczynały go gniewać, ale zarazem rozżarzały powziętą miłość. W pierwszej chwili zamyślał tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy, galanteryjny stosunek, który by pod zasłoną tajemnicy nawet księżnej Teschen nie wyrugował z serca, postrzegał teraz, że z tą piękną panią daleko trudniej przyjdzie, niż zrazu rachował.

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawną; widocznie starała się na wszelki sposób króla usidlić, lecz sama stawiała mu się prawie coraz zimniejszą, śmielszą i nieprzystępniejszą. Zamiast postępować jak zwykle z Jowiszowym szczęściem, przyspieszonymi kroki do celu, król August widział się coraz dalej od niego. W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywym i nie osłaniając swego zapału, dopraszał się kącika w sercu pięknej pani, zupełnie już z nim oswojona, Anna odpowiedziała dobitnie:

– Najjaśniejszy Panie, daruj mi, lecz zmuszasz do niemiłego wyznania. Jestem jedną z tych nieszczęśliwych, słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli Wasza Królewska Mość sądzisz, iż olśniona urokiem, którego potęgę wyznaję, zapomnę, com sobie winna, że mną chwilowy szal owdłanie i dla uroków jego przyszłość mi zniknie z oczów, mylisz się, Najjaśniejszy Panie. Anna Hoym nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską, kochanką chwilową. Serce moje odda się całe, na zawsze lub... nigdy!

To mówiąc, wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potem król z Fürstenbergiem wymknął się z mieszkania hrabiny Reuss, która dostrzegłszy go, wybiegła za nim na wschody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hrabina Reuss poznała z wyrazu twarzy, jak się rozeszli z Hoymową, udała niezmierne ubolewanie nad tym, lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę: stosunek jej z królem, trudniej zawarty, stalszym być obiecywał. Miłostki krótkie, które by księżnej Teschen nie obaliły wcale, nie odpowiadały jej myśli. Przez Annę spodziewała się i ona pewniejszy wpływ pozyskać.

– Kochana hrabino – szepnął król odchodząc – staraj się zmiękczyć ten posąg. Piękna jest jak Wenus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król począł schodzić ze wschodów. Rozmowa z poufnym przyjacielem jak Fürstenberg w innym już była tonie.

– Kobieta jest zachwycająca – rzekł król – ale przerażająca razem, jak lód zimna.

– Najjaśniejszy Panie, trzeba czasu. Kobiety są różnych umysłów i temperamentów. Cóż dziwnego, że się broni?

– Broni! Ale ona wyraźnie mówi, że wiekuistych chce ślubów!

Każda miłość z początku myśli, że powinna być wiekuistą, i każdej się przyrzeka, że nią będzie.

– Z tą nie przyjdzie łatwo – dodał August. – Teschen była daleko powolniejszą.

– Najjaśniejszy Panie, ale między nimi porównania nie ma.

– Niestety, to prawda! Teschen jej nie dorównywa. Poślijcie Hoymowi rozkaz, aby mi się wracać nie ważył.

– Ale cóż on tam robić będzie? – rozśmiał się książę.

– Niech robi, co chce, niech ze szlachtą się kłóci, niech im bałamuci żony – przerwał król – nade wszystko niech zbiera jak najwięcej pieniędzy, bo mam przecucie, że moja nowa miłość wiele ich kosztować będzie. Taki brylant musi być koniecznie w złoto oprawnym.

– Jak to, Najjaśniejszy Panie, już miłość?

– Wściekła! Fürstchen, rób, co chcesz! Anna być musi moją!

– A Urszula?

– Żeń się z nią.

– Dziękuję.

– Ożeń z nią, kogo chcesz; zrób, co ci się podoba; to rzecz skończona.

– Już, Najjaśniejszy Panie? – zapytał książę ze źle utajoną radością.

– Zrywam... zerwę... Hoyma ozłocę... ciebie... ją...
– Ale skąd tyle złota weźmiemy?!

– Na to Hoyma rozum – odparł król – piszcie mu, niech sam się o akcyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, egzekwuje, byle nie wracał.

– Aż gdy już nie będzie miał po co – szepnął książę. – To się rozumie.

Król westchnął. Weszli do pałacu, a August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślonny. Ostatnia kampania nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

VII

W ten sposób rozpoczęło się na dworze Augusta II jedno z panowań kobiecych, które dłużej nad inne trwać miało.

Całe miasto i dwór śledzili z niespokojnym zajęciem przebieg sprawy, której koniec łatwym był do odgadnięcia. Nie przyszedł im jednak tak rychło, jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłanymi doń kurierami wstrzymywano coraz dłużej, nie pozwalając mu powracać.

Co dzień hrabina Reuss, pani Vitzthum, książę wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknej Anny, co dzień pani Hoym była z nim śmielszą i poufalszą, ale August od owego wieczora u hrabiny Reuss nie postąpił ani na krok, nie usłyszał nic innego nad to, co mu wówczas zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, a chłód jej, przytomność i panowanie nad sobą w końcu wszystkich niepokoić zaczynały. Obawiano się, aby się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie skorzystano ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym, ilekroć ją badano, odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wymagała jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Eberhardyna, to uroczystego zapewnienia, iż król ją poślubi, jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwykajny, w innym czasie, na innym dworze, wśród mniej płochych ludzi byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mu pierwszy raz o nim doniósł Fürstenberg, nie odpowiedział ani słowa.

– Przyznam ci się – rzekł do niego w kilka godzin potem – żem znudzony tymi przedłużonymi konkurami; raz przecie skończyć to potrzeba!

– Zerwać? – zapytał książę.

– Zobaczymy – lakonicznie odezwał się król.

Więcej nawet zwykły jego powiernik nie mógł się dowiedzieć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przynieść do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wór był ogromny i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko. Fürstenberg nie śmiał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskliwy. W przeddzień August się widział z Hoymową w bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na przechadzkę wywiozły. Mówił z nią, chodząc, długo; był niezmiernie czuły, lecz pani oblewała go chłodem i gdy odjeżdżał, Vitzthumowa zapewniała, że na twarzy jego, wprawdzie skrywanego, lecz tak strasznego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widocznym było dla wszystkich, iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal co dzień do księżnej Teschen, która tonęła we łzach, gdy jej donoszono o Hoymowej, i osuszała je zobaczywszy Augusta. W tej niepewności przeszło kilka tygodni, czas, który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli, komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Na ostatek Hoymowi już nie pozwolono, ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniej zasilął.

Właśnie tego dnia, gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owymi stu tysiącami talarów w karecie kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma.

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym, sama jedna w domu, chodziła zamyślona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych odwiedzin nad kobiece. Zdziwiona była mocno, usłyszawszy męskie głosy na wschodach, a bardziej jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwarły się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przerażona tym zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni jej pobytu w Dreźnie pistolet nabity; był to jej nieodstępny towarzysz. Śmiano się z niej, bo go tam wszyscy u niej widzieli.

Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okryta. Jakkolwiek ruch ten był żywy i zdawał się nie postrzeżonym, oka królewskiego nie uszedł.

– Nie potrzebujesz pani żadnej obrony! – zawołał. – A ta, którąś sobie wybrała, na nic by przydatną nie była.

Anna wlepiła w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

– Słuchaj mnie, pani – kończył August, rzucając wór złota na ziemię z taką siłą, iż pękł i dukaty rozsypały się brzęcząc po posadzce – mogę cię obsypać złotem, dostojęstwem i tytułami.

W tej chwili przyniesione z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

– Ale mogę – dodał – to, co mi się opiera, złamać, jak kruszę to żelazo. Masz pani do wyboru złoto lub żelazo, pokój i miłość lub wojnę.

Anna stała, obojętnie patrząc na kupę złota i połamane żelastwo.

– Najjaśniejszy Panie – odezwała się po chwili – ja się nie lękam śmierci ani pragnę złota. Możesz mnie zgnieść jak te podkowy, woli mojej nie złamiesz. Złoto jej nie roztopi. Dlaczegoż nie przynosisz mi jednej rzeczy, która mnie poruszyć i zwyciężyć może? Twego serca?

August podbiegł ku niej.

– Masz je od dawna! – krzyknął.

– Nie widzę tego i nie czuję – poczęła powoli Hoymowa – serce się objawia czynem: serce, co kocha, nie może pragnąć zbezczeszczyć to, co ukochało! Nie będę taić ci, Królu, kocham cię! Nie mogłam się oprzeć tej miłości, ale jej nie splamię...

Król żywo poskoczył ku niej i ukląkł. Anna uciekła w drugi koniec sali.

– Posłuchaj mnie, Królu!

– Rozkazuj!

– Anna Hoym inaczej twoją nie będzie, jak gdy się godną twej miłości uczuje.

– Więc warunki? Mów! Jakie są warunki?

– Przrzeczenie ożenienia na piśmie.

August, słysząc to, zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczył.

– Anno – rzekł – to dla ciebie samej niebezpieczny warunek, wierzaj mi.

– Nie odstąpię od niego, życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i w nadziei będę żoną twoją lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król cofnął się krok.

– Dobrze więc – rzekł – chcesz tego, mieć będziesz.

Anna krzyknęła radośnie.

– Reszta jest niczym przy tym! – odezwała się głosem, w którym brzmiało szczęście. – Muszę mieć rozwód z Hoymem.

– Jutro każę go w konsystorzu podpisać – pospiesznie dodał król.

– Cóż więcej?

– Z mej strony więcej nie mam nic – przyklękając przed królem, złamanym głosem odezwała się Anna – dla mnie tego dosyć.

– Ale nie dość dla króla, dla mnie – podchwycił August, porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię, Anna się uwolniła.

– Najjaśniejszy Panie! – krzyknęła. – Wierzę twojemu słowu królewskiemu, lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy, co mnie wiążą! rozwód musi być ogłoszony, przyrzeczenie twe podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgam mu wierność i dochowam jej.

August milcząc w rękę ją pocałował.

– Czyń, co ci się podoba, co cię uspokoi. Jam twój niewolnik, tyś pani moja! Dzisiaj przyjeżdża Hoym, rozstań się z nim. Jutro pałac dla ciebie gotować każę; sto tysięcy talarów rocznie i całe moje dwa królestwa u nóg twoich, a z nimi ja.

Anna, widząc go klęczącego, z lekka pocałowała w czoło i odskoczyła.

– Do jutra!

– Mam wyjść? – spytał August.

– Do jutra! – podała mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował się ku drzwiom wzdychając. Na posadzce sali kupa złota rozrzucona została.

Tejże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do drzwi żony i zastał je zamknięte. Powiedziano mu, iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonej nad wolę swą i potrzebę podróży hrabia coraz mocniej niecierpliwił się i niepokoił o żonę. Miał wprawdzie swoich zauszników, którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym jej widomym kroku i ruchu, lecz ze wzmianek o odwiedzinach i przejażdżkach, w których zawsze prawie i siostra jego, pani Vitzthum, udział brała, nic bardzo zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł pomimo to, iż intryga związana rosła i płatała się, coraz silniej grożąc jego pożyciu małżeńskiemu, ale do kogo miał się udać, aby się o to upomnieć? U góry stał król, a króla lękał się Hoym nad wyraz wszelki, bo go lepiej znał nad innych. Jego pozorna słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go wcale. Los swojego dobroczyńcy, Beichlinga, miał ciągle na oczach. Największą rekojmią dlań był charakter żony, jej duma i miłość dobrej sławy.

Przybywając do Drezna, nie wiedział o niczym więcej nad to, co mu usłudzi jego szpiegowie donosili. W samym mieście od ludzi dworu niewiele się spodziewał dowiedzieć. Godzina była spóźniona. A choć na zamku król biesiadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie kuśił. Pojechał więc do domu i drzwi żony znalazłszy zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano oblegli go urzędnicy od akcyzy. Król przysłał, aby się stawił do zamku, tak, że nie widząc się z Anną, wyruszyć musiał. Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król, uściskawszy (był to znak jak najgorszy). Wymawiał mu nawet, że się tak długo w podróży zabawił, chociaż starał się o to, aby była przedłużoną; udał, że wcale o tym nie wiedział. Hoym z zadziwieniem spojrzał królowi w oczy. Nie mówiły nic.

– Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczywista – szepnął August uderzając go po ramieniu – chciano cię od mojego boku oddalić, ale nie lękaj się, masz też we mnie silniejszego nad nich przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmowie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedostatek pieniędzy.

– Hoym kochany, na wszelki sposób musisz się mi ich starać, potrzebuję ogromnie wiele.

Było około południa, gdy z tej audiencji, która mu wiele dała do myślenia, do domu powrócił. Zaledwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy drugie od sali się otwały i Anna, ubrana czarno, jaśniejąca pięknnością, spokojna i poważna, weszła, drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niej żywo, przyjęła go chłodno i z daleka trzymając.

– Czekałam na was, panie hrabio – rzekła głosem swobodnym – przychodzę mu podziękować za wszystko dobre, jakiegom od niego doświadczała, i zapewnić, że wspomnienie o tym zachowam na zawsze; ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo nasze, na wzajemnej sympatii nie oparte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierza do rozłączenia się. Kilka lat ciężkiej próby nie pozwalają lepiej wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio. Znasz mnie pan, iż jestem otwarta i lubię postępować jawnie. Jego Królewska Mość uczynił mi ten zaszczyt, iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie; godzien jest, bym jej nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną. Zdradzać jednak waćpana nie mogę i nie chcę, przychodzę żądać rozwodu, który honor waszego imienia ocali. Nie możemy postępować inaczej. Jeśli rozwód z dobrej woli pan przyjmiesz, możesz być pewien mojej przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkim. Jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwiać się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojej wdzięczności dla niego, pamiętać tylko, że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędowego i chłodnego przemówienia żony swej wszystkiego się domyślił, cofnął się jak piorunem rażony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał, ażeby rzeczy już w tej chwili zaszły tak daleko. Błada jego twarz okryła się siną niemal czerwonością, krew go dusiła, chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć. Anna trzymała go ostrym wzrokiem na miejscu, dopóki nie dokończyła. Hoyma oburzała i treść jej słów, a nade wszystko chłód, obojętność, z jaką je wymawiała.

Bawiła się sznurami swej sukni, koronką rękawa, chusteczką, którą miała w białych palcach. Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowny, jeszcze wyjąknąć słowa nie umiał.

– Mościa pani – krzyknął z namiętnością podnosząc pięść do góry – wywdzięczasz mi się łaskawie za to, żem cię z zapleśniałego kąta wyciągnął! Odegrałem żmiję! Rzucasz waćpani męża i dom uczciwy, aby pójść na łaskę i niełaskę najlekko-myślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić dalej.

– Dosyć, panie hrabio, wiem od razu, co mówić będziesz, ale wiem też, co czynię. Staranie o mój los mnie zostawcie. Mojego postanowienia nic nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór; chceszli z dobrej woli przystać na rozwód czy nie? Mamy zostać przyjaciółmi czy wrogami? Tak czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiązłość zwała się galanterią; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla niej ostygła. W tej chwili jednak, gdy pomyślał, że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie, rozbijając krzesła i bijąc się o stoły. Łamał ręce, stawał w oknie, patrząc bezmyślnie w ulicę, to znowu przypadał groźny do hrabiny, która nań nieulekniona czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wie, co czyni. Stosy papierów rzucał pod nogi i deptał nimi, stół obalił. Cała ta pasja, którą może chciał przerazić żonę, najmniejszego na niej nie wywarła wrażenia. Anna, niemal szyderczo patrząc nań, cofała się milcząca i czekała. Nie mogąc wreszcie doczekać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

– Widzę, że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój czy wojnę, daję więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczną. Masz do wyboru albo wzrost, lub upadek.

I wyszła, nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle, rwąc na sobie odzież, siadał, wstawał, rozpaczał i byłby tak przetrwał, nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szalów. – Co ci jest, Hoym? – zawołał. – Co ci się stało?

– Co się stało? A! Wy to lepiej z pewnością wiecie ode mnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzuca! Królowi jeszcze i tej potrzeba było. Po cóż szła za mnie?! Dlaczego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na szyderstwo?!

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

– Słuchaj, Hoymie – rzekł – bardzo pojmuję, że ci pięknej Anny żal być może, ale nigdy nie miałeś jej serca, a bałamuciłeś się tak, iż wątpię, żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwiał. Jest to sprawa miłości własnej. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z poleceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

– Cóż Najjaśniejszy Pan każe? – mruknął ironicznie.

– Żąda, abys dozwolił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyrzeka – dodał Vitzthum. – W przeciwnym razie, mój kochany Hoym, bardzo mi cię żal, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Najmniejsza przykrość, wyrządzona hrabinie, uważaną będzie za obrazę majestatu.

– Ale po cóż chcecie mojego zezwolenia?! – wybuchnął Hoym. – Wszakże król i bez niego uczynić może, co mu się podoba. Konsystorz jemu, nie mnie, będzie posłusznym. Ja tu nic nie znaczę. Zabiera mi, com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda, abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

– Jest to dowód łaski króla, że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widzieć w tym powinienes chęć zatrzymania cię na stanowisku.

– Bom mu potrzebny! – mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

– Kochany hrabio, namyśl się – rzekł – gdy wyjdę stąd, będzie po czasie.

Hoym znowu biegał i co spotkał, wywracał. W końcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem, pełnym goryczy, i padł w krzesło.

– Hoym, król czeka na odpowiedź – zapytał Vitzthum.

– Wszakże nie mogła być wątpliwą – odparł minister. – Szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jej, grożąc mu pałąk nad głową. A więc naturalnie, kochany szwagrze, zaniesiesz odpowiedź Najjaśniejszemu Panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczny, iż raczył mnie od ciężaru tej kobiety uwolnić, że zgadzam się na wszystko, żem rad, szczęśliwy, wesół i całuję pańską rękę jego Przecież to honor niepospolity ofiarować Najjaśniejszemu Panu od ust nadgryziony owoc, cha! cha!

– Gdybyś wypił szklanek zimnej wody – szepnął Vitzthum, biorąc za kapelusz – hę?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

– Wierz mi – rzekł cicho – ty jeszcze lepiej na tym z łaski żony wychodzisz niż inni. Po-wiem królowi, że się zgadzasz; ochłoniesz i odboleszesz.

Vitzthum przypomnieć sobie zapewne musiał, mówiąc to, własną swą przygodę z siostrą Hoyma, która krótką chwilę szczyciła się łaską Najjaśniejszego Pana.

Na odpowiedź męża oczekiwał sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony, w końcu kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokoiów Anny. Vitzthum miał się udać na zamek,

gdy mu oznajmiono, że król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca August poznał zaraz, iż Hoym się upierać nie będzie. Piękna Anna niespokojnie biegła do posła.

– Byłeś hrabia szczęśliwszym niż ja?

– Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może – odparł kłaniając się Vitzthum – ale byłem cierpliwszym. Dałem się wyburzyć Hoymowi, i na wszystko się zgodziłem.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

– A! Przynosisz mi pan swobodę i szczęście! – zawołała. – Nie umiem ci odwdziaczyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi. Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie. W pudełku była miniatura Anny, przed kilką laty zrobiona.

– A! – zawołał król. – Przepraszam, to zanadto dla ciebie. Vitzthum, prawem królewskim konfiskuję, w zamian daję ci 20 000 talarów. Tego wizerunku nikt prócz mnie mieć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję. Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina, podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych. Królewski rozkaz przyspieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscach, tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku, który naprędce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galerią krytą.

Wieść o tym wypadku piorunem pierwszej chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majątności swej rodziny w Holsztynie kazała się zwać panią Cosel. August poprzysiągł jej, że u cesarza Józefa wyrobi tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy od dawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dnie prawie spędzał u niej, stał się niewidzialnym, zapomniał o całym świecie.

W pierwszej chwili zaraz księżna Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zrzecznością do ostatniej chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkim. Rozwód Hoymowej, jej przeniesienie się pod zamek nie zostawiały najmniejszej wątpliwości o tym, iż panowanie księżnej było skończone. Ze strony króla ustały wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz księżna Teschen pozostała swobodną, panią swej woli i niełaska nie dotknęła jej więcej w niczym; pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać choćby dla kardynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny, a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym. Pomimo szpiegów, jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadził dokoła pałacu księżnej, o zamiarach jej nic się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappową, nienawidzącą siostrę, dobyć z niej tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale księżna Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział, czy pozostanie w Dreźnie, zamieszka w Hoyerswerda lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było. Życie szło trybem zwykłym, dwór tylko, dawniej świetny i liczny, znacznie się zmniejszył. Ci, co pozostali wiernymi księżnie, posądzeni byli o szpiegostwo, towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden książę Ludwik Wirtemberski teraz częściej i dłużej tam przebywał. Intrygi dworskie, na chwilę skierowane na obalenie panowania księżnej Teschen i wzniesienie pani Cosel, po zwycięstwie jej inny wzięły kierunek.

Fürstenberg, którego król w początku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odegrywającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronnictwa nieprzyjazne zaczęły się coraz jawniej zarysowywać wśród na pozór sfornego dworu Augusta II. Staraniem było dobrego króla najtroskliwszym nie dopuścić, aby wkoło niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i o ile mógł, przykładał do poróżnienia ich z sobą. Jątrzył ich na przemiany okazywanymi jednym łaskami szczególnymi, to dając się drugim dorozumiewać,

iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marsowo z ukosa na się spoglądających twarzy cieszył go i ubezpieczał. Jedni w ten sposób skarżyli na drugich, dowiadywał się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na uniemożliwianiu zgody.

Vitzthum, o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Cosel miejsce powiernika, był – jakśmy mówili – szwagrem Hoyma. Rodzina ta, pochodząca z Turynгии, była już od dawna w służbie saskiej. Wielki sokolniczy, hrabia Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pазia i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbывał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód ciekawych doznali; a po upadku wielkiego kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolniczostwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Königsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dlatego, że się go wcale nie obawiał. Nie był to wcale geniusz, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, grzeczny, łagodny, usłużny, zresztą doskonały dworak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególniej w rycerskich ćwiczeniach, ulubionych królowi, celował Vitzthum; jeździł doskonale konno, strzelał, gonił do pierścienia, a gracz był tak namiętny, iż gdyby mu wolno tylko było grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też niezłośliwym, ale miłym dowcipem i wesołością. Mówiliśmy już, jak szlachta saska ostrożnie, ale uparcie starała się królowi z uszanowaniem opierać, gdzie szło o jej przywileje. Vitzthum był tej szlachty przy dworze potajemnym i zręcznym obrońcą. Poufałość, jakiej mu król dozwalał, szczególnie przy ucztach i winie, dawała mu zręczność powiedzenia czasem skuteczniejszego słowa, które uchodziło za żart, a w istocie było bolesną i gorzką prawdą. Wyjawszy tę straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie miewał, od intryg stronił, ambicji nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i poza Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniej, jeśli nie więcej niż mężczyźni, rządziły. Pani Vitzthum była naówczas jeszcze bardzo świeżą i ładną, słusznego wzrostu jak większa część Saksonek arystokratycznych rodzin, oko miała szafirowe, płeć świeżą, nosek odrobinę zadarty i wesołość często zbyt dużą, bo ją po śmiechu poznawano z daleka. Śmiała się dziecinny, piskliwym śmieszkiem. Pani Vitzthum jak grą bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawiała sidła, rzucała ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie i bez niej często by zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką, jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie; nabywała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambicją, bo mu na niej zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa. Stali oni na stronie i na pozór niżej od Flemminga, Fürstenberga, Pfluga i innych, niemniej jednak wiedzieli najskrytsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciółom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Cosel stanęli też w takich z nią stosunkach, które obiecywały, że będą podzielać jej wstręty i przyjaźni i natchnąć ją potrafią jednymi i drugimi.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem dwór cały uczuł, że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą, jak księżna Teschen; nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jako królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłuszniejszym jej wielbicielem. W pięknej główce kobiety, którą trafiał zbliżyć do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświetniejszym z dawna pamiętnych karnawałów.

VIII

Nie zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawach i oryginalnych figurach, których jedynym powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do Najjaśniejszego Pana.

Co dzień z rana z tak zwanego naówczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowym nazywa, przejeżdżał na koniu, w najpocieszniejszym ubraniu, znany od uliczników do ministrów wszystkim mieszkańcom kuglarz a trefniś pański, Józef Fröhlich, który się tytułował nadwornym Jego Królewskiej Mości artystą-figlarzem. August, w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Traurig*. Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugih śmieszył, i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać, gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Błazeńskim (*Narrenhaus*), udawał się na służbę, zdolną była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały, okrągły, rumiany, nosił coś w rodzaju fraczka hanswurstowskiego, a takich fraków miał, z łaski króla, różnego koloru dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny, śpiczasty, z piórem kapelusz, z tyłu zaś na kształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne, srebrne naczynie, mające kształt kluczowi podobny, które w istocie za dobry puchar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncji. Był to podarek króla; a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnej uczty pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś byłby znużył może jednostajną wesołością swoją, gdyby z obrachowanym artystyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kontrastu w osobie niejakiego kamerkuriera barona Schmiedel, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt, nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało conceptów, min i siły, na podstawkę byli trefnisie podrzędni, tak zwany Saumagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzymą Cojanusa, dwanaście par karłów ze sławnym Hante na czele i Trammem, Murzynów, albinosów, a dalecy będziemy od poznania nawet tej maluczkiej części dworu, która ku poufalej pańskiej zabawie służyła.

Sławny Kyan, dowcipniś, nie inną też tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszej uczcie, jak go król szacował. Fröhlich był przy swej wesołości człowiekiem roztroptym i wcale niezłym. Powoli sobie grosza ciulał, żył oszczędnie, śmiał się może po cichu z tych, co się z niego głośno śmieli, i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wiele parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojej jace i kapeluszu udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do błazeńskiej kamienicy rzadko kiedy kto zapukał, bo i gospodarz w niej był gościem. Dziwnie się więc wydało pannie Locie, dojrzałej jejmościance, zostającej na usługach Fröhlicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było weszło, ktoś począł dobijać się do drzwi.

Nadworny kuglarz nastawił ucha. Nie był jeszcze ubrany, koń niegotów, a sądził, że przez jakiś osobliwszy kaprys król do rana się zahulawszy, przysłał po niego. Lota, wyjrzawszy przez szybę we drzwiach, nabrała tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską: w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głów oczyma, Lota spytała, czego by chciał.

– Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem – odparł przybyły.

– Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Że się różne poselstwa tajemnicze trafiały, Lota nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznanego na górę, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznanemu i natychmiast wchodząc w swą rolę, w wielkich krygach i przesadnych ukłonach powitał go jako ekscelencję.

Nic mniej do ekscelencji nad tego biedaka podobnym być nie mogło: blady zbiedzony, młody człowiek stał w progu, dusząc kapelusz w rękach.

– Czym mogę służyć waszej ekscelencji? – zapytał wpółzgięty Fröhlich.

– A, panie Fröhlich – odezwał się cichym głosem przybyły – nie żartujcie sobie z biedaka. Dla mnie wy prędzej będziecie ekscelencją niż ja dla was.

– Hę? hę? – spytał Fröhlich. – Ja dla was. Czy król was przysłał? Nie?

– Nie, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam na sam!

– O audiencję? Hę? – podchwycił pusząc się Fröhlich. – *Donnerwetter!* Czy przez sen, sam o tym nie wiedząc, nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cyt!) wszystko być może. Ministrowie się tak gryzą, iż ich w końcu nie stanie, a naówczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojęństw. Ja sobie zawczasu ministerstwo skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówił, na twarzy przybyłego mimo wesołego wyzwania ani promyk jaśniejszy nie błysnął; stał chmurny i milczący.

– Chwila rozmowy sam na sam? Ze mną? Akorduję. W całym domu nie ma nikogo prócz Loty, która gotuje śniadanie, i *hausknechta*, który konia drapie.

Siadł w krzesło, rozparł się i począł udawać dygnitarza przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nie rozśmieszony wcale.

– Panie Fröhlich – rzekł – zdziwisz się mocno, gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnej.

– A toś się o drzwi omylił!

– Nie – rzekł nieznanomy – wcale nie. Widuję waćpana co dzień na dworze, z twarzy jego wyczytałem, żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

– Kochanie! Pewnie chcesz pieniędzy pożyczyć – przerwał Fröhlich trzepiąc rękami – ale cię uprzedzam, że z tego nic nie będzie. Wszystkim szafuję: radą, śmiechem, ukłonem, grzbietem, czym chcesz, ale pieniędzmi? No, nie mam. Król goły, jakże ty chcesz, żebym ja pieniądze miał?

– Ani mi się śniło prosić was o to.

– A! – oddychając rzekł Fröhlich. – To czegoż u licha możesz ode mnie żądać? Żebym cię sztuki jakiej nauczył? Na przykład, jak się z jednego jajka sto pięćdziesiąt łokci wstążki wyciąga?

– I to nie – odparł przybyły.

– Szukasz mojej protekcji? – spytał Fröhlich.

– Być by to mogło – smutnie rzekł nieznajomy – gdy kto innej nie ma.

– To się choć do błazna udaje! – rozśmiał się stary. – Ale, dalipan. Schmiedel jako baron i kamerkurier lepiej by ci przysłał. Widzę z barwy, że należysz do dworu, ale akcent masz obcy. W tym nie ma nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na saskim dworze z latarką szukać przyjdzie. Któżes ty?

– Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.

– Polak, więc szlachcic, to się rozumie – rzekł Fröhlich – siadajże, szanuję szlachectwo, a żem ja mieszczanin, będę stał.

– Nie żartuj, panie Fröhlich.

– Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem, gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi: mów, szanowny Polaku, co ci jest? Choryś? Jam nie doktor.

Jakąś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać nie mógł, ten humor Fröhlicha widocznie go nękał.

– Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedzieć.

– Kilka? Chętnie.

– Dostałem się na ten dwór wypadkiem, słyszałeś pan o mnie pewnie. Trafiło mi się nie-szczęściem łamać podkowy, giąć puchary i ścinać koniom łby na wzór Najjaśniejszego Pana. Kazano mi za to wisieć przy dworze.

– Już wiem, wiem, przypominam – rozśmiał się Fröhlich – nie zazdroszczę ci, kochany panie... jakże?

– Zaklika.

– Kochany panie Unglücku – kończył Fröhlich. – Ale któż był tak... prostodusznym, by ci mógł radzić mierzyć się z królem. Trzeba być bardzo... domyśl się, by sobie tak smutną obrać rolę.

– Od czasu, jak wiszę u dworu, życie mi obrzydło. Ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki, nikogo...

– A wiesz, że i za opiekuna, i za przyjaciela mnie chcieć wybrać – to równie szczęśliwa myśl, jak łamać podkowy! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła, nie skruszyłbym słomy ze strachu, abym nie obudził zazdrości; pięknie się wykiełkowałeś...

– Stało się – rzekł Zaklika – nie mam tu nikogo.

– I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi. Nie chciałbym być w twej skórze.

– Właśnie, że mi w niej niewygodnie. Myślałem, że choć Fröhlich się nade mną ulituje.

Stary trefnił wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył ręce na piersiach, potem przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu puls macać, jakby był doktorem.

– Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało – rzekł cicho.

– Być by to mogło! – uśmiechając się odezwał Zaklika.

Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nałogu.

– O cóż ci idzie? – spytał.

– O to, aby mnie ze służby dworskiej Najjaśniejszy Pan uwolnić raczył.

– O to najłatwiej – rzekł Fröhlich po cichu – zrób głupstwo jakie, postawia rusztowanie na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny.

– Na to jeszcze czas – odparł Zaklika.

– Cóż myślisz robić, gdy cię uwolnią? Powleciesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

– Nie, zostanę tu.

– Czy ci jaka drezdenka wpadła w oko?

Zaklika mocno się zarumienił.

– Nie – rzekł – mogę dawać lekcje fechtów i konnej jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska zaciągnąć.

– Czy mrzesz głodem na dworze?

– Nie, mamy wszystkiego do syta.

– Czy ci nie płacą?

– Owszem.

– Dlaczego ci źle?

Zaklika się zmieszał.

– Nie mam tu co robić, jestem niepotrzebny.

– Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój, a szukasz biedy.

– Może – odparł krótko Zaklika – ale się wszystko znudzi...

– Szczególniej gdy komu dobrze i nie ma nic do roboty – dokończył Fröhlich. – Jednakże ja w tym wszystkim nie widzę, jak bym ci mógł być pomocnym.

– Najłatwiej, stoję często przy drzwiach pomiędzy pańskim dworem. Łada conceptem zwrócić możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę król miewa różne fantazje.

– A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał powiesić? – spytał trefniś.

– Waćpan byś mnie obronił.

Fröhlich przeszedł się po pokoju, włożywszy spiczasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce w kieszenie.

– *Donnerwetter!* – zawołał. – Zaczynam się dorożumiewać po raz pierwszy, że ja tu jestem potęgą, kiedy się ludzie zgłaszają po moją protekcję. Waćpan mi otworzyłeś oczy! Przez samą wdzięczność coś bym rad uczynić dla niego. Któż wie, mówią, że Kyan zostanie komendantem Königsteinu. Ja mogę być przynajmniej kaznodzieją nadwornym lub radcą w konsystorzu! Zaczynam nabierać ambicji.

I upadłszy w krzesło, Fröhlich śmiać się począł. Popatrzał z politowaniem na Zaklikę.

– Świat przewrócony! *Donnerwetter!* Szlachcie polski oddaje się w protekcję trefnisia, a Szwedzi, którzy żyją śledziami, biją, Sasów, którzy się karmią szwininą!

Plasnął w ręce. Na to hasło wpadła Lotte, stając z polewką winną na talerzu.

Fröhlich dał komicznie znak Zaklice, aby zamilkła, i skłonił mu się jak minister, który audiencję zamyka. Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika smutny spuścił się ze wschodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisia, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znudzony swą rolą komparsa na dworze. Snuło mu się po głowie, że swobodny, mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowej, która nagle zmieniła się w panią Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta. Śnił nie zrażony niczym, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu tej, w której czarne oczy patrzeć było dlań największym szczęściem.

Tak dziwaczne miłości jak ta, która Zaklikę opanowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzeć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadnym większym szczęściu nad to. Chciał być jej stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą. Domyślał się, że musiała mieć nieprzyjaciół, lękał się o nią, pragnął zyskać jej zaufanie i całego siebie, choćby życie, oddać na jej usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu: powolny na pozór, ale upartej a niezłomnej woli. Śmiał się sam ze swej miłości dla tej, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegast, gdy ukryty mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jej myśli, teraz mu się rajem wydawały. W Dreźnie twarz pięknej królowej rzadko miał szczęście dojrzeć na chwilę. Widywał ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze, jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć. Tego wszystkiego było mu mało. Roił, że się tam kiedyś musi dostać do

jej domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne, ostatnie pragnienie. Dla dostąpienia go byłby nie tylko trefnisiowi się pokłonił, ale większe zniósł upokorzenie.

Miłość biednego chłopca dla tej idealnej piękności nic zresztą nie ma w sobie tak dziwnego. Daleko osobliwszym mogłoby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała z daleka, Cosel z całą swą dumą, ze świeżą miłością dla pięknego Augusta, w szczęściu, które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: „Co też z tym dziwakiem z Laubegastu się stało?” Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jej strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poją ambrozją życia, jest bardzo niezwykłym uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą, była namiętną, energiczną, zuchwałą, ale serce jej niełatwo się litością poruszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę, aby na nią popatrzeć, przypominał się jej mimowolnie. Pochlebiało to jej piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którym nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się, kto by sądził, że rozmiłowany August II dla pięknej Cosel wyrzekł się swych nocnych uczt z przyjaciół. Z wielu rachub i względów były one dlań potrzebą i nałogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siało często królewskie słowo niezgodę, która była panowania narzędziem, a zręczne badanie dobywało z rozweselonych wyznania, na które by się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych niejeden skrywany grzeszek król wyciągnął. Do dnia tego znowu wieczorem była hulanka na zamku. August był teraz w najlepszym humorze, myślał o tym, jak swe bóstwo otoczyć Olimpem wspaniałości, zbytku, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym, który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, którymi dobry król otarł łzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym był potrzebny, gdyż na wszystko i nade wszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wyciśnięcia ich z zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano, co nigdy dawniej nie płaciło; ściągano grosz cudownymi wymysły; król nagradzał hojnie tych, co mu go dostarczali. Lecz najgenialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc trzeba było do środków gwałtownych i azardowych. Upadek wielkiego kanclerza, do którego i polityczne przyczyniły się wypadki, w znacznej części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych, zebranych przezeń bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję milionowego po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu darowanym księżnej Teschen, na kilku wioskach i na pół milonie talarów, które był królowi niegdyś pożyczył, a tych mu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtoramilionowej fortuny kanclerza rozdzielili między siebie jego nieprzyjaciele: Fürstenberg, Pflug, może Flemming. Król, co się wiele spodziewał, nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi sum bajecznych, jakich jego fantazje wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będące chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August, jak inni panujący, na alchemią chorował. Nie powątpiewano bynajmniej, że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszców na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył jak wszyscy marzyciele w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on, i wielu innych karmili w Augustie II myśl tę, że znajdą człowieka, co mu będzie w garnuszku smażył miliony, tak nieodbicie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodziły chwile zapału do alchemii, w których nie mówiono o niczym, prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstenberg, do której król sam przychodził, mieli je i inni miłośnicy wielkiego dzieła. Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędracach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadali.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniędzy dostarczać umiał, gdyby Fürstenberg nie mówił Augustowi, że znajdzie człowieka, który mu złoto będzie robił i zrobi go daleko więcej, niż kanclerz mógł z kraju wycisnąć.

Tym mędrcom, na którego Fürstenberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlina, którego początkowa historia dość jest ciemną, ale późniejsza najlepiej dowodzi, że złota wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustem. Na lat kilka przed tymi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, Sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptecę w Berlinie fabrykacją tynktury, czyli jak chcą inni, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiącego się Laskarysem i archimandrytą monasteru greckiego w Mitylenie. Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saksonii, Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieniędzy, schwycono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstenberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkim dziełem, a król najmocniej wierzył, iż lada dzień złoto się z tygla posypie. Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i łaskami, ale trzymano go pod strażą. Upływały lata, wywrócono z pomocą tej nadziei tynktury Beichlinga, tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkuriusz i różne ingrediencje dla zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha: król August spowiadał się, siadał nad tygłem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies stłukł merkuriusz przysłany przez Böttigera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany, jak w więzieniu, u Fürstenberga na zamku, potem w fortecy na Königsteinie, gdzie o mało nie oszalał, i znowu potem na zamku przy wszelkich wygodach, ano, złota nie robił. Cała ta historia nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku. Ten więziony adept, tynktura, tygły, w których ma się wytopić złoto na wojny i maskarady, król godzinami pracujący „po spowiedzi” z Fürstenbergiem nad tynkturą, a potem odpoczywający u księżnej Teschen – są to nieoszacowane rysy obrazu wieku.

Böttiger korespondował z królem i król oświadczył się dlań z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla czterdzieści tysięcy talarów!

Gdy Cosel na tron po księżnej Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie na tarasie, otoczonej ogródkiem, zajętego ostatecznym wykończeniem formuły złotodajnej. Oczekiwanie było wielkie, nikt nie wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje. Szczególna rzecz: zastrzegł on sobie, ażeby nie spożytkowano źle jego wynalazku, aby „pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny i tego rodzaju dzieła nieprawości. Powiadał, że posiadającemu *arcanum* nie godziło się służyć panu, który by był publicznym jawnogrzesznikiem i małżeńską łamał wiarę lub krew rozlewał”.

Zdaje się, że tym sposobem obwarowując robienie samo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakim by się z niepowodzenia uniewinnił.

W domu tym, w którym Zaklika oddał się pod protekcję Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczonym był „nadworny kuglarz” do zabawiania towarzystwa. Leżało mu na sercu, by młodzieńcowi usłużyć, który w nim nadzieję pokładał. Łamał nad tym głowę, ale nie był w swej roli. Umiał dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł, że mu w tym zręczności brakło. Król przyjmował u pani Cosel Fürstenberga, Vitzthuma i kilku zwykłych towarzyszków wieczornych. Pani Reuss, Vitzthum i Hülchen składały dwór nowej pani. Po wieczery Fröhlich musiał pokazywać sztuki: śmiano się do rozpuku. Między innymi udawał alchemika, który miał robić złoto, i przyniósł w tyglu trochę śmiecia. Z tego król August się rozśmiał i owszem pochmurną stała się twarz jego. Cosel już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpytywać po cichu. Nierad się król przyznawał do tej tajemniczej słabości, chociaż naówczas dzielali ją z nim najuczeńsi ludzie wieku.

– Fröhlichowi – szepnął król – wolno się śmiać nawet ze mnie, a więc i z rzeczy tak poważnej, jak tajemnica robienia złota. Ten, który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jej nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych. Udało mu się wymknąć na ziemie cesarskie i ledwieśmy go stamtąd wydobyć potrafili. Przekona się w końcu, że posłusznym być musi. Trzymamy go pod silną strażą.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł Fröhlich – dopóki przy nim nie ma tak silnego człowieka, który by każdego czasu mógł go pochwycić i którego by się obawiać musiał, nie ma też pewności, że nie zbiegnie. Najjaśniejszy Pan sam byś był dlań najlepszym stróżem lub człowiek, co by miał równą siłę herkulesową, ale takiego drugiego na świecie nie ma!

– Mylisz się, Fröhlich – rzekł August – był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny.

– Nigdy o nim nie słyszał!

W ten sposób August przypomniał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczów był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono...

Biedny Rajmuś korzystał z tej zrzeczności, by króla prosić o uwolnienie od służby. August potrząsał głową.

– Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny! – zawołał. – Mam skarb, który chcę twej sile i poczciwości powierzyć. Pójdiesz na dwór pani Cosel, będziesz czuwał nad jej bezpieczeństwem. Jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jej nie spadł.

Zaklika uszom nie wierzył... zarumienił się, zamilkł i pokłonił, nie pytając więcej. Los usłużył mu lepiej niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła, zobaczywszy go w liczbie ludzi swojego dworu. Zrazu oburzyło ją to, ale dowiedziawszy się, że był przysłanym przez króla, zamilczała. Król tegoż wieczora wytłumaczył, dlaczego przysłał jej Zaklikę. Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegaście, ale nie powiedziała jej królowi i Zaklika pozostał na swym miejscu.

Fröhlich, zobaczywszy go w kilka dni potem, tłumaczył się przed nim, iż mu się nie udało dotąd uwolnić go ze służby.

– Na miłość Boga, panie Fröhlich! – zawołał Zaklika. – Ja już zostaję, gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć!

IX

Któż by się wpośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odegrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłości króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiny (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta, sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czym utrzymać.

Wśród szalów i hulanek walił się ów gmach dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły. Saksonia wycieńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszym.

Pomiędzy dwiema bitwami wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szalach zapomnienia swych strat i upokorzeń.

Przy muzyce balowej dawano instrukcje tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się na próżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego herkulesa nie objawiała się najgłówniej w kręconych żelaza sztabach i łamanych podkowach, największą siłę okazywał pewnie, mogąc podolać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłoskom i zamętowi, jak i go otaczał. Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu, gdzie się tajne krzyżowały depesze, balowano wieczorem, ucztowano nocą. Aby długie lata życia takiemu, bez chwili spoczynku, starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakimi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą ukazywał się zdziwionym tłumom i największe niepowodzenie nie zarysowało jednej na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Cosel, które miało trwać krótko, zanosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jej stosowało się do tego. Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo ją nie odstraszało. Wprędce umiała poznać charakter Augusta i dojrzeć sieci snujących się intryg dokoła. Ze spokojem umysłu i wesołością nie zachwianą niczym bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawnym wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli płochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyspieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać. Piękność jej szczęściem zdawała się spotęgowaną. Na próżno oczy zazdrosnych kobiet śle-

dziły w niej zmiany, znużenia, przekwit. Jakby nieśmiertelną obdarzoną młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabiny. Było to cudo i arcydzieło! Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje: chłodne na lato; ciepłe, wesole i słoneczne na zimę. Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabów, koronek, co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Cosel, okryta brylantami, zwycięska, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem po cichu zwała. Płochy August, choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Cosel był najmocniej zakochany. Czarem płonęły jej oczy, a cudzoziemcy, co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki, lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci, zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmocy jej trwożyć się mieli prawo. Chwila działania przeciw tej, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnej i łagodnej księżnej Teschen, nie wybiła jeszcze. Każdy dzień nowym był dla niej tryumfem. Na próżno duchowieństwo, zgorszone tym jawnym króla przywiązaniem, poczęło z namowy niektórych dworaków grzmieć z kazalnicy przeciwko pięknej Betsabe.

Gerber, sławny naówczas kaznodzieja, jednego dnia omalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jej imię.

Przez cały dzień mówiono w mieście tylko o Cosel-Betsabe.

Wieczorem doniesiono królewskiej ulubienicy o napaści kaznodziei. August, przychodząc do niej wesół, zastał ją we łzach.

– Co ci jest, moje śliczne bóstwo? – zawołał chwytając ją za rękę.

– Sprawiedliwości, Królu! – zaczęła łkając i zanosząc się od płaczu. – Mówisz, że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, broniłbyś nieszczęśliwej. Publicznie obelgami mnie obrzucają.

– Cóż się stało? – począł król niespokojny.

– Żądam ukarania Gerbera! Trzeba przykładu przeciwko zuchwalstwu, które nic, nawet korony, poszanować nie umie.

Rzuciła się na kolana przed panem.

– Gerber z kazalnicy opisał mnie jako Betsabe!

Król się uśmiechnął.

– Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! Jam prawdziwą żoną Twoją, Panie Mój! – wołała Anna obejmując go. – Ukarz go, uczyn przykład.

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

– Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę – rzekł – w której mu wszystko, co chce, mówić wolno. Ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zszedłszy z ambony, szepnął jedno słowo, byłby ukaranym niechybnie. Tam – miejsce go broni.

Gerber pozostał nie poskromionym, jednakże więcej historii o Betsabe nie powtarzał.

Wśród największych klęsk, jakimi były odznaczone te lata, rozwijała się owa miłość królewska. Dziki Karol XII, z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitośny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, akсамitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje, August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów dawały się bić i rozpierzchały. W Polsce mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętymi usty myślał tylko, jakby kość swą całą z niebez-

piecznej gry wycofać. Dawna kochanka pana, hrabina Königsmarck, wysłana w potajemnym poselstwie, nie dokazać nie mogła. Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał.

Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II. Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym – go dostarczyć, Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągali nie chcieli. A Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom. Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać. Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze. Trwało to jednak krótko: Cosel się uśmiechała, wesołość wracała na pańskie oblicze.

Wieczorem cztery części świata tańczyły kadryle w pałacu czterech pór roku. August z Cosel Azją przedstawiali. Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przez nią panować i rządzić, wszystkie prędko bardzo podejrzanymi się jej stały, potem nienawistnymi. Hrabina Reuss, Hülchen, nawet zręczna Vitzthum dostały odprawę. Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich.

Strach ogarniał dwór cały.

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani. Vitzthum, który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata biegly nie postrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymywane w pędzie. Fortuna, której zmiany spodziewano się co chwila, która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju. Szwed zwyciężał, gnał, pędził i groził już zrzuceniem z tronu. August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem. Po cichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr – wszystko na koniec przerwała wieść o zbliżających się do Saksonii Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się strasliwy.

Po przegranej pod Frauenstadt zjawiały się luźne gromady rozpierchłych zbiegów, które chwymano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków. Nieład opanował wszystko. Dnia 1 września Szwedzi pokazali się w Saksonii. August nakazał mieszkańcom z dobytkiem, chronić się w góry, na Śląsk, do Czech, ale już było za późno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mienia. Bronić się nie było podobna, musiano karmić. Szwedzi rozleli się po całym kraju, garstka pozostałych wojsk Augusta, ścigana uchodziła aż pod Würzburg. Drezno, gdzie dowodził Zinzendorf, twierdze Köni-stein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski, Stanisław Leszczyński, przybył do Saksonii. Z Drezna pochodziło, co żyło. Królowa do rodziny w Bayreuth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a później do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął cały i stał się pustynią; wywieziono towary, a sam ich transport beczki złota kosztował. Dopiero zapewnienie Karola XII dozwoliło jarmark świętomichałski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niego kontrybucję wycisnąć. Szlachta, chcąc się od niej uwolnić, przedstawiała królowi szwedzkiemu, że oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojnę innych ciężarów nie była obowiązana ponosić.

– A gdzieście byli z waszymi rycerskimi końmi, kiedy ja wchodziłem? – spytał Karol XII. – Gdyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnie by tu nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i hulać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj walczyć, siedzą w domu. Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucji; możecie ją sobie wziąć, skąd chcecie, ale inni będą wolni.

Po zrzeczeniu się pełnym korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego podpisany został traktat altransztadzki 1706 roku, a tymczasem w Polsce się jeszcze bito i August nie przyznawał się do tego, co podpisał. Udawał, że wysłani dla zawarcia układów Imhoff i Pfingsten przekroczyli dane im pełnomocnictwo, i ratując honor swój zasadził ich do więzienia.

August, który w istocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzeć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono. Upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich. August sam czuł, że dźwignąć się będzie trudno, i głużył w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku.

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj.

Tryumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August, który po placu boju zrazu był w Polsce i po wygranej pod Kaliszem, ożywiony nadzieją, że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszonym był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonii.

Pani Cosel, która zrazu towarzyszyła królowi w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go, aby jej dozwolił przebrać się po męsku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy, korony i Cosel, chce choć jedną ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklice, który na krok nie odstępował swej pani, powierzył król odprowadzenie jej do Drezna. Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapalem zakochanego spełniał więcej własne swe natchnienia niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy, chwyciła władzę w białe rączki i silna królewską miłością, rzadzić się poczęła jak królowa, wbrew Fürstenbergom, namiestnikom i wszystkim, którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo... Pomnożyło to liczbę jej nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jej August nie przestał być sobą: miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce. Tracił królestwa, ale zdobywał serca.

Panowanie hrabiny Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szczęku broni odegrywanymi. Namiętność do niej żyła jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od niej oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biedny, zwyciężony, teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu, co go dla niej oziębiać mogło.

Odsunięty przez nią Fürstenberg, hrabina Reuss i cała klika nieprzyjaciół, szukała już środków, jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jej o tym odpowiadała nie dowierającym uśmiechem. Węzeł, który ją łączył z królem, wzmocniło przyjsie na świat dwóch córek. Dumna pani mówiła sobie, iż drugiej jej podobnej August znaleźć nie może. Ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozowań pod gołym niebem.

A jednak już w czasie pobytu w Warszawie serce jej mówiło nienadaremnie, że została zdradzoną. Król, wykradając się przed nią, związał był stosunek z córką francuskiej kupcowej, do której sklepiku na wino uczęszczali oficerowie. Anna groziła, dowiedziawszy się o tym, królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali. Król śmiał się, całował jej rączki i przebłagać potrafił. W istocie mimo tych zalotów kochał ją, ze wszystkich ulubienic tronu była mu najmiłsza: ona jedna bawić go nieustannie umiała, z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna, Cosel pocieszała się tym jedynie, że otoczona własnym dworem wielbicieli, na których jej nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swymi namiestnikowi Fürstenbergowi. Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona nie zmieniły bynajmniej życia Cosel, nie zmniejszyły zbytków. Utrzymywano po królewsku hrabinę, pieszczono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstenberg jeździł otoczony gwardią, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonię i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę półboga. Wśród szczęku oręża, podpisawszy traktat hańbą swą, August II powrócił do stolicy; a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się do pałacu hrabiny Cosel.

U drzwi jej apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który sparty na poręczy krzesła, w głębokiej zadumie był zatopiony. Ujrawszy króla, Rajmuś się porwał, wstrzymując Augusta.

– Najjaśniejszy Panie! Hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjścia na świat...

Z lekka odepchnawszy go, król wszedł. W pokojach głęboka panowała cisza. U drzwi sypialni usłyszał płacz dziecięcia August.

Cosel, biała jak marmur, wysilona cierpieniem, nie mogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce, wskazując mu dziecię, które staruszka trzymała na ręku. Król wziął je i pocałował, zowiąc swoim. Potem przystąpił do łóża i usiadł, czoło kryjąc w rękach...

– Anno – rzekł – świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz. Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony, pobity, wyzuty ze wszystkiego.

– Auguście – z płaczem odezwała się Anna, ręce łamiąc – biednego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę!

– A! Potrzebuję tej pociechy – dodał król ponuro – nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni. Zwycięzcy nikczemnie kłania się świat cały, on tu panuje, nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie. Chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się zewsząd wojskowi dowódcy i urzędnicy. W korytarzu wiodącym do pałacu czterech pór roku zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstenberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę przerażonych klęskami, które na Saksonię spadały. Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak bólesci i znękania; król był tylko nieco zmęczony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia, jakiego doznawał. Egoizm w nim głuszył wszystko; dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic, nie rumienił się niczym.

Dnia 15 grudnia 1706 r. przybył August do Drezna, nazajutrz zniknął. Samotrzeć z Pflugiem i jednym sługą był już konno w Lipsku. Trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien, że jasnością oblicza i wielkością swą na niezblaganym Szwedzie wyrobi lepsze pokoju warunki.

Dowiedziawszy się, iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu. Dwaj królowie rozminęli się w drodze. August, przybywszy do Günthersdorf, gdzie stał hrabia Piper, dowiedział się, że w Altranstadt (o pół godziny drogi) króla szwedzkiego nie było.

Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz surowego, postrzyżonego Karola XII ufryzowanemu Augustowi. Spotkali się dwaj monarchowie na wschodach. Nigdy może dwa charaktery z sobą sprzeczne wyraziściej się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina, Sas – na dworaka Ludwika XIV. Zjadli wrogowie przywitali się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczęły się ceremonie, kto ma wniść przodem; kłaniali się oba długo, Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk, a potem rozmowa w oknie, która trwała godzinę, której nikt nie słyszał, z której August II wyszedł blady i zmęczony.

Dzień ten spędzony z Karolem XII zaciężał na życie króla, nie wspominał o nim nigdy. Nazajutrz milczący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII etykietałnie krótką oddał mu wizytę. W traktacie jednak nic pono się nie zmieniło.

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla, dusiła go ta Szwedów przytomność na saskiej ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą. Pomiedzy Altranstadtem, Moritzburgiem, Lipskiem, starając się o ratyfikację traktatu, spędził August dni upokorzenia.

Król saski w złocistej sukni *à la française*, w *allonge*, peruce utrefionej starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową, w sukiennym mundurze granatowym

ze stalowymi guzami, w butach za kolana i łosiowych spodniach, spotykali się, wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów. Te obrabiał Piper i Cedernhiölm. Karol XII między innymi zapewniał króla saskiego, że od lat sześciu prawie długich butów swych nie zrzucił, nie miał czasu. August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie przyjął nigdy. August, choć mu spartańska polewka Szweda nie smakowała, zasiadał z nim i męczył się, bo u stołu Szweda nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu, a obiad trwał godzinę.

Po podpisaniu traktatu parę miesięcy królowie się wcale nie widywali z sobą. Karol XII jednak wychodzić z Saksonii nie myślał. Znudzony w końcu August II, mówiąc, że spotykając nawet Szweda w Lipsku, udawał, iż go nie widzi.

Miał biedny król w istocie wiele na głowie, nie licząc tej nieprzyjacielskiej załogi. Musiał polować i kochać, i płatać intrygi dworaków, aby o swej biedzie zapomnieć.

Dwór był zawsze równie świetny. Karol XII nieustannie odbywał mustry swoich żołnierzy. August II wydawał bale. Truł mu tylko spokój i rozkoszne sny nieznośny Fürstenberg, ówczesny przypadkowy namiestnik w Dreźnie.

O tym nieprzyjacielu terażniejszym Anny Cosel kilka słów dopowiedzieć musimy. Wśród dworu Augusta, złożonego z cudzoziemców i Niemców z różnych krajów, dlatego by wpływ saskiej szlachty usunąć, Fürstenberg w istocie zrazu obco się wydawał. Przybył tu z cesarstwa, był katolikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wielce charakterem ani nadzwyczajnymi zdolnościami, lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywy i dar wmawiania królowi największych niedorzeczności. Fürstenberg grał tu rolę magnata i arystokraty, a zajmował się najpilniej walką skrytą z nieprzyjaciółmi i wiązaniem intryg coraz nowych. Wierny hrabinie Reuss, był jej narzędziem. Dom jej i towarzystwo służyło Fürstenbergowi. Ani się spostrzegł zrazu przeznaczony na odpieranie szlachty saskiej księżę, jak sam się jej dał związać. Schwycili go Friesenowie przez hrabinę Reuss i zaprzęgli do swojego wozu...

Cosel po swym wyniesieniu wprędce uwolniła się z więzów Vitzthumowej, pani Reuss i jej kółka. Zdawało jej się, że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za narzędzie im służyć. Oziębienie i zerwanie stosunków było hasłem do wypowiedzenia podziemnej wojny.

W czasie niebytności króla szpiegowano każdy krok Anny, powtarzano każde jej słowo, tłumaczono każdą czynność, aby się tym później posłużyć przeciw niej u króla. Pora działania jeszcze nie była przyszła. Fürstenberg czekał i wstrzymywał innych. Powrót króla był triumfem Cosel.

W czasie gdy jeszcze z łóżka nie wstawała, a chciała mieć ciągle Augusta przy sobie, jednego rana oznajmiono królowi, iż pilne depesze przyszły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjść, Cosel prosiła, aby ministra Bose wpuszczono z nimi do jej sypialni. Nic w tym nie było nadzwyczajnego: despotycznej woli jej, wyrażającej się gwałtownie, król uległ. Wpuszczono pana Bose.

Z trzech tego imienia, na dworze Augusta znanych, wysokich urzędników, wchodzący z ceremonialnymi nader i niezmiernie niskimi ukłonami Bose był najstarszym, a jak mówiono, najmądrzejszym. Zaczął od uczczenia majestatu, zgiąwszy się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzieć, a ta nie należała do najwykwintniejszych.

Taką samą czcią powitał piękną chorą, która cała w puchach i koronkach zagrzebana, wyglądała jak błada na śniegu różyczka. Pod pachą niósł Bose papiery.

Cichuteńko szepnął królowi:

– Pilne z Warszawy.

Oba z nim ustąpili ku jednemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapony. Cosel nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz „z Warszawy” i badała z dala twarz króla, aby z niej wyczytać, co znalazł w tych papierach. Bose z uszanowaniem, w dwu chudych kościstych palcach, wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał

Najjaśniejszemu kopertę po kopercie. Zrazu szła jedna po drugiej poważne, z wielkimi pieczęciami. Cosel nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce.

Wtem Bose coś szepnął i wręczył list mały, niezgrabny, podejrzany. Król rozerwał kopertę, rzucił nań okiem, uśmiechnął się i zarumienił; mimowolnie wzrok jego pobiegł na Cosel.

Anna usiadła niespokojna.

– Co to za list? – spytała.

– List w sprawach kraju, cóż chcesz – rzekł król.

– Proszę mi go pokazać! – krzyknęła chora.

– Nie potrzeba! – rzekł zimno król, czytając dalej.

Twarz Cosel zapłonęła. Zapominając o przytomności szanownego staruszka, który się cofnął jak piorunem rażony, zakrywając oczy, Anna w koszuli skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta. Król się zmieszał, spojrzał na radcę, ten stał w pokornej postawie człowieka, który nie wie, co począć z sobą.

Cosel pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przeczucie nie omyliło jej: list był od Henrietty Duval, którą król, oszukując Cosel, poznał w Warszawie, i donosił Augustowi o narodzeniu córki, która później być miała sławną ową hrabiną Orzełską. Biedna matka kończyła, pytając króla, co każe uczynić z dziećciem.

– Niech je wrzuci do wody! Niech je utopi – krzyknęła Cosel – tak jakbym ja ją utopiła, gdybym mogła!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowymi pokłony, widząc, że nie w porę przyszedł, cofał się ku drzwiom.

– Cosel, na Boga, uspokój się! – rzekł król, przystępując do łóżka.

– Jak to? Ty, któremu ja poświęciłam wszystko, którego jestem żoną, tak, żoną, która ciebie jednego kocham, śmiesz mnie zwodzić, zdradzać?!

Nie pierwszy to był wybuch zazdrości Anny, która odgrażała się za każdym króla bałamutwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u nóg jej o przebaczenie prosił i poprawę przyobiegał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rękach na próżno.

– Cóż chcesz, żebym uczynił?! – zawołał.

– Jeśli słowem jednym odpowiesz tej niegodziwej, jeśli dasz znak życia i zajęcia nią – krzyknęła Cosel z wzrastającą popędliwością – biorę pocztę, jadę do Warszawy, zabiję matkę i córkę, przysięgam!

Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie, iż się nie odezwie, że zapomni i własnemu losowi zostawi swych kaprysów ofiary.

Tak na ostatek skończyła się ta scena, o której Bose nikomu nie wspomniał, bo nikt nad niego nie lękał się więcej narazić niepotrzebnie wszechmocnej pani. Jego polityka zależała na tym, by chodzić cicho i takimi drogami, na których by go nikt dośledzić i dostrzec nie mógł. Ludzi wielu miało o za prostodusznego staruszka: mówił mało i udawał, że nic nie wie.

X

O przygodzie tego poranku nikt by pewnie nie wiedział, lecz wieczorem król bardzo zmęczony zebrał w małej jadalni zwykle kółko zaufanych, aby się z nimi rozerwać. Zapijano pamięć Szweda. Po drugim czy trzecim pucharze, bo tam kielichów nie używano, król się śmiać zaczął, patrząc na Fürstenberga.

– Wielka szkoda – rzekł – żeś ty w miejscu starego Bosego z papierami z Polski nie przyszedł. Byłbyś się może z Cosel pogodził, zobaczywszy ją w tym stroju, w jakim się przedstawiła staremu.

– Cóż to było? – zapytał książę. – Wszak hrabina z łóżka nie wstaje?

– Toteż w koszuli z niego się porwała, aby mu z powodu listu tej biednej Henrietty zrobić najokropniejszą scenę. Zazdrosną jest jak żadna i nie dziwiłbym się wcale, gdyby kiedy w przystępie tej pasji dotrzymała mi dawno danego słowa i strzeliła. Pistolet jej nigdy nie opuszcza.

Fürstenberg się obejrzał ostrożnie, aby się przekonać znać, czy nie ma zdrajcy między nimi: byli tylko swoi, o których wiedział dobrze, iż Cosel nienawidzą.

– Najjaśniejszy Panie – odezwał się z uśmiechem dwuznacznym – hrabina Cosel, będąc tak zazdrosną o serce Waszej Królewskiej Mości, co nikogo nie zadziwi, powinna by przynajmniej sama powodu do podejrzeń i zazdrości nie dawać.

Król podniósł powoli głowę, zmarszczył brwi, wydał usta i spytał zimno.

– Mój Fürstenbergu, kto coś podobnego mówi, powinien by dobrze rozważyć swe słowa i rozrachować następstwa. Na tym, coś powiedział, zatrzymać się nie można: powinienes się wytłumaczyć.

Książę spojrzał po towarzyszach.

– Ponieważ słowo mi się to wyrwało, naturalnie usprawiedliwić go muszę. Przecież nie ja jeden, ale my tu wszyscy patrzyliśmy na postępowanie hrabiny w czasie niebytności Najjaśniejszego Pana. Proszę spytać, jak się hrabina bawiła tutaj, boć pałac był pełen zawsze; gości pełno, wielbicieli mnóstwo, a starszy hrabia Lecherenne... w nadzwyczajnych łaskach, prawie z pałacu nie wychodził. Niekiedy widywano go z bratem lub bez brata, wymykającego się około północy... Co dzień na obiedzie, co dzień na wieczerzy.

Ci dwaj Lecherenne, hrabiowie, z których starszy był bardzo pięknym, postaci pańskiej, wielce wykształcony i pełnym dowcipu mężczyzną, a młodszy, mało mu ustępujący, kawaler

maltański i do stanu duchownego przeznaczony, od kilkunastu miesięcy przybyli szczęścia szukać na dwór drezdeński. Widząc, skąd płyną łaski, przywiązali się szczególnie do hrabiny Cosel i za jej protekcją król ich szambelanami mianował. Spodziewali się znać dalszych łask i pozostali w stolicy saskiej. Dwór widział już w nich niebezpiecznych współzawodników, gdyż król chętnie się cudzoziemcami otaczał. Dlatego Fürstenberg rzucił to podejrzenie, aby zarazem i Cosel zaszkodzić, i pozbyć się starszego Lecherenne, którego zdolności mogły podnieść wysoko.

Król August wysłuchał Fürstenberga z pozorną obojętnością, lecz i on, i wszyscy przytomni, co znali, jak umiał w sobie tłumić wrażenia, i z każdego drgnięcia nauczyli się je odgadywać, postrzegali, że strzała uwięzła.

– Co mi ty prawisz, Fürstenberg – odparł August – zazdrość mówi przez ciebie! Cosel cię nie lubi! Chciałżeś, aby zamknięta wśród czterech ścian, nudziła się? Potrzebowała rozrywki, Lecherenne jest dosyć zabawny.

– Najjaśniejszy Panie! – odparł namiestnik z udaną prostotą. – Wszakże to, com powiedział, wymknęło mi się prawie mimowolnie. Nie myślałem wcale donosić o tym Najjaśniejszemu Panu: mając łaskę Waszej Królewskiej Mości, fawory hrabiny mniej cenię. Lecz przykro by mi było, jako przywiązanemu słudze, miłość tak stałą, tak gorącą, tak wielką widzieć opłaconą niewdzięcznością.

Sposępniał August. Puchary stały nalane, rozmowa się przerwała, król wstał.

Po wrażeniu, jakie to uczyniło na królu, Fürstenberg zmiarkował, że sprawę przegra. Ile razy August chciał się pozbyć której z ulubienic swych, rad był, gdy mu się nastęrczała zręczność. Nasylał nawet dworzan, aby mieć pozór do gniewu i rozstania: gniew jego dowodził, iż Cosel nie była mu wcale obojętną.

Tego dnia hrabina wstała po raz pierwszy. Nie chcąc przedłużać wieczornej uczt, August skinieniem pożegnał swych gości i wszedł do gabinetu.

Fürstenberg i dworacy pozostali zafrasowani, książę wszakże dodawał sobie odwagi, udawał, że się uśmiecha, i choć trwoga ogarnęła go o następstwa, nie chciał się do niej przyznać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła u stołu, niewidzialny świadek mimowolnie ją podsłuchiwał. Zaklika, o którego wierności i przywiązaniu do siebie Anna była najmocniej przekonana, używanym był przez nią zwykle do odnoszenia biletów do króla, gdy je do rąk jego własnych doręczać było potrzeba. Znudzona samotnością, właśnie napisawszy do króla, wyprawiła go z listem, gdy zasiadano do pucharów. Przerywać zabawy królowi nie wolno było. Służbie jednak raz na zawsze wydano rozkazy, aby Zaklikę wpuszczano. Nie widziany, wszedł właśnie i stał za ogromnym kredensem, wyczekując chwili, gdy się do króla będzie mógł zbliżyć, w czasie kiedy Fürstenberg opowiadał o Lecherennie.

Niebezpieczeństwo grożące, jak mu się zdawało, Annie dało mu odwagę wycofania się. Nie oddając biletu królowi, pobiegł Zaklika nazad do pałacu i zapukał do sypialni. Cosel znała go dobrze, był to jedyny sługa, któremu ufała, płacąc mu niekiedy uśmiechem. Gdy wszedł, z bladej jego twarzy wyczytała, że coś złego stać się musiało.

– Mów! – zawołała podbiegając. – Król! Nie stało się co królowi?!

– Nic – odparł Zaklika – mozem winien, że tu powracam, lecz oto, czego byłem świadkiem, com słyszał i co donieść, zdaje mi się, że powinienem być pani.

To mówiąc, posłusznie, drżącym głosem powtórzył oskarżenie Fürstenberga. Cosel wysłuchiwała go zarumieniona, zmieszana, obrażona; odebrała w milczeniu list z jego rąk, skinęła głową i dała mu znak, aby odszedł. Serce jej biło gwałtownie. Sama nie wiedząc dlaczego, wysunęła się z sypialni. Za gabinetem, który go od sali przedzierał, usiadła w pustce ogromnej, którą tego wieczora jak zawsze oświecono, choć nikt nie miał być przyjętym. Ściany sali okrywały portrety i obrazy z życia Augusta II; jeden z nich przedstawiał obchód królewskiej koronacji.

Łzawymi oczyma machinalnie się wpatrzyła weń Cosel, gdy kroki słyszeć się dały, po których poznała Augusta. Szedł szybko, szukając jej wszędzie; blady był, zmieszany, gniewny.

Cosel powstała i jakby nie widząc go, zbliżyła się do obrazu.

– A! – odezwał się August, w którego głosie przebijał się gniew źle hamowany. – Cóż to, raczysz pani wpatrywać się w mój wizerunek? To chyba omyłka? Nie mogę przypuścić, abym na ten honor zasługiwał jeszcze.

– Najjaśniejszy Panie – odparła Cosel dosyć spokojnie – byłoby śmiesznością, aby Wasza Królewska Mość znając, co go wyższym czyni nad innych ludzi, przypuszczał, że ktoś inny moje oczy po nim zwrócić na siebie może! Najpłochsza z kobiet nie popełniłaby nic podobnego. Jak możesz Wasza Królewska Mość mieć podobne podejrzenia?

– Tak – przerwał król głosem drżącym – dotąd pochlebiałem sobie, sądziłem, myślałem, ale pozory mylą, a dziwactwa kobiet są najczęściej niezrozumiałe.

Mowa króla, tłumiony gniew uradowały Annę: czuła zazdrość w nim, która dowodzi przywiązanie, udała jednak obrażoną.

– Nie rozumiem was, Najjaśniejszy Panie – odezwała się – co znaczą te tajemnicze wyrazy? Nie sądzę, bym do nich powód dać mogła. Racz mówić jaśniej, niech przynajmniej wiem, z czego się mam usprawiedliwiać i uniewinniać.

– Usprawiedliwiać, uniewinniać – przerwał król gwałtownie, tak że Cosel się ulękła – ale są sprawy, z których się uniewinnić niepodobna! Myślałaś pani ukryć je przede mną, tymczasem mam dowody!

– Dowody?! Przeciwno mnie?! – Cosel załamała ręce. – Auguście! – zawołała. – To sen, to marzenie, to męczarnia! Mów, ja cię nie rozumiem! Jam niewinna! Rzuciła się na szyję królowi, który zrazu odepchnąć ją chciał; pochwyciła go za suknię, z rozpaczą porwała rękę i zaczęła płakać.

– Zlituj się nade mną! Mów! Niech przynajmniej wiem, za co mam cierpieć. Jaki niegodziwy oszczerca śmiał mnie zbójceją potwarzą dotknąć!

Nierychło gniew króla, który po winie bywał wściekłym czasami, Cosel ukołysać potrafiła. Łzy go wreszcie zmiękczyły, posadziła go przy sobie.

– Królu mój, Panie, wytłumacz mi, co twój gniew wzbudziło – poczęła błagającym głosem. Widzisz, co się dzieje ze mną. Ja szaleję z bólu! Powiedz mi, odkryj. Więc nie kochasz mnie chyba? Szukasz pozoru, byś się mnie pozbył. A! Dawniej, dawniej miłość twoja była taką, że nawet błąd by mi przebaczyła, dziś serce twe gdzie indziej...

August już był ochłonał.

– Dobrze! – zawołał. – Chcesz wiedzieć, powiem wszystko: wychodzę z zamku, gdzieśmy z Fürstenbergiem rozmawiali.

– A! Z nim, nic już mnie nie zdziwi! To mój wróg! – przerwała Cosel.

– Księżę mi powiada, że całe miasto było zgorszone postępowaniem twym z Lecherennem...

– Z Lecherennem! – śmiejąc się powtórzyła, ruszając ramionami, Cosel.

– Lecherenne – mówił król – nie zadawał sobie nawet pracy ukrywania swych uczuć dla was. Przyjmowaliście zakochanego w mej niebytności codziennie, siadywał wieczory całe, widywano go...

Cosel przybrała minę poważną, chłodną kobiety obrażonej.

– Tak jest – rzekła – wszystko to prawda: Lecherenne zakochany jest we mnie, ale ja śmiałam się z tego i śmieję. Bawił mnie czułościami swymi, słuchałam ich, żartując sobie z niego! Nie sądzę, bym zawiniła wielce! Nie kryłam się z tym, bom nic do ukrywania nie miała. Myślisz więc, królu, że dosyć jest kochać się we mnie, aby być kochanym? A, to okropne! – dodała ręce łamiąc. – Więc lada taki Fürstenberg słowem złośliwym przeważy ufnosć twą dla mnie! Wiarę w serce Cosel!

Padła na sofę płacząc. Król już był złamany, przykląkł przed nią i ręce jej zaczął całować.

– Cosel, przebacz mi! – zawołał. – Nie byłbym zazdrosnym, gdybym cię nie kochał! Znam Fürstenberga, prawda, jest to najjadowsza żmija, jaką wyhodowałem na dworze. Daruj mi! Nie chcę, aby moją Annę podejrzewać nawet śmiano, aby dała powód do potwarzy.

Anna płakała ciągle.

– Królu – mówiła łkając – jeśli potwarców dopuścisz do tronu, pamiętaj, nie skończą oni na nas, na mnie; język ich dotknie twojej świętej dla nas osoby, bo dla nich nie ma nic świętego.

– Bądź spokojna, bądź spokojna – odparł król – przyrzekam, dam słowo, nie dopuszczę, aby mi kto śmiał co rzec na siebie.

Tak się ta scena skończyła czułościami i zapewnieniami najuroczystymi z obu stron. Cosel musiała dać słowo, iż Fürstenbergowi nie okaże tego, iż imienia oskarżyciela się dowiedziała.

Dzięki więc przytomności Zakliki Cosel odniosła zwycięstwo.

Uspokojony zupełnie, król wrócił na zamek, a nazajutrz słowa nie przemówił do Fürstenberga, omijając go widocznie. Przez wielkiego mistrza dworu kazał August Lecherennowi dać znać, by tego samego dnia służbę opuścił i z Drezna wyjechał.

Rozkaz ten spadł tak niespodziewanie na młodego hrabiego, iż zrazu nie wiedział, czy mu ma wierzyć. Komendant miasta kazał mu go powtórzyć, dając dwadzieścia cztery godziny czasu. Lecherenne strwożony pobiegł, nie wiedząc, co zaszło, do pałacu hrabiny. Zaklika poszedł o nim oznajmić swej pani. Zarumieniła się z trwogi i niepokoju.

– Powiedz mu waćpan – rzekła cicho – iż nie mogę przyjmować tych, którym król zakazał się pokazywać przed sobą. Powiedz mu – zniżyła głos – że mi żal szczery, iż odjeżdża.

To mówiąc, zdjęła pierścień z palca, który król niedawno jej był darował.

– Daj mu ten pierścień ode mnie – rzekła zniżonym głosem, odwracając się od swego powiernika. Zaklika zbladł.

– Pani hrabino – ośmielił się odezwać stłumionym i cichym także głosem – racz mi przebaczyć, to pierścień od króla.

Cosel, która nie cierpiała, by się jej kto śmiał sprzeciwić, odwróciła się ku niemu z twarzą groźną i brwiami namarszczonymi, tupnęła nogą: – Nie o radę was proszę, ale wydaję rozkaz; masz go spełnić!

Zaklika zmieszany wyszedł, chwilę się zatrzymał za drzwiami. Przed kilku laty za dowód nadzwyczajnej siły otrzymał był od czeskiego hrabiego, który u dworu przebywał, kosztowny pierścień z podobnym kamieniem. Jakies przecucie kazało mu zamienić je: poszedł ze swoim do Lecherenna, a hrabiny dar ukrył przy sercu.

Czwartego dnia po tym król, w czasie gdy Cosel ubierała się, wszedł do jej gabinetu. Anna zwykle pierścień ten nosiła na palcu, oko zazdrosnego kochanka dojrzało jego zniknięcie.

– Gdzie jest mój pierścień ze szmaragdem? – zapytał.

Cosel z wielką przytomnością umysłu zaczęła go szukać niespokojnie na gotowalni, na posadzce, w całym pokoju. Twarz króla okrywała się coraz krańniejszym rumieńcem.

– Gdzie się podział? – powtórzył.

Cosel zwróciła się do służącej.

– Ale ja go od dni czterech na ręku u pani nie widzę – szepnęła sługa.

August policzył, iż od wyjazdu Lecherenna, o którego bytności u drzwi Cosel wiedział dobrze, właśnie cztery dni upływało.

– Nie szukajcie go nadaremnie – odezwał się szydlerczo – mógłbym może powiedzieć, gdzie się podział.

Cosel mimowolnie się zmieszała. Król wybuchnął gniewem. Nie chciał słuchać tłumaczeń nawet. Służące wybiegły, aby nie być świadkami tej sceny, a głos pana rozlegał się po pałacu. Trwoga ogarnęła wszystkich. Cosel miała zemdleć, już i łzy dobywały się jej z oczów, gdy do drzwi zapukano. Nim miała czas się zwrócić ku nim, Anna spostrzegła bladą i smutną twarz Zakliki.

– Pani hrabina raczy mi darować, że wchodzę – rzekł – służące mi mówiły, że szukały na próżno pierścienia, ale ja przed godziną go około gotowalni znalazłem i czekałem tylko chwili, aby oddać.

Król rzucił okiem i zamilkł.

Cosel ani spojrzała na Zaklikę, ani odezwała się do Augusta. Włożyła powoli pierścień na rękę i rzuciwszy wejrzenie gniewu pełne na kochanka, wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrzeba było więcej nad to, aby uspokoić króla i zmusić go do przeproszenia na klęczkach obrażonej pani, która niełatwo przebłagać się dała. Król cały dzień zabawił w pałacu, nie mogła więc nawet kazać przywołać Zakliki, aby się przed nią wytłumaczył. Chciał wynagrodzić swą popędlliwość, podejrzenia i niewiarę, czuł się upokorzonym i winnym. Cosel przyjmowała zimno tłumaczenia, płakała trochę i nie odpowiadała na czułości, tylko rezygnacją i pokorą, które nieszczęśliwego Augusta do rozpacz doprowadzały. Nad wieczór dopiero piękna pani jakoś się przebłagać dała i pokój został przywrócony.

Wypadek ten wzmocnił w Augustcie wiarę w nią i zwiększył jej potęgę. Nieprzyjaciele zamilknąć musieli. Po północy już król udał się do swego gabinetu dla narady z oczekującymi nań ministrami. Karol XII ciążył nad nimi brzemieniem nieznośnym. Lekceważenie jego dla Augusta, wstręt dla tego pięknego bohatera dolegały wszystkim zarówno. Czuli się w nim dotknięci. Dziki młodzik, bo Karol XII nie miał nad lat dwadzieścia kilka, wydawał im się rodzajem Attyli, świętokradzko burzącym wspaniałość tego żywota blasków i świetności pełnego.

Zaledwie król odszedł, Cosel porwała się z siedzenia, na palcu jej jaśniejący szmaragd przypomniał jej Zaklikę. Zadzwoniła królowa. Karzeł, który wszedł, bo i ona jak prawdziwa królowa karłów miała na posługach, wysłany został po Zaklikę.

Obyczajem swym, wierny Rajmuś siedział na straży w przedpokoju, czytając w jakiejś odartej księdze. Zobaczywszy karła, domyślił się, że przyszła sądu godzina. Ocalił on Cosel, ale samowolnie; wiedział, że mu to za grzech będzie poczytane, i zadrżał. Czuł się szczęśliwym, że ją uratował, i czuł winnym. Drżący i onieśmielony stanął w progu. Cosel w sukni rozpuszczonej z rozwitymi na ramionach włosy czarnymi, piękna jak bóstwo, dumna jak wszechwładna pani przechadzała się po sali. Na widok Zakliki zmarszczyła brew i stanęła przed nim groźna.

– Kto ci pozwolił zmieniać moje rozkazy? Popępiać tajemnie nieposłuszeństwo? Mieć za mnie przebiegłość, o którą cię nie proszą? Co to jest za zuchwalstwo?

Zaklika stał długo niemy ze spuszczonej oczyma, z wolna podniósł je na hrabinę.

– Przyszynę się do winy – odezwał się głosem spokojnym – tak, zgrzeszyłem. Przypomnisz sobie pani Laubegast i pobożność, z jaką z daleka wpatrywałem się w twoje oblicze. Niech mnie to uczucie szalone i nedorzeczne, dochowane do dziś dnia, tłumaczy. Chciałem cię ocalić, pani!

– Ja nie potrzebuję pomocy niczyjej, aby być ocaloną! – zawołała surowo Cosel. – W słudze żądam posłuszeństwa i nic więcej; rozumu nie chcę, a uczuciem służalców gardzę! To obraza dla mnie.

Zaklika spuścił głowę.

– Gdybym słowo powiedziała królowi, jutro byłbyś zamknięty w Königsteinie lub powieszony na rynku. Któż ci powiedział, że mnie nie więcej boli to, że Lecherenne pierścienia nie otrzymał, niż to, żeś mnie z chwilowego zakłopotania, jak ci się zdaje, wybawił?

– Lecherenne pierścień otrzymał – rzekł Zaklika, po którym te bezlitosne wyrzuty ośliźnieły się jak wody po skale.

– Jaki pierścień? – spytała Cosel.

– Zupełnie do tego podobny; miałem go danym za okaz siły przez czeskiego magnata, Sternberga, w przeszłym roku. Przeczując, iż król o pierścień swój zapytać może, oddałem własny.

Cosel stanęła zdumiona i popatrzyła na Rajmunda, który głowę miał na piersi spuszczoną.

– A! Należy ci się więc nagroda! – szepnęła zmieszana.

– Nie, tylko przebaczenie – odparł Zaklika – nagrody żadnej nie przyjmę.

I cofnął się pod same drzwi, opierając o nie. Długo i dziwnie spoglądała nań Cosel. Jakaż zmiana zaszła w jej uczuciach! Zrodziła się litość, ale duma ją w piersi nazad wtłoczyła.

W milczeniu postąpiła do Zakliki, podając mu pierścień przeznaczony dla Lecherenne’a. Rajmund obudził się jak ze snu, zobaczywszy go przed sobą w białej ręce drżącej.

– Pani – rzekł – ja przyjąć go nie mogę, nie! Przypominałby mi tylko, żeś dla mnie była nad miarę okrutną.

W tej chwili pierścień znikł, ujęty drugą ręką, a biała dłoń zbliżyła się do ust Zakliki, który ją z zapalem, przyklęknawszy, ucałował. Potem jak szalony wypadł z pokoju Cosel, która została sama, zadumana, ze łzą w oku.

– Tak kochają biedni ludzie – rzekła w duszy – królowie inaczej.

Wśród tych scen przedłużało się zajęcie Saksonii przez Szwedów. Karol XII w wymaganiach swych niczym się załamać nie dawał. Dla króla był bezlitosnym i szyderskim, dla szlachty – ostrym, dla kraju – ciężkim, bo lud żołnierze jego wylapywali i gwałtem zaciągali do szeregów. Cóż było począć z człowiekiem, który proszony na łowy i biesiady, posyłał swój dwór, a sam jechał nowozaciecznych musztrować? Na żadnym balu, koncercie, maskaradzie być nie chciał. Pokój był podpisany, Patkul wydany, a Karol XII siedział i siedział na saskiej ziemi.

Tyle upokorzeń, tyle ofiar wyczerpały cierpliwość aż do rozpacz. Zuchwalstwo Szweda, który we dwadzieścia lub trzydzieści koni jeździł po zawojowanym kraju, żadnymi się nie otaczając ostrożnościami, budziło oburzenie w umysłach śmielszych wojaków.

Jednego ranka hrabia Schulenburg zameldował się do króla w chwili, gdy był na radzie z ministrami. Starego wojaka zaproszono na nią, ale mówić nic nie chciał, prosząc o osobne posłuchanie.

Flemming, Fürstenberg i inni ustąpili po chwili, zostali sam na sam.

– Cóż mi powiesz, generale? – zapytał August. – Może szczęśliwszą przynosisz nowinę, że Szwedzi wychodzą?

Uśmiechnął się boleśnie.

– Nie, Najjaśniejszy Panie – chwilę pomyślawszy, odezwał się Schulenburg – byłby może jednak środek pozbycia się ich.

– Przyznam ci się, że go nie widzę, chybaby Pan Bóg zesłał wojsko swoje z Michałem Archaniołem na czele pod twoją komendę.

– Królu – przerwał Schulenburg – zdaje mi się, że z trochę rozpaczliwej odwagi obeszlibyśmy się bez archaniołów. Szwedów rozsianych po całej Saksonii jest dwadzieścia kilka tysięcy, garść to tylko, którą jeden śmiałek straszną czyni. Tego śmiałka pochwycić, a reszta nie będzie dla nas straszną.

– Co ty mówisz? Pochwycić? wśród pokoju? nie obawiającego się, ufającego nam?!

– To właśnie czyni słuszną naszą zemstę możliwą – odezwał się Schulenburg. – Z oficerami naszej jazdy, schronionymi przy granicy Turynгии, rekognoskowałem jego kwaterę. Słabo jest obwarowaną. Mogę nocą napaść nań i porwać go. Zawiozę do Königsteinu, niech go oblegają; nie dam się tam. Zresztą głowa króla ręczyć mi będzie za bezpieczeństwo i podpisze mi naówczas taki traktat, jak my zechcemy.

August słuchał z uwagą.

– A jeśli ci się nie powiedzie? – zapytał.

– Nie powiedzie się naówczas mnie, a nie wam, Najjaśniejszy Panie – rzekł generał. – Ja kraj chcę ocalić i Europę od młodego drapieżcy, który ją gotów ogniem niszczyć i mieczem.

– Generale – mruknął król – zdaje mi się, że ci się śni. W żadnym razie ja, rycerski obyczaj szanując najwyżej, na nieprzyjaciela w ten sposób zdradziecki, podstępny napaść bym nie

dozwolił; nie mogę! – dodał zapalając się. – Nienawidzę go, zadławiłbym go, gdyby mi się dostał w ręce, ale go chwycić wśród nocy, ale go napadać, gdy mi ufa, nie! Generale, to nie Augusta Mocnego rzecz.

Schulenburg ponuro nań spojrział.

– Zawsze się z tobą, Królu, po rycersku obchodzono? – zapytał.

– Wolno jest gburom jak ten młodzik czynić, co chcą, to są nieokrzesani barbarzyńcy, ale August, którego lud zowie Mocnym, a monarchowie – Wspaniałym, nie dopuści się tak niskiego czynu.

Stary wojak wesa podkręcił kłaniając się.

– A gdyby się go nieposłuszny żołdak dopuścił? – zapytał.

– Musiałbym nieprzyjaciela bronić i sam go uwolnić! – zawołał August. – To nie ulega wątpliwości.

– Jest to nadzwyczaj rycersko i pięknie – rzekł Schulenburg niemal ironicznie – ale...

Nie dokończył i skłonił się nisko. Odchodzącego król ujął za rękę.

– Kochany generale, proszę cię, rzuć tę myśl i nie mów o niej nikomu. Nie chcę tym kosztem zwycięstwa.

Schulenburg podniósł zbladłe oczy, jak gdyby pytał nimi, czy wydanie Patkula, czy uwięzienie Imhoffa i Pfingstena szlachetniejszymi były czynami nad krok, którego się August wzdrygał.

Król zrozumiał może ten wyrzut niemy, domyślił się, co znaczyło milczenie, bo po twarzy krew mu falą purpurową przebiegła.

Schulenburg stał smutny.

– Czymś rozpaczliwym ratować się musimy – mruknął pod wąsem – pospolitymi środkami za późno. Kość trzeba rzucić o życie lub śmierć. Nie mamy do stracenia nic. Stracona korona jedna, która kosztowała miliony, złamana druga, a po niej szczątki tylko. Cóż dalej będzie?

August z uśmiechem na ustach przeszedł się po gabinecie.

– Wiesz, co będzie dalej? – spytał. – Oto uzuchwalony młodzik pójdzie dalej. Kilka zwycięstw dały mu szaloną, zuchwałą, nieopatrzną odwagę. Rozbija się z nią o jakiś zuchwały zamiar, bo sił rachować nie będzie. Dlaczegoż mamy się plamić, by przyspieszyć tylko to, co nieochybne, co nieodzowne? Czemu nie znieść cierpliwie przeciwności, aby później korzystać tylko z tego, co kto inny dokona? Karol XII wzbity jest w pychę, kłania mu się Europa przełękła. Trzeba ją w nim karmić i dać jej się rozbujać, aż się sama gdzieś o mury roztrzaska.

– A tymczasem Saksonia... Najjaśniejszy Panie!

– A! Lud ucierpi! Zapewne – zawołał August – ale, generale, lud jest jak trawa, którą gdy bydlę strąca, na przyszły rok zieleńszą jeszcze odrasta.

– Toć ludzie! – rzekł Schulenburg.

– Gmin – odparł król. – W jakim rachunek kto bierze masy i tłumy?

Zamilkli tedy, a generał króla pożegnał. Już w progu wstrzymał go jednak.

– Mówiłeś z kim o tym? – zapytał.

– Oficerowie moi pierwsi mi tę myśl podali – szepnął Schulenburg. – Wiem, że ją podziela gorąco Flemming, jak ja utrzymując, że przeciw zdradzieckiemu najeźdźcy wszystkie środki są dozwolone.

– Wiedzą więc wszyscy? – niespokojnie powtórzył król.

– Ode mnie – nikt – poważnie rzekł generał – od drugich – może.

– Każcie milczeć! Na bogi! Niech mi nikt z tym nie wychodzi!

Generał skłonił się znowu, król siadł w krzesło zadumany.

Po wydaniu Patkula to rycerskie uczucie było przynajmniej rzeczą szczególną...

XI

Zuchwałe kręcenie się Karola XII po Saksonii nie w jednym Schulenburgu obudziło myśl pochwycenia go i pomszczenia się klęsk kraju. Oprócz Flemminga hrabina Cosel, nieulękliwa, śmiała, mściwa, myśl tę karmiła w cichości i spiskowała potajemnie. Cały jej dwór związany przysięgą pracował nad tym. Ona to pierwsza przez oficerów, którzy tajemnie oglądali kwaterę Karola XII i przypatrzyli się jego wycieczkom w kilka koni, poddała myśl tę Schulenburgowi. Nie wspominała o tym królowi, wiedząc z góry, iż on śmiałego tego planu nie przyjmie. Szła pełna zemsty kobieta dalej niż inni spiskowi, żądając, ażeby Karola XII pochwyczonego natychmiast zabito. Myśl ta rozgorączkowywała ją, roznamiętniała, nie dawała jej spoczynku.

Lecz ilekroć z dala nawet i jakby przypadkiem starała się króla wybadać, August mówić o tym nie dawał. Trzeba więc było poza nim prowadzić sprawę. Nieprzyjaznego Cosel, ale śmiałego, Flemminga zyskano dla tej myśli. Gorąco popierał ją Schulenburg i ofiarował jazdę swą do wykonania.

Cosel utrzymywała, że gdy rzecz będzie dokonana, August oburzy się może, ale skorzysta, a nikt w Europie nie ujmie się za awanturnikiem. Skrycie bardzo umawiano się, snuto, zabiegano, wreszcie Schulenburgowi polecono wybadać króla. Po wyjściu jego z gabinetu, choćby nikomu się nie zwierzał, z twarzy jego poznać by było łatwo, że projekt został odrzucony. Wieść się o tym rozeszła wkrótce.

Cosel jednak wcale się tym nie zraziła; czuła w sobie siły stanąć nawet przeciwko króla i walczyć z nim o to. August tajemnic dla niej nie miał; tego wieczora wydał jej rozmowę z Schulenburgiem. Hrabina porwała się z siedzenia.

– Jak to? Nie przyjąłeś, Królu?! Nie chcesz spróbować odegrać swe straty na tym zabójcy?

– Znajdzie się, kto mnie pomści – rzekł król – mam to najmocniejsze przekonanie. Nie mówmy o tym.

Ze zmarszczonego czoła zmiarkowała Cosel, iż nie pora była się sprzeczać, zaczęła więc zabawiać inną rozmową. Dworskie plotki wystąpiły na scenę.

Od dawna domagała się od króla, aby ją kiedy do pracowni alchemika zaprowadził. Böttigera trzymano naówczas w baszcie narożnej zamku, z której był widok na Elbę i dalekie, lasem okryte jej brzegi. Kilkanaście lat już więziony biedak wśród tej niewoli utrzymywany był ze wszelkimi względami, należnymi temu, od kogo się wiele złota spodziewa.

Fürstenberg co chwila łudził króla, że cel jest prawie dopięty. Sam on pracował z więźniem to we własnej, pałacowej swej, chemicznej kuchni, to na tarasie. Böttiger miał tam

mieszkanie wygodne, prawie wspaniałe, ogród pełen kwiatów i drzew zamorskich, stół na srebrze, u którego mnogich gości przyjmował, a dla rozrywki – pozwolenie przechadzki po całych czarnych gankach, długiej galerii, która zamek twierdzą otaczała i służyła królowi także do tajnych jego wycieczek. Oswoiwszy się ze swym losem, widząc, że spod straży wydobyć się nie potrafi, Böttiger bawił się już raczej i łudził Fürstenberga, niż na serio myślał o złocie. Wyczerpał wszelkie formuły, przeczytał wszystkie książki, wypróbował wszelkie recepty: na próżno!

Widząc, jak Cosel jest wszechmocną, więzien, skarbiąc jej łaski z daleka, co dzień jej z najpiękniejszych swych kwiatów bukiet posyłał.

Hrabina pragnęła go raz widzieć. Król zwłóczył i odmawiał. Tego dnia była tak natarczywa, tak czuła zarazem, tak piękną, iż August wstał, podając jej rękę i rzekł:

– Chodźmy do Böttigera!

Nie było nikogo pod ręką, co by mu oznajmił te odwiedziny. Król przez okno zobaczył Fröhlicha w spiczastym kapeluszu, opędzającego się dworakom, którzy go napastowali. Śmiech się rozlegał dokoła.

August skinął na trefnisia.

– W sam raz poseł do oznajmienia o takich odwiedzinach! – zawołał. – Wyślę go przodem, ażeby mój alchemista miał czas przywdziać suknię lub żebyśmy go w zbyt nieprzyzwoitym nie zastali towarzystwie.

Böttiger, o którego dobry humor dbano, przyjmował nawet i płec piękną.

W progu ukazał się Fröhlich.

– Na dziś, ale tylko do wieczora, mianuję cię szambelanem – rozśmiał się król – ażebyś nie powiedział, że darmo dźwigasz klucz tak ciężki. Idź i oznajmij Böttigerowi, że bogini Diana odwiedzi go wraz ze mną.

– Z Marsem, Apollinem i Herkulesem! – dodała Cosel uradowana.

– Cały więc Olimp – rzekł Fröhlich z ukłonem – a gdzie się on tam pomieści?!

Fröhlich z wielką powagą wyszedł, laską torując sobie drogę, czarnym gankiem ku baszcie narożnej.

Dnia tego właśnie wesołe towarzystwo zabawiało się u stołu alchemisty. Kieliszki i dowcipy krążyły. Księżę Fürstenberg, wielki przyjaciel Böttigera, sławny amator alchemii Tschirnhausen, sekretarz i nadzorca Nehmitz znajdowali się wśród gości. Grubymi mury otoczony pokój krążył w baszcie, który całe jej piętro zajmował, a służył więźniowi do przyjęcia gości, urządzone był ze smakiem i wytwornością prawie pańską. Ściany okrywała jedwabna materia perska w kwiaty, złotymi laseczkami ujęta, ożywiały je zwierciadła, wypełniały sprzęty lakierowane i złoczone. Stoły i szafki zdobiły brązy w smaku epoki. Małe schodki w grubym murze, do których utajone wiodły drzwiczki, łączyły bawialnię tę z pracownią na dole, a drugie – z sypialnią w wyższym piętrze.

Wśród swych gości Böttiger wyróżniał się piękną postawą, wesołą twarzą, z której tryśkało szybkie pojęcie i dowcip swobodny i wesoły. Ubrany starannie, wydawał się raczej majętnym szlachcicem w odwiedzinach niż owym sławnym, więzionym człowiekiem wielkich tajemnic, wychudłym nad tyglami. Nie znać na nim było tego, co przeżył, ani wytężenia sił na odsłonięcie wielkiego arkanu. Przy kielichu był najjowialniejszym z biesiadników, w towarzystwie – najwymowniejszym żartownisiem. Właśnie gromadka gości wychylała kielich za jego powodzenie, a aptekarczyk miał jej odpowiadać, gdy poseł królewski w spiczastym kapeluszu i pąsowym tego dnia fraku zjawił się w progu.

– A! Fröhlich! Fröhlich! – zawołali biesiadnicy. – Cóż ty tu?

– Przepraszam, nie jestem dziś prostym Fröhlichem, jak się panom zdawać może. Podało się Jego Królewskiej Mości kreować mnie na godzin dwadzieścia cztery szambelanem i w spełnieniu tej funkcji wysłać z oznajmieniem, że bogini Diana wraz z Herkulesem zaszczyści Böttigera zjawieniem się swoim. *Dixi!*

Stuknął laską o podłogę, wszyscy zerwali się od stołu. Böttiger z Nehmitzem i zawołanym chłopakiem poczęli co najprędzej stół oczyszczać. Otwarto okna, gospodarz posłał po bukiety. Tschirnhausen, który znał dobrze gospodę, otworzył drzwiczki i spuścił się do laboratorium, aby ukryć się przed królem. Inni rozpięchli się bocznymi gankami wiedząc, że czarnym gankiem król iść będzie. Pozostali tylko Böttiger, Nehmitz i książę.

Z niezmiernym pośpiechem ustawiono sprzęty w porządku, posypano posadzkę kwiatami, bukiet z pomarańczowych, kwitnących gałązek wziął Böttiger w ręce i stanął w progu.

Zjawienie się hrabiny Cosel w całym blasku piękności rozświeciło komnatę, u której wnioscia więzień przykleknął.

– Bóstwa się na klęczkach przyjmuje – rzekł – a ofiarą im tylko kadzidła i kwiaty!

Mrok wieczorny natychmiast rozbiło wniesione światło.

Z uśmiechem przyjąwszy z rąk gospodarza bukiet, Cosel podziękowała mu uprzejmie, rozglądając się ciekawie i dziwiąc, że tu nie było najmniejszego śladu „wielkiego dzieła”.

Król, który wszedł za hrabiną, wytłumaczył jej to po cichu.

– Ale ja właśnie bym tam być chciała, gdzie się w pocie czoła, z modlitwą na ustach dokonuje wielka tajemnica.

– Pani – odezwał się Böttiger – jest to jaskinia tak straszna, wyziewy jej tak są niezdrowe, pozór tak smutny, iż bóstwu zstąpić do tych piekieł się nie godzi.

– Ale ciekawość kobieca! – westchnęła Cosel i spojrzała na Augusta.

Król oddał to wejrzenie Fürstenbergowi: książę ruszył ramionami.

– Pani hrabina nie nawykła chodzić po tak ciemnych i ciasnych wschodkach – dodał.

Nie zważając na opór i wahanie się, Cosel odezwała się do Böttigera:

– Bóstwa rozkazują, prowadź nas i poprzedzaj.

To mówiąc, zwróciła się do drzwi, gdy gospodarz w przeciwną ścianę pocisnąwszy brązowy guz w niej utkwiony, otworzył skryte wnioście i z kandelabrem w ręku stanął w nim.

Nie sprzeciwiał się August milczący. Szli więc wszyscy po ciasnych i niewygodnych wschodkach, zamkniętych żelaznymi drzwiami, do pracowni. Gdy je Böttiger otworzył, ukazała się ciężkimi sklepieniami, szerniałymi od dymu, okryta izba obszerna, jakby z starego zapożyczona obrazu. Przy grubych słupach jej było kilka pieców, na których stały ostygłe retorty i tygle, rozmaity sprzęt dziwacznych kształtów, mnóstwo flasz i słoików okrywały mury. Na kilku stołach nagromadzone były stare księgi o mosiężnych klamrach, pergaminowe zwoje, zapisane arkusze i najróżniejszych kształtów narzędzia. Wszystko to razem wyglądało tajemniczo, posepnie, dziwnie i obudzało jakiś strach w hrabinie, która się na ramieniu króla zwiesiła.

Böttiger, podniósłszy do góry światło, stał milczący. August z pewnym poszanowaniem rozglądał się w tej pracowni wielkich nadziei, która wszystkim jego marzeniom dostarczyć miała siły, by się w ciało obróciły. Gdy tak toczą wzrokiem po izbie i król posunął się kroków kilka ku stołowi, oko jego zatrzymało się z uwagą na przedmiocie, który wśród papierów się znajdował.

Było to kilka jaspisowej barwy filiżaneczek, które wielkiemu znawcy i miłośnikowi porcelany, najjaśniejszemu panu, co mieniał ludzi za wazony japońskie, wydały się wschodnim wyrobem.

– Böttiger! – zawołał. – Co to jest?! Porcelana japońska, a kształty nie jej! Skądżeś ty to wziął? To przecie osobliwość rzadka!

– Najjaśniejszy Panie – kłaniając się nisko odparł gospodarz – to zabawka moja. Próbowalem sobie z przywiezionej mi glinki zrobić coś na kształt porcelany.

Król pochwycił żywo podane mu naczynko pięknego koloru i w milczeniu oglądał je, wazył, przeciw światłu w nie patrząc począł niedowierzająco.

– Jak to? Utrzymujesz, żeś ty to zrobił? Ty?

Böttiger schylił się i z ziemi podniósł rozbitych kilka skorupki podobnych, potem zza papierów dobył kilka miseczek i podał je Cosel i królowi.

– Ale to najśliczniejsza w świecie porcelana! – zawołał król zachwycony.

Böttiger milczał.

– Tyś wynalazcą, tyś odgadnął ich tajemnicę! – kończył August. – Nim zrobisz złoto, na Boga rób mi porcelanę! Za jeden serwis w Chinach z mymi herbami zapłaciłem pięćdziesiąt tysięcy talarów! Prusak mnie zdarł i wziął mi kompanię najpiękniejszych ludzi za wazy olbrzymie, a ty możesz robić porcelanę i milczysz!

– Najjaśniejszy Panie, to była próba!

– Która ci się najszcześliwiej udała! Dla Diany pierwszy serwis zrobi Böttiger i złoży u jej stóp.

Widząc, jak król zachwycał się wyrobem Böttigera, wszyscy się zbliżyli dla oglądania go, lecz oprócz Cosel i Augusta nie unosił się nikt. Fürstenberg myślał w duchu, że robiąc porcelanowe łupinki, Böttiger zaniedba tynkturę.

Król, który się bawił gorąco wszystkim, ucieszył się bardzo swą porcelaną. Nie wiadomo, czy by go więcej uradowała wieść o wyjściu z Saksonii Szwedów. Zabrał z sobą pierwszy kubek, dając go Cosel do schowania, i wyraziwszy całe swe zadowolenie Böttigerowi, zabierał się do wyjścia. Ażeby uwolnić najjaśniejszego pana i Cosel od niewygodnych wschodków, gospodarz otworzył drzwi, które wprost wiodły do jego ogródka, i król poprzedzony przez służbę, która tu już czekała, udał się znów ku czarnym gankom do zamku wiodącym. Dzień to był pamiętny w historii Saksonii, która w istocie kopalnią złota zyskała w wynalazku przypadkowym Böttigera, długo pod karą śmierci zachowywanym w jak największej tajemnicy.

W kilka dni potem daleko dramatyczniejsza scena poruszyła Drezno całe. Chociaż Schulenburg wyrzekł się zupełnie myśli pochwycenia Karola XII wskutek pierwszej swej z królem rozmowy, śmielsza daleko Cosel i ze swej strony Flemming wcale jej nie rzucali. Nieopatrzność Karola XII co dzień prawie nastroczała zręczność wykonania śmiałej tej myśli; brakło ludzi i przygotowań.

Tymczasem zuchwały i ufny swemu szczęściu i odwadze Karol XII, jak gdyby wiedział o tych pokuszeniach, jak gdyby z nich się urągał, najswobodniej wędrował po kraju nieprzyjacielskim. Nikomu nawet na myśl przyjść nie mogło, ażeby śmiał sam rzucić się w paszczę nieprzyjacielowi i zjawić się w samym Dreźnie. Krok taki mógł w zbolałym narodzie wywołać rozpacz, gdyby naród ten nie był zbyt i rozwiązłością przegniły i zepsuty.

Dnia 1 września, w ten sam dzień, gdy ratyfikacją traktatu z cesarzem o swobody dla protestantów szląskich podpisał, Karol XII wyjechał z Altranstadt. Szedł on w ślad wojsk swoich, które już od 15 sierpnia poczęły być pod dowództwem Rhenskyölda na Śląsk ciągnąć, ku Polsce i dalej ku północy. Znaczniejsza część sił jego już nareszcie opuściła Saksonię, kilka pułków tylko pod Lipskiem zostało. Około Meissen w Oberau Karol dnia 6 września stał główną kwaterą. Pięknego dnia jesieni konno wyruszył na przejażdżkę, jadący z nim ze wzgórz ukazali mu w mgłę wieże kościołów Drezna.

Karol XII stał długo zamyślony, patrzył, milczał, na ostatku odezwał się do szczupłej garstki, która mu towarzyszyła:

– Ano, tak blisko już jesteśmy, trzeba by tam dojechać.

Było z południa między trzecią a czwartą, gdy u bram Drezna stanął ten gość niespodziewany. Wrota twierdzy zamknięte były, Karol XII oznajmił się oficerowi jako posłany od króla szwedzkiego trabant. Zaprowadzono go z towarzyszami na główny odwach: przechodzący właśnie Flemming, przerażony, go poznał.

Myśl, którą od dawna nosił w sobie, zdawała się domagać sama spełnienia. Karol XII był bezbronny, kilku ludzi mu tylko towarzyszyło, wpadł sam w ręce nieprzyjaciela. Flemming w

pierwszej chwili prawie głowę postradał, umiał się jednak poskromić i na zapytanie o króla ofiarował się towarzyszyć do niego.

W tej godzinie August II zwykł się być często zabawiać w zbrojowni, dokazując rozmaite sztuki i ćwiczenia siły. Tym razem był tu także z hrabiną Cosel, która go na krok nie odstępowała, i trząsała żelastwo w silnych rękach, które siły tej tylko na zabawkę użyć umiały.

Śmiech wesoły rozległ się pod sklepieniami gmachu, gdy zapukano do drzwi.

Król zawołał:

– Wnijść!

Spojrzał ku drzwiom, oczy hrabiny zwróciły się ku nim także, i osłupiał, ujrawszy Karola XII. Flemming, który siedł za nim, królowi i Cosel rozpaczliwe dawał znaki, do zrozumienia łatwe, żądał tylko skinienia, aby zwołać ludzi i nieopatrzego gościa pochwycić.

August stał jeszcze jak nieprzytomny, gdy Karol XII pośpieszył go uściskać wesołym:

– Dobry dzień, bracie!

Cosel wytrzymać nie mogła, twarz jej zapłonęła cała; chwyciła króla za suknię.

– Królu, to przeznaczeń godzina! Jeśli stąd wyjdzie cało, tyś winien!

Karol XII, zdaje się, że słów tych dosłyszał, twarz jego przybrała wyraz surowy i pytający. August zwrócił się z zimną krwią do hrabiny:

– Proszę, rozkazuję, zostaw nas samych.

Hrabina z niecierpliwością właściwą swemu charakterowi już miała otworzyć usta, gdy król powtórzył stanowczo, marszcząc brew:

– Odejdź!

Cosel ustąpiła, gniewne rzucając wejrzenie na Karola XII, który stał bardzo spokojny, rozpatrując się po zbrojowni. W rozpacz, przechodząc, chwyciła Flemminga, któremu też pałały oczy. Flemming wzruszył ramionami. Augusta wzrok nakazywał obojgu milczenie. Z wielką spokojnością król przyjął gościa tego.

– Wieleśmy słyszeli o sile waszej – odezwał się szydersko nieco Karol XII – rad bym widzieć jeden z tych cudów, które tak łatwo czynicie.

Na ziemi leżał pręt żelazny, August go podniósł.

– Dajcie mi rękę waszą – rzekł z uśmiechem – nie lękając się, bym ją obraził.

Karol szeroką dłoń namuloną podał w milczeniu; August począł skręcać pręt i opasał nim rękę króla. Spojrzeli sobie w oczy. Żelazo jak posłuszny sznurek obwinęło się około ręki. W chwili gdy na węzeł je ujął August, z uśmiechem zerwał to pęto i rzucił je na ziemię. W milczeniu przypatrując się tej sztuce zręczności i siły, Karol poszedł za swym przewodnikiem po zbrojowni. Broni było poddostatkiem.

– Macie żelaza dość – rzekł lakonicznie Szwed – co za szkoda, że ludzi wam nie brakuje.

Ze zbrojowni, która leżała w obrębie twierdzy nie opodał od bastionu Böttigera, poszli królowie oba do zamku razem. Karol XII chciał powróconą Dreznu rodzinę swego nieprzyjaciela odwiedzić; okazywał on dla niej i wprzód tym większy szacunek, im wybitniej odmawiał wszelkich względów Augustowi II.

Tymczasem z odwachu po mieście rozeszła się wieść o przybyciu Karola XII do Drezna w towarzystwie zaledwie kilku jeźdźców.

Imię jego obudzało nadzwyczajne zajęcie. Protestanci szczególnie, słysząc, co uczynił dla ich współwyznawców na Szląsku, cisnęli się, aby go zobaczyć. Ten młodzik dwudziestokilkoletni był naówczas podziwieniem Europy. Dwór, Flemming, co otaczało i przywiązane było do losów Augusta II, wzburzone był zuchwalstwem bohatera, który urągał się zwyciężonemu, z urokiem triumfatora wciskając się bezbronny do jego gniazda. Flemming rozplomieniony, Cosel rozgorączkowana odgrzała się. Pierwszy z nich potajemnie kazał zwołać ludzi załogi, aby chociażby mimo woli Augusta nieprzyjaciela pochwycić. Anna porwała pistolet i odgrzała się wybiec w ulicę, aby mu w łeb wypalić.

Poruszenie było ogromne, powszechne, widoczne już po drodze do zamku, którą August z Karolem przebywał. Jeden król zachował swą niewzruszoną twarz, jasną i pogodną, którą zdawał się nakazywać wszystkim spokój. Z dala spostrzegł on przygotowania, które i oka Karola XII ujść nie mogły. Szwed jednak ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu i odwagi.

Nie usiłował skrócić swoich odwiedzin, nie spieszył się z powrotem; a że August rad był zatrzymać go także, może dla wypróbowania jego odwagi i cierpliwości, odwiedziny te przeciągnęły się bardzo długo. Karol poszedł pokłonić się królowej, prosił, aby mu pozwolono uściskać młodego kurfirsta. Podwieczorku jednak odmówił chłodno. Pół godziny siedzieli na zamku, w czasie której Flemming miał czas zebrać ludzi, porozstawiać ich na wypadek, gdyby król w Dreźnie zatrzymać nie dozwolił nieprzyjaciela, wysłał na własną odpowiedzialność oddział jazdy, który na drodze do Meissen miał go opasać i pochwyć.

Gdy Karol XII był jeszcze u królowej, Flemming potrafił króla wywołać.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł gwałtownie – jest to jedyna chwila, w której wszystkich swych krzywd pomścić możesz! Karol XII w twoich rękach!

– Ufny w mój honor – odparł August – i dlatego włos mu z głowy nie spadnie.

– Najjaśniejszy Panie – dorzucił Flemming – to by była śmieszność unosić się wspaniałomyślnością względem człowieka, który takie zadał ci klęski! Ja mimo twej woli go pochwyć, choćbym miał za to stracić głowę.

– O głowę twoją mi nie idzie – rzekł spokojnie August – ale o coś większego nad nią: o mój honor królewski. Ani mi się waży nic przedsiębrać!

– Na własną rękę? – podchwycił Flemming.

– Nie masz własnej ręki, gdzie jest moja – rzekł August marszcząc się.

– Nie pozostaje mi, tylko skruszyć szpadę, którą służyć wam nie mogę.

To mówiąc, generał chciał dobyć ją z pochew, gdy August go powstrzymał.

– Flemming, nie zapominaj, że ja tu jestem, że o moją sprawę idzie i że nikt tu rozkazywać nie ma prawa, oprócz mnie!

Odwrócił się groźny, generał zamilkł, spojrzeli na siebie. Flemming kipiał.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł – stracisz i drugą koronę, tak postępując.

To mówiąc, wymknął się, a król powrócił spokojny do żony, przy której zostawił gościa. Karol XII ani spojrzął na wracającego, chociaż mógł się domyślać, iż za drzwiami radzono o nim.

W czasie, gdy się to działo na zamku, Cosel chciała koniecznie wybiec w ulicę, i znaleźć miejsce, aby strzelić do Karola XII. Zaklika, który ją widział poruszoną do nieprzytomności, wszelkimi sposobami starał się ją powstrzymać, szczególnie tą uwagą, że lud widział w Karolu możnego opiekuna protestantów i mógł się zburzyć w jego obronie.

Takie było usposobienie większej części pospólstwa, które wylało się na ulicę. I pojmując je, August II musiał się też powstrzymać od wszelkiego gwałtu, lękając wzburzenia ciżby.

August II kazał sobie podać konia, aby towarzyszyć nieprzyjacielowi. Ulice napelnione ludem, okna pełne głów ciekawych nadawały miastu niezwykajny pozór. Głuche, dziwne milczenie towarzyszyło przejeżdżającym; zdaje się, że tłumy oddech przytrzymywały, aby usłyszeć choć słowo z rozmowy, ale rozmowy nie było. Wszystkie oczy wlepione były w Karola, który jechał spokojny, nie okazując po sobie najmniejszej oznaki jakiegokolwiek uczucia. Obok niego jechał August, posepny i zadumany, ale majestatyczny. Wprost ulicami, przez które ledwie przecisnąć się było można, zwrócili się do bramy ku Meissen wiodącej. Król posłał, rozkazując, aby na cześć Szweda trzykrotnie z dział na wałach uderzono. Na pierwszy dział odgłos, gdy Karol XII zwrócił się dziękując, August przyłożył obojętnie rękę do kapelusza z uśmiechem. U wrót i w chwili wyjazdu powtórzyły działa salwę. Karol XII chciał tu pożegnać gospodarza, lecz August znał nadto dobrze Flemminga i swoich, by się nie domyślił, iż na drodze postawią zasadzkę. Jedynym sposobem ocalenia Szweda od napaści, a zara-

zem honoru własnego, było przeprowadzić go tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło.

Przeprowadził więc król gościa, w milczeniu obok niego jadąc, pół mili aż do Neudorf. Tu rozstali się podając sobie ręce. Karol XII puścił się szybkim kłusem w dalszą drogę. August pozostał chwilę zamyślony, spoglądając przed siebie i ważąc, źle czy dobrze postąpił, idąc za głosem honoru.

Stał jeszcze na gościńcu wśród zarośli, które za wsią po wyrzeźbionych lasach zostały, gdy Flemming nadbiegł konno gniewny, z zapalonymi oczyma.

– Najjaśniejszy Panie! – zawołał. – Jeśli sądzisz, że Europa podziwiać będzie wspaniałość twoją, i myślisz, że zapłacisz jej wypuszczeniem Karola za uwięzienie Patkula, mylisz się! Rozśmieją się ludzie z tego bohaterstwa! Tego krwi chciwego młodzika trzeba było we własnej skąpać posoce!

– Milczeć Flemming! – zawołał król groźnie i sam jeden pobiegł do miasta.

U wrót pałacu czterech pór roku zsiadł z konia. Tu go czekała Cosel, gniewniejsza od Flemminga, zalana łzami, zrozpaczona.

– Nie przystępuj do mnie! – zawołała. – Popełniłeś błąd, odrzuciłeś moją radę; nie chcę cię widzieć! Dwadzieścia kilka milionów ze skarbu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi, śmierć twych oficerów, wstyd swój – wszystko mogłeś pomścić i nie chciałeś, nie umiałeś, lękałeś się! Słaba kobieta – byłaby szlachetnej pomsty się chwyciła na twym miejscu.

Król padł na kanapę i dał się hrabinie wygniewać.

Nie odpowiadał słowa. Dopiero gdy znużona padła, płacząc, na siedzenie, rzekł zimno:

– Plamić rąk zemstą nie chciałem, pomści się za mnie kto inny.

Nazajutrz jednak sam on, widząc, jak wszyscy mu wyrzucali jego zbyt powolność, kazał zwołać radę wojenną. Rada z Flemmingiem razem objawiła zdanie, iż człowieka co tylekroć wymaganiami swymi pogwałcił prawa narodów, godziło się, mając w ręku uwięzić i wymusić na nim inne pokoju warunki, tak jak on je na znękanym Auguście wymógł bezlitośnie. Król zmilczał.

Mówią, że o tej radzie później posłyszawszy w Wiedniu, poseł szwedzki rzekł z pogardą: „Jestem pewny, że uradzili tam nazajutrz, co wczoraj zrobić należało.”

XII

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi saskiej, gdy August, pocieszając się po wypadkach, które tak smutne na długo ślady zostawiły po sobie, z największą wspaniałością rozpoczął zabawy, na które wprawdzie czasu było dosyć, ale pieniądze wszelkimi sposobami musiano zdobywać.

Cosel była naówczas na szczycie swej wziętości i panowała despotycznie królowi i królestwu. Wszystkie zachcianki uwolnienia się od jej rządów rozbijały się o namiętność Augusta dla niej. Cosel towarzyszyła mu ciągle; ona poddawała coraz nowe zabaw pomysły, a znając króla, spocząć mu nie dawała na chwilę, aby nuda i znużenie nie miały czasu go opanować. Ona królowała wszędzie w blasku odmłodzonej piękności, uwielbiana przez cudzoziemców, uznana przez wszystkich, co ją widzieli w tej epoce, niezrównaną i czarującą.

Wkrótce po odjeździe Karola XII, po balach i karuzelach, zgromadziwszy na swym dworze mnóstwo cudzoziemców, posłów błędnych rycerzy z całego świata, August wyprawił wspaniałą uroczystość strzelania do ptaka. Obok Augusta w złotej zbroi, wszędzie na białym koniu swym ukazywała się amazonka w najwykwintniejszych strojach, zdumiewająca zręcznością we władaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganiu do pierścieni. W tych ćwiczeniach, w których króla zachwycała, nauczyła się celować. Przytomny lord Peterborough nie umiał wyrazów znaleźć dla odmalowania swego zachwytu. Ukazanie się jej na placu witały strzały z moździerzy. Król wydawał się jej pierwszym dworzaninem, najświetniejszy krąg panów, magnatów, dostojników ją otaczał. Ona była królową zabaw, ona kierowała nimi; jakże nie miała upewnić się, że władza jej nigdy ustać nie mogła.

Gdy pocziwy i szczerze jej przyjazny Haxthausen, gdy rzadko odzywający się Zaklika, któremu mówić nie było wolno, wspomnieli czasem, zalecając baczność na przyszłość i przypominając płochość króla, Cosel marszczyła się i zżymała:

– Jestem jego żoną – odpowiadała – mógł porzucić kochanki, ale nie będzie śmiał – małżonki. Zresztą wie, co go w takim razie czeka: strzelę do niego i sama się zabiję.

Królem kurkowym został na strzelaniu tym poseł angielski M. Robinson, który z rąk pięknej Cosel otrzymał nagrodę. Obchodzono wielką ucztą to zwycięstwo.

Tak skończył się ten rok nieszczęśliwy zabawami bez ustanku następującymi po sobie. Cosel je wymyślała, król wykonywał. Nieprzyjaciele hrabiny nie śmieli już ust otworzyć, choć skarb był wycieńczony i kraj jęczał pod ciężarem wymysłów Hoyma.

Na wielkanocny jarmark do Lipska towarzyszyła królowi Cosel. Jarmarki te nad wszystko lubił August II, zrzucał naówczas królewską pychę z siebie, mieszał się z tłumem, ocierał o

lud, szukał rozrywek najgminniejszych i z fajką w ustach po całych dniach widywano go w ulicach miasta, często w towarzystwie, które wcale dostojności królewskiej nie przystało. Dwór naówczas stawał u Apfela, czyli jak wówczas mówiono, w gospodzie Pod Jabłkiem, bo dom kupca miał za godło jabłko złote. Szalano tam dnie i noce, zwabiając obcych i aktorki przybyłe z wędrującymi teatrami.

Cosel mogła tylko pilnować swego pana, aby zbyt daleko się nie posuwał w tej hulance zapamiętałej, ale powstrzymać go od niej nie mogła. Nawet gdy Karol XII był jeszcze w Saksonii, a jarmark, opłaciwszy się stu tysiącami talarów, zebrał się pod jego opieką, August się musiał zjawić na nim. Z całego świata awanturnicy i awanturnice zbierali się na ten mięsopust szalony. A król rozrywki nawykł był szukać wszędzie, gdzie tylko mógł ją znaleźć.

Dnia 12 maja w Dreźnie obchodzono dzień imienia króla, na który przybyli książę Eberhard Ludwik Wirtemberski i Hohenzollern. Pito więc śmiertelnie i na zabój, strzelano, jeżdżono, polowano, a Cosel niezmordowana towarzyszyła zawsze i wszędzie królowi.

Na starych słowiańskich sadybach łżyckich w Niżycy leży odwieczna osada u stóp góry, którą „stołpami” niegdyś zwano. Dziwną natury igraszką wyparte z łona ziemi siłą jakąś potężną, sterczą tu bazaltowe słupy czarne, ściśnięte jakby ręką duchów, obrobione w foremne, olbrzymie kryształ. Na tych skałach, które żelazo z trudnością pożyć może, przed wieki wznosił się gród, panujący i broniący u stóp jego rozłożoną osadę. Z wierzchołka góry, z której wnętrzości wychodzą czarne słupy, wzrok sięga w dalekie kraje dokoła: na południe widać wyniosłości, lasami okryte, gór saskich i czeskich, ku zachodowi sterczy grzebień Miedzianych Gór Saksonii, bliżej, jak olbrzymie, ucięte piramidy, widać zamkowe skały, na których siedzą Sonnenstein, Dittersbach, Ohorn, na wschód lasy i góry Hochwaldu, w linii dalej mającej osady czeskie.

Stary zamek stołpeński, który biskupi meisseńscy posiadali i ozdabiali, starając się go ukrzepić, stał jeszcze, wspaniale, acz smutno przedstawiając się oku ze swymi śpiczastymi wieżycami, często nawiedzanymi od piorunów, ogromnymi mury okolnymi, basztami i bazaltową podstawą, którą go natura opasała. Przy zamku znajdował się zwierzyńiec, w pobliskich lasach nie brakło zwierza. August II, gdy go jednostajność nudziła, przejeżdżał się chętnie po kraju.

Jednego lipcowego dnia pięknego, nim skwar dopiekać zaczął, już konie do przejażdżki stały gotowe pod zamkiem. Dniem wprzód jeden z współbiesiadników opowiadał królowi o dziwnej górze, z słupów jakby żelaznych zbitej, na której stał stołpeński zamek. Król go sobie nie przypominał: chciał go widzieć.

Rosa jeszcze okrywała drzewa i trawy, a słońce z wolna podnosiło się nad opary ziemi, gdy konie rżały już u ganków, a służba liczna zwijała się, czyniąc przygotowania do drogi. August miał siadać na koń, gdy od Cosel posłany przybiegł Zaklika z zapytaniem, gdzie Najjaśniejszy Pan udać się miał zamiar.

– Powiedz twej pani, że jadę widzieć Stołpy – rzekł król. – Jeśli chce, niech mnie dogoni, bo czekać dla skwaru nie mogę i nie doczekałbym się, nimby ze strojem skończyła.

Cosel ledwie z łóżka wstała, niecierpliwie wyglądała oknem, gniewając się już, iż jej znać nie dano o wyprawie. Gdy Zaklika przyniósł odpowiedź, a razem ujrzała króla siadającego na koń, ubodło ją to mocno, iż czekać nie chciał. Kazała siodłać konie; zaproszono Haxthausena i kilku młodzieży; wszystko w pół godziny miało być gotowym. Cosel postanowiła pokazać królowi, iż długo się stroić nie potrzebuje, aby być piękną. Chciała go dopędzić, nim u Stołpów stanie. W pół godziny zaproszeni towarzysze wyprawy stali z końmi. Białe arab Cosel, z długą grzywą, z siodłem pąsowym aksamitem obitym i kutym złotem, rżał z niecierpliwości. Piękna pani wybiegła i zdumiała swych wielbicieli. Strój jej był dziwnie do twarzy. Na głowie miała kapelusik niebieski z piórami białymi i lazurowym, na sobie ziustokor tegoż koloru, cały szamerowany złotem; biała, szeroka suknia z tyftyku, bramowana złotem, dopełniała

stroju. Skoczyła na konia, który przysiadł dla niej i wstał zaraz cały drżący, rwąc się do biegu. Wdzięcznym uśmiechem piękna królowa powitała swych towarzyszków.

– Panowie! – zawołała, wznosząc do góry rączkę strojną w biczyk, którego rękojeść połykiwała drogimi kamieniami – Król Jegomość wyzwał mnie do wyścigu. Jest pół godziny, jak ruszył, choćby konie popadały, a jam miała szyję skrócić, lecim co konie wyskoczą! Kto mi sprzyja, za mną!

To mówiąc, zuchwała amazonka zwróciła konia ku bramie, ściągnęła cugle, zmarszczyła brwi i pomknęła wprost na ulicę. Troskliwi o nią, Zaklika z jednej, koniuszy jej z drugiej strony stanęli, aby w przypadku konia pochwycić i śmiałą rycerkę ratować mogli. Reszta towarzystwa sunęła za nią. Biały arab pomknął od razu chyżo, zatętniał most pod kopytami koni, przelecieli stare miasto, w prawo droga wiodła na lasy do Stołpów. Szczęściem, gościniec był szeroki i piaszczysty, chwila poranna i orzeźwiająca, konie wypoczęte i silne. W milczeniu sunął w tumanie pyłu błyszczący orszak hrabiny, jak gdyby wichur go pędził. Arab wyścigał inne konie, Cosel z czarnym okiem, w którym ogień jakiś pałał, z zarumienioną twarzą, z usty półotwartymi zdawała się napawać tą jazdą szaloną.

Przelatywali góry i lasy, łąki i ciche, puste pola, gdzieniegdzie nad drogą wydarte. Kraj w tej stronie mało zasiedlony naówczas, wendyjskie tylko wioski z ich chatami o drewnianych podsieniach i wysokich dachach migwały w sadach wiśniowych. Po drodze gdzieniegdzie spotkany wieśniak zdejmował czapkę przed zjawiskiem cudownym, a nim na zapytanie o króla mógł odpowiedzieć, jeźdźcy mu w kurzu obłokach znikali.

Konie okryły się pianą, koniuszy po godzinie takiego biegu zaklinał, by się zatrzymać. Cosel słuchać nie chciała, w ostatku zwolniła nieco biegu i u wrót starej chaty sama zatrzymała białego. Stanęli wszyscy, konie dyszały i parskwały. We wrotach od podwórka stała kobieta żółta, wynędzniała, okryta płachtą, podparta na kiju. Popatrzyła na jeźdźców z obojętnością, jakby z innego świata istota, i odwróciła oczy.

Raz tylko wzrok jej spotkał oczy Cosel, a piękna królowa wewnątrz zadrżała od niego.

Spytano kobiety o orszak królewski: potrząsała głową.

– Alboż wiem, co król, i co królewskie? – zapytała. – My królów nie mamy, nasi pomarli.

Mówiła to z wolna, obojętnie, mową łamaną i akcentem obcym.

W chwili gdy ją rozpytywać zaczęto, z chaty wyszedł w granatowym przyodziewie z wielkimi guzami mężczyzna lat średnich, z włosami długimi, w krótkich spodniach i pończochach. Zdjął kapelusz pokornie i gości pozdrowił czystą, saską niemczyzną.

Zawiadomił on, że król przed trzema kwadransami może w istocie przejeżdżał drogą, ale parł tak konia, iż pewnie dogonić nie było podobna, chyba by gdzie spoczywał, a do Stołpów nie potrzebował król wydychać.

Cosel straciła nadzieję wyścigania go, spytała o krótszą drogę, choćby być miała najgorszą, ale żadnej nie było, gdyż w prawo doliny były przerżnięte trzęsawiskami i gęstymi zarostami, których by konie przebyć nie mogły.

Cosel skoczyła z siodła, dając chwilę spoczynku swym towarzyszom. Gorąco dopiekało, rzucili się wszyscy do wody. Niemiec ofiarował się z piwem. Na ten raz i wiejski ów napój, przykwaśniały, wydał się wyśmienitym.

– Cóż to za kobieta? – spytała Cosel gospodarza, wskazując żebraczkę, stojącą ciągle o kiju w bramie i wcale nawet nie okazującą ciekawości dla pięknej pani.

Niemiec wzruszył ramionami pogardliwie.

– To jest Słowianka, Wendka! Nie mogę się jej stąd pozbyć. Mówi, że ten dwór niegdyś do jej ojca należał. Mieszka tu gdzieś nie opodal w ziemiance wykopanej, a raczej rękami wydartej, pod górą. Nie wiem, czym żyje, a chodzi mi po polach całe dnie i mruży. Któż wie, pewnie szatańskie jakie zaklęcia, bo to niezawodnie czarownica! Chciałem jej zapłacić, by sobie poszła gdzie dalej, ale się ruszyć stąd nie chce, mówiąc, że to ojców jej ziemia i że na niej umrzeć i kości złożyć musi. Nieraz nocą, gdy burza ryczy, ona śpiewa, a nam dreszcz

chodzi po skórze, słysząc ten głos. I nie bardzo ją wypędzać można – dodał coraz ciszej – umie ona wiele, zaklęcia ma na szatanów, że jej służą, i czary straszne. Po chwili z westchnieniem dodał:

– I prorokuje przez szatana, a doprawdy nie myli się nigdy.

Cosel, zaciekawiona, zwróciła ku niej oczy i podbiegła. Ona jedna była tak śmiała, bo reszta towarzystwa na wzmiankę o czarach rozsunała się i rozpierzchnęła, ustawiając nieco opodal.

– Jak jej imię? – spytała Niemca.

Zawahał się gospodarz i tak cicho, że go ledwie usłyszeć było można, szepnął: – Mława.

Choć Cosel z trudnością rozeznała głos jego stłumiony, stara ruszyła się, jakby posłyszała swe imię. Podniosła głowę wychudłą dumnie, strzepnęła długimi włosy, które ją wkoło obwieszały, i zdawała się obrażona szukać oczyma czarnymi winowajcy, co śmiał wymówić jej imię.

Cosel, nie zważając na podziw tych, co ją otaczali, z wolna zbliżyła się do starej. Przez chwilę śmiało patrzyły sobie w oczy.

– Kto ty jesteś, stara? – spytała w końcu Cosel. – Żal mi twych siwych włosów, sponiewieranych w pyle i nędzy twej. Powiedz, dlaczego jesteś tak biedna, jak...

Mława potrząsała głową.

– Ja nie jestem biedna – odezwała się dumnym głosem – ja w sobie noszę jasnych lat pamiętkę, ja tu jeszcze jestem, czym był mój ród dawniej: królową.

– Ty? królową? – roześmiała się Cosel.

– Tak, mogłam być nią, bo krew królów tej ziemi starych płynie we mnie: tak jak ty, choć dziś królową jesteś, możesz być jutro nędznicą mnie podobną. Na świecie wszystko możliwe...

– Jakich królów, jakiej ziemi? – poczęła zadumana Cosel. – Ty?

Stara podniosła rękę i wskazała kraj dokoła.

– Wszystko to było nasze, wszystko, pókiście wy nie przyszli i ziemi nie skuli, a nas nie wybili jak dzikiego zwierza. Bo myśmy byli dobrzy i szliśmy z chlebem, solą i pieśnią, a wyście szli z żelazem, żagwią i śmiechem. I siedliście, i rozmnożyło się plemię Niemców, i wyparło nas z ojcowizny. To ziemia moja! – powtórzyła zadumana. – I choć tu żyć nie mogę, ja umrzeć tu muszę. Stąd dusza do swoich znajdzie drogę.

– Umiesz wróżyć? – spytała Cosel po chwili, jakby gorączkową ciekawością zdjęta.

– Jak komu, jak kiedy – obojętnie rzekła Mława.

– A mnie?

Stara popatrzała na nią długo i z politowaniem.

– Po co ci wróżba? – spytała. – Kto doszedł tak wysoko, ten tylko spaść może; nie pytaj...

Cosel pobladła, ale chciała okazać męstwo, choć się jej wargi trzęsły, a łzy nabiegały do oczów.

– Cóż mi powiesz? Ja się niczego nie boję – rzekła. – Umiem szczęściu patrzeć w oczy jak w słońce, potrafię spojrzeć w ciemności.

– A gdyby noc była długą, długą...

– Nie będzie wieczną – odparła Cosel.

– Któż wie? Kto wie? – szepnęła Mława i wyciągnęła dłoń. – Pokaż mi rękę.

Hrabina nieco się cofnęła, lękając, by jej dotknąć nie chciała: naówczas wierzone w czary.

– Nie bój się, moja piękna – spokojnie odparła Mława – nie zbruczę ci białych paluszków, oczyma tylko jej dotknę.

Posłuszna Cosel zdjęła rękawiczkę i śliczna, biała, jak z kości słoniowej utoczona dłoń błysnęła pierścieniami okryta przed oczyma zdumionej kobiety. Chciwie zmierzyła ją wzrokiem.

– Śliczna rączka! – Warta, by królowie ssali z niej słodycze, ale, dziecko moje, straszne na niej znaki! Ta dłoń niejeden raz dotknęła twarzy, która na nią zuchwale spojrzała, nieprawdaż?

Cosel zarumieniała się. Mława, głową wahając, zamyślona stała.

– Cóż mi powiesz! – szepnęła niespokojna hrabina.

– Jedziesz do przeznaczeń twoich! Któż uniknął kiedy losu? Kto kiedy przepaść zobaczył? Po długim szczęściu czeka się dłuższa, o, dłuższa pokuta, czeka się niewola! Dni nie przeżyte, nocy nie przespane, łzy niepolicone! Będziesz z dziećmi bezdzietną, będziesz z mężem wdową, będziesz królową, a niewolnicą, będziesz wolną i odtrącisz swobodę, będziesz, o, nie pytaj!

Cosel błada była jak marmur, ale się jeszcze uśmiechać chciała: usta się jej krzywiły.

– Com ci przewiniła – rzekła – że chcesz mnie przerazić?

– Ja się lituję nad tobą – odezwała się Mława. – Po co było chcieć wglądać w duszę moją? Tam piołuny tylko rosną, ze słów gorycz płynie. Żal mi cię – spuściła głowę stara. – Ty jedna! Co ty jedna, to tysiące na tej ziemi przeboleło, przejęczało i pomału bez mogiły, i proch ich wiatry rozwiały. Jak ty jęczały tysiące długą a długą niewolę: ojcowie moi, dziadowie moi, praszczury nasze, królowie, jam już ostatnia. Niemiec wypędził mnie z domu.

Nie mówiąc nic, Cosel dobyła złoty pieniądz i chciała go położyć na ręce starej, ale ta się cofnęła.

– Nie wezmę – rzekła – jałmużny nie chcę, a dług wasz zapłacicie kiedy inaczej: liczą go tam!

Podniosła palec do góry i zerwawszy się, otulona płachtą powlokła się poza płoty na łąkę.

W czasie tej rozmowy towarzysze Cosel szli w oddaleniu, podziwiając jej odwagę. Także Niemiec gospodarz wpatrywał się w tę scenę, od której tylko ciche dochodziło go mruczenie. Nikt nie śmiał spytać Cosel, dlaczego była tak błada, dlaczego zamyślona chwyciła konia za grzywę i siadłszy, rzuciła mu prawie cugle na szyję, dając iść, jak zechce.

I jechali znowu, lecz nie cwałem, nie pogonią; konie parskwały. Z dala ukazały się spiczaste, piętrzące, wysokie wieże. Koniuszy cicho wymówił:

– Stolpen.

Po godzinnej prawie drodze zdążyli do stóp zamku. Naprzeciw palisady z bazaltów czarnych stała tu cała kalwakata króla, oczekując z dala już dojrzanej hrabiny.

August wyszedł naprzeciw niej śmiejąc się.

– Godzinę najmniej czekałem – rzekł.

– A jam pół godziny zmarnowała z jakąś zebraczką, której sobie wróżyć kazałam – odpowiedziała Cosel.

Król zdziwiony spojrzał na nią.

– I wywróżyła? – zapytał.

Anna popatrzyła nań i łzy jej z oczów pociekły. Było to tak dziwne zjawisko, że August się zmieszał i nastraszył. Uśmiechem i czułością starał się jej wesołość zwykłą przywrócić.

– Co za wspaniałe, stare biskupów dawnych meisseńskich zamczysko! – rzekł, wskazując na mury.

– Szkaradne! Okropne! Straszne! – odezwała się Cosel wstrząsając. – Dziwi mnie, że król mógł tu jechać dla zabawy, gdzie groza i wspomnienia katastrof i wojny królują.

– Bo, pani moja – przerwał August – oczy twe śliczne i najposepniejszą dla mnie mogą rozjaśnić okolicę, z tobą mi wesoło wszędzie.

I podał jej rękę, na której Cosel zamyślona sparała się i zwiesiła. Poszli tak razem wokół starego zamczyska. Hrabina była milcząca, król pogodnego oblicza. Któż wie? Myślał może, gdy mu na Sonnen i Königsteinie ciasno było z więźniami, tu niektórych umieścić i dlatego zamek okrążywszy dokoła, zapragnął wniknąć do środka. Cosel go zatrzymała.

Stała w progu, poglądając na czarne wieże i mury. Król poszedł dalej. Oglądał wieżę Donata, zajrzał do izb, gdzie niegdyś były katownie, przypatrzył się Janowej wieżycy, zbudowanej przez biskupa Jana VI, i klucznik idący przodem pokazał mu znowu katownie drugie, podziemie zwane „Dół Mniszy” (*Mönhsloch*), w którym karano zakonników, więzienia *Richtergehorsam*, Janowe i loch *Burgverlies*, do którego skazanych po drabinie spuszczano. Wszystkie one były w dość dobrym stanie, lecz puste. August oglądał je z ciekawością zaostrzoną, jakby w nich szukał śladów ludzi i męczarni. Na ostatek, rzuciwszy okiem na mury forteczne, wyszedł powoli.

Zastał Cosel tam, gdzie ją zostawił, w niezwykle pograżoną zadumaniu i z przestrachem niekiedy rzucającą okiem na wieże zamkowe.

– Cel dzisiejszej przejażdżki wcale nie wesoły – ozwała się głosem zmienionym – nie można jej nazwać rozrywką. Chociaż nie widziałam zamku, robi na mnie wrażenie bolesne: zdaje się, że słyszę jęk ludzi, co tu cierpieli.

August się uśmiechnął.

– Nie stało się to niewinnie – rzekł obojętnie – trudno mieć czułość dla wszystkich. Ale skądże ci, piękna hrabino, te czarne myśli przychodzą? Odwróćmy się plecami do zamku i idźmy do zwierzyńca. Kazałem tam pod namiotem rozstawić stoły. Napędzą nam zwierza, ożywisz się i będziemy przyklaskiwali jak zwykle twej zrzeczności.

Jak król rozkazał, stało się: u wnijsia do zwierzyńca, pod wspaniałym namiotem tureckim, który pamiętał wiedeńską wyprawę, stoły były w gotowości. Cosel zajęła pierwsze miejsce. Słońce się było podniosło i dopiekało silnie, powietrze ciężkim się stało do oddychania i skwar czuć było w usposobieniach wesołego zwykle towarzystwa, które się rozbawić nie mogło. Kyan, który przybył z królem, smutny i zwieszony nad kielichem, nie próbował błysnąć dowcipem zawsze gotowym. August nie lubił w swoim otoczeniu takiego pogrzebowego milczenia, prędko więc obniesiono jedzenie, pozdejmowano srebra i łowczowie przynieśli strzelby, z którymi wszyscy weszli w głąb zwierzyńca.

Cosel poszła także z królem, ale z namarszczonymi brwiami. Przypisywano to przepowiedni obląkanej kobiety, na którą nastęczyła się sama niepotrzebnie. W uszach jej w istocie brzmiały wyrazy biednej Mławy, prorokującej straszną przyszłość, a choć w tej chwili nic w świecie domyslać się jej nie dozwalało, Cosel posępną była i smutną. August za nią okazywał niezwykłą wesołość i jakby na przekór unosił się nad pięknnością Stołpów i mocą warowni, która u granic saskiego kraju mogła stać na jego straży.

Nad wieczór, już po zabiciu kilku sarn i dzików, król siadł na koń. Cosel jechała przy nim, ale gdy wyruszyli od stóp góry i mijali już miasteczko, z zachodu nadciągnęła chmura czarna, przed którą znowu do zamku schronić się musiano. W mieście nie było innego, gotowego na przyjęcie królewskich gości schronienia. Więc choć od wieków zamek kurfirstów nie przyjmował, musiano zardzewiałe drzwi komnaty okrągłej w Janowej wieży otworzyć. Służba pomieściła się, chroniąc od ulewy i deszczu, pod bramą Donathową i w murach pustych twierdzy. August i Cosel schronili się do starej komnaty sklepionej. Kilka stołków drewnianych, ławy i stół dębowy składały cały sprzęt tego smutnego, więziennego mieszkania. Cosel, wszedłszy doń, obejrzała się, wzdrygnęła i przytuliła do króla.

– Panie mój – rzekła – jakże tu okropnie, jak smutno, jak trupem czuć te pustki!

– Gdybym był przeczuł, że się tu schronić będziemy musieli, byłbym choć jedną izbę przybrać kazał. Cóż chcesz, nikt tu prócz mnichów i więźniów a ich dozorców nie mieszkał. Nie jest to miejsce rozkoszy; mury, choć nieme, czuć przeszłością.

Jakby dla zwiększenia wrażenia tej chwili na umyśle kobiety, która może pierwszy raz w życiu strwożona się czuła, nadeszła ulewa z gradem, tłukąc w okna oprawne ołowiem, sypiąc jakby kamieniami po dachach, i błyskawice następujące bez przestanku po sobie zdawały się wciskać do izb wnętrza. Z ogromnym hukiem i przerażającą jasnością na wieżę Donathową uderzył piorun, objął ją płomieniem i zlał się ku ziemi. Cosel krzyknęła z trwogi, król stał

nieporuszony. Ognia wszakże nie wzniecił grom z góry i po nim puścił się tylko deszcz rzęsy.

Pół godziny wrzał tak wicher z ulewą ponad zamkiem, kilka jeszcze piorunów padło w bliskości, aż na zachodzie żółtym pasem oświecone pokazało się niebo i ciężar chmur czarnych na wschód się cały przewalił. Deszcz skończył się jakby rosą cichą i słońce znowu zza poszarpanych chmur końców jasnymi promieniami strzeliło.

Cosel odetchnęła.

– A! Jedźmy, panie mój – zawołała – jedźmy, jedźmy, ja tu nie mogę oddychać!

W chwilę już siedzieli wszyscy na koniach i orzeźwieni powietrzem, burzą ochłodłym, zdążali nazad ku miastu. Gdy przyszło przed chatą, u której stała Mława z rana, przejeżdżać, Cosel szukała jej oczyma, ale tam jej już nie było. Opodał nieco czatowała, zdało się, aby króla zobaczyć. Milcząc rzuciła okiem na Cosel i z politowaniem uśmiechnęła się do niej jak dawna znajoma. August konia spał, odwracając się ze wstrętem.

Tak co dzień nową jakąś rozrywką starał się czas skrócić sobie odepchnięty od korony, co go tyle kosztowała, król August II. Miał on nienawiść do Karola XII, narzekał na przeciwne losy, lecz nic nie dorównywało jego niechęci ku niewdzięcznym Polakom. Im wszystkie przypisywał nieszczęścia swoje i ci, co tajemnie mu sprzyjając, przybywali się pokłonić jeszcze, jakby przeczuwając przyszłość, doświadczali od niego gniewów, jakie miał w sercu dla całego kraju. Król siłacz, co o sławę bohatera wojownika był zazdrosny, który się malować kazał we zbroi i rycerskiej postawie, nie mógł zapomnieć, że go zwyciężył młodzik niepozorny i we własnym kraju mu się rządził.

Potrzebował podnieść swą sławę nadwerżoną jakimś czynem i wysługując się razem cesarzowi, wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi przeciw Francuzom do Flandrii. Zachowując jak najściślej *incognito*, wmieszał się w dwór księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Tu chciał koniecznie błysnąć odwagą, zyskać oklaski i narażał się osobiście do tego stopnia, iż go książę Eugeniusz i książę Marlborough musieli odwozić, by próżno nie święcił tak drogiego życia.

– Na wojnie – rzekł król – trzeba być trochę kalwinistą i wierzyć w przeznaczenie.

Złośliwi ludzie szeptali z tego powodu, że król mimo świeżo przyjętego katolicyzmu podobno w nic nie wierzył. „Powiadają, że August wiarę zmienił – pisze Loen – mógłbym to przypuścić, gdyby ją kiedy miał”. To pewna, że już po przyjęciu katolicyzmu ogromnemu psu faworytowi, bodaj temu, co stłukł szacowną flaszkę z mercuriuszem Böttigera, różaniec kładł dla zabawy na szyję...

Niedługo wytrzymał na wojnie, która dlań była rozrywką, przewidując, że oblężenie Lisle za długo się pociągnąć może, zatęsknił król do Saksonii i... Cosel.

Jednakże w ścisłym *incognito*, pod imieniem hrabiego Torgau, wstąpił do Brukseli, gdzie jak najpilniej mu było zaprosić sobie na wieczerzę tancerkę Duparc do sławnego naówczas restauratora Vernus Pod Znakiem Obfitości. Cztery panny z opery, król, Vitzthum, Bauditz i hrabia W... zabawiali się do rana, a August pannę Duparc do Drezna zaprosił. Znać mu już hrabina była coraz obojętniejszą, a życie tak ciężkie do dźwigania!

XIII

W czasie niebytności króla namiestnik Fürstenberg i hrabia Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby starać się spod panowania Cosel wyzwolić. Rozkazywała im jak królowa, obchodziła się z nimi z dumą kobiety, która ufa w siły swoje, szafowała pieniędzmi jak dziecie, które nie zna ich wartości. Przewaga, jaką miała nad królem, przerażała wszystkich i obóz nieprzyjaciół z każdym dniem się powiększał. Żadna z ulubienic królewskich nie miała takiej potęgi, wiary w siebie i nie umiała tak długo niestałego Augusta II utrzymać przy sobie. Można było znieść fantazją pańską, ale dać się ugruntować władzy, która wzmagała się co dzień stawało się niebezpieczeństwem dla wszystkich. Gorączkowo pragnął dwór cały kimkolwiek zastąpić Cosel, a obalić ją koniecznie. Hrabina raczej domyślała się tego, niż wiedziała o knowaniach, ale gardziła nimi. Gdy jej donosił o nich wierny Zaklika, który się przysłuchiwał, co po dworze krążyło, Cosel śmiała się pogardliwie.

Powoli gromadziły się, skupiały wszystkie siły nieprzyjaciół, chociaż nie śmieli jeszcze wypowiedzieć jawnie wojny. Czekano w królu pewnych symptomów, które by oznajmiły znużenie i wskazały, że walka da się rozpocząć z nadzieją zwycięstwa. Z jednej strony stały sprzymierzone siły ludzi nadzwyczaj zręcznych, i przebiegłych, w intrydze dworskiej od młodości wyćwiczonych, przez zepsute i chytne kobiety posiłkowanych. Z drugiej – Cosel, dumna, zarozumiała, szlachetna, ufna w swe siły i wdzięki, w swe urojone żony nazwisko, w węzeł, który stanowiły przyznane jej dzieci; kilku przyjaciół nie mających znaczenia i kilka osób dwubarwnych, co gościły w obu obozach, wyczekując przewagi jednego, aby się doń przyłączyć. Zanosilo się na wojnę długą, ale przeciwnicy Cosel mieli przy zawziętości cierpliwość i w charakterze króla pewność skutku pomyślnego.

Cosel musiała się wreszcie sprzykrzyć ze swymi fantazjami, nienasyconą żądzą przepychu, królewską dumą i charakterem porywczym. Dotąd król znajdował w nim zabawę, lecz przebrana miara lada chwila mogła szale na stronę drugą przeważać. Można powiedzieć, iż wszystko, co było na dworze znacniejszego i więcej znaczącego, stało w obozie przeciwnym.

Książę Fürstenberg, hrabia Flemming, hrabina Reuss, panna Hülchen, Vitzthumowa liczyły się teraz do zajadłych przeciwniczek. Nieznośna Glasenappowa wkręciła się do domu hrabiny tylko, aby ją szpiegować i plotki od niej wnosić. Korzystając z niebytności króla, w czasie jego pobytu we Flandrii, namiestnik ze swojej strony, Flemming oddzielnie, zmówili się na to, aby króla doniesieniami o zbytkach i przepychu dworu hrabiny powoli do niej zniechęcać.

Odmalowali wymagania jej w tak przesadnych barwach, że August, znudzony, polecił pewną położyć im tamę. Chwycił się tego Fürstenberg, oparłszy kilka razy rozkazom wszechwładnej pani, która gdyby nie stan jej, nie pozwalający szukać z nim spotkania, odgrażała się opoliczkować go publicznie. Znający charakter pani Cosel mogli uwierzyć, iż spełniłaby to, co obiecywała. Nieostrożne słowo Flemminga ściągnęło nań także burzę i groźby. Pochlebiali sobie jednak oba, wiedząc z listów Bauditza o zaproszeniu panny Duparc do Dreżna, że panowanie faworyty mogło przeminąć i że pora przyszła stanowczo przeciwko niej wystąpić.

Tymczasem król, od obozu przybywszy do Dreżna, nie spojrzawszy na Fürstenberga, poszedł wprost do pałacu czterech pór roku, gdzie zastał Cosel znowu ledwie wstającą z łóżka po chorobie, piękniejszą niż kiedy, czującą a splakaną.

– A! Panie – zawołała, rzucając mu się na szyję – zawsze pragnę i pragnęłam powrotu twojego, choćby godzinę tylko trwało oddalenie, ale nigdy może nie tęskniłam tak, jak teraz! Wybaw mnie od prześladowania! Jestemże jeszcze panią twego serca czyś mnie już z niego wyrzucił, aby ci ludzie mogli się pastwić nade mną?!

– Kto? – zapytał król.

– Twoi najlepsi powiernicy i przyjaciele, ten opój przebrzydły Flemming, ten przewrotny świętoszek Fürstenberg uczynili mnie pośmiewiskiem. Spikali się na to, by mnie, chorą życia zmartwieniem pozbawić. Panie, ratuj mnie lub powiedz, czyś już wyrok wydał na mnie!

Po długim niewidzeniu Cosel odzyskała wdziękiem niezrównanym, jaki posiadała, dawną swą władzę nad królem. August począł ją uspokajać.

– Fürstenbergowi i Flemmingowi uszu natrę. Sądzę, że i chora zbyt wzięła do serca to, co może bez złej woli.

– Bez złej woli, ale to są śmiertelni wrogowie moi, tak jak tu wszyscy; nimi tylko jestem otoczona. Zazdrośni, radzi by mnie wyrwać z twojego serca.

Cosel płakała, król leż nie lubił i starał się ją ukoić.

Gdy po kilkugodzinym pobycie wyszedł do zamku, był już pod urokiem i na pierwszy wyraz oskarżenia, z którym Fürstenberg wystąpił, odpowiedział mu sucho, aby jutro szedł hrabinę przeprosić. Księżę zamilkł.

– I ty, i Flemming winniście, ale nie cierpię kłótni i swarów u mnie, jutro musicie być u niej: pogodzę was.

Flemming, który sobie czasem pozwalał królowi sprzeciwiać, odparł:

– Najjaśniejszy Panie, to by było dla mnie zbyt upokarzającym!

– A jednak przez to przejść musisz – odpowiedział król – inaczej musiałbyś chyba ze dworu ustąpić; nie obeszłoby się bez kłótni przy pierwszym spotkaniu. Cosel nie przebacza łatwo, a ja awantur nie lubię.

Na próżno generał się oburzał i parskał. Spojrzeli po sobie z Fürstenbergiem. Chwila nie była nadeszła jeszcze, trzeba się było poddać króla rozkazom.

Nie dalej jak nazajutrz król obu powołać kazał do pałacu czterech pór roku; musieli stawić się oba. Cosel była zarumieniona od gniewu i dumną jak królowa. August sam wprowadził winowajców.

– Sądzę – rzekł – że to tylko nieporozumienie mogło być przyczyną, iż hrabina mi się uskarżała na niewzględne z nią obejście. Rad bym zatrzeć wspomnienie to. Hrabina zapomni, panowie, jako grzeczni i szanujący płęć piękną, nie weźmiecie jej za złe, jeśli tam słówko jakie w żalu rzuciła. Proszę to puścić z obu stron w niepamięć.

Gdy król to mówił z obu stron zmierzono się oczyma. Coseli wzrok był jeszcze gniewu pełen i oburzenia, Fürstenberga – nienawiści, Flemminga – chytrego szyderstwa. Skłonili się jednak oba grzecznie bardzo, a mruczenie ich można było wziąć za komplement.

Z obu stron nie łudzono się wcale szczerością zgody, widziano, że to był rozejm do czasu i że walka rozpocznie się przy pierwszej do niej zrzeczności. Po tym urzędowym przejednaniu,

którego i sam król pewnie czuł pozorność, księżę i generał, przemówiwszy kilka słów obojętnych i chłodnych, odeszli. Król pozostał u Coseli. Pięć już lat trwała miłość jego stała, przynajmniej powierzchownie, dla pięknej hrabiny. Oczekiwano co chwila przesytu i zmiany: na próżno. Hrabina Reuss i Vitzthum, kandydatki do tronu, na próżno śledziły zmarszczki na czole Coseli, próżno upatrywały zaćmienia blasku jej piękności. Była to jedna z tych dziwnych istot, obdarzonych niemal nieśmiertelną młodością, których lice marmurowe żadna boleść wyszczerbić nie może. Pokątne miłostki króla, nietrwale, gminne, mogły go rozrywać, ale nie potrafiły zastąpić przywiązania do kobiety, która miała za sobą i charakter szlachetny, i umysł wykształcony, i wszystko, co by ją wśród tysiąca innych odznaczyć mogło. Z hrabiną Cosel August pełen próżności mógł się pochwalić przed światem, mógł ją pokazać i chlubić się zdobyczą; wszystkich innych musiał się wstydzić. Żadna z tych, co poprzedziły Annę, nie dorównywała jej ani pięknnością, ani umysłem, ani charakterem. Na próżno chciano coś znaleźć przeciwko niej, co by choć do zręcznej potwarzy dostarczyło oręża. Złość czuła się bezsilną, bo życie pani Cosel, jawne całe, nie miało żadnych tajemnic. Niezmierna pycha tylko i powtarzane jej zapewnienia, że jest żoną i królową, całą winę stanowić mogły.

Wkrótce po tej scenie zręczni nieprzyjaciele w inny sposób postarali się króla z nią poróżnić. Zaproszenie tanecznicy Duparc do Drezna dało im w ręce oręż. Wiedzieli, jak Cosel była zazdrosną i ile razy August musiał od niej znosić najprzykrzejsze wymówki i groźby z powodu bałamuctw swoich. Użyto Glasenappową. Zamawiając pannę Duparc, król nie przyznał się jej wcale, kim był. Poznała go pod imieniem hrabiego Torgau, a przybywszy do stolicy, biegła na próżno, szukając tego nazwiska. Miała ona tu ciotkę w teatrze.

Ta zaprowadziła ją do szambelana Murdachs, dyrektora zabaw królewskich, który był o wszystkim uwiadomiony. Zdziwiła się ciotka niezmiernie, gdy pan szambelan przyjął Duparc ze szczególnymi względami, ofiarował zaraz wszelkie jej żądania spełnić i wyraził życzenie, aby wystąpiła w balecie księżnej Elidy, który właśnie przygotowywano na powrót królewski. Wszystko to miało być dziełem hrabiego Torgau, w którym ciotka i panna zaczęły się już króla domyślać. Domyślano się go więcej jeszcze po bezimiennych darach, jakie jej przysłał.

Cały dwór zaraz wiedział, że Duparc, ujrzawszy króla w teatrze i poznawszy w nim hrabiego Torgau, omdlała z radości, że król aktorowi Beltour kazał ją ratować i że Cosel uraziła się tą wielką troskliwością Augusta o zdrowie awanturnicy.

– Zdaje mi się, Najjaśniejszy Panie – odezwała się hrabina urażona – że to jest zbytek łaski opiekować się tak nieznaną jakąś istotą, wcale zapewne nie zasługującą na te względy.

August się obraził i odparł sucho:

– Prawda, że nieraz mi można było wyrzucać zbytek dobroci dla osób, które jej nadużywały, sądzę wszakże, iż ta Duparc skromniejszą będzie.

Scena w loży się odbywała. Cosel, nie poskramiając ani ruchów, ani głosu, rzuciła się w głąb na siedzeniu, wołając:

– Wasza Królewska Mość masz szczególny gust do ulicznic!

Lękając się, aby z tych słów scena nie wybuchła publiczna, o którą nie było trudno, król wstał i wyszedł do loży królowej, z którą był brat jej, margrabia Brandenburg-Bayreuth.

Chwilę wystawiona na oczy całego dworu i szyderskie uśmiechy, hrabina przesiedziała ze spuszczoną głową, zawołała, że jej się robi słabo, kazała podać lektykę i powróciła do domu. Tym razem król, który sobie w fantazjach swych zawadzać nikomu nie dawał, rozgniewany, ani poszedł do niej, ani się kazał dowiedzieć.

We łzach, w rozpacz, w gniewie Cosel spędziła wieczór cały. Już się gościa żadnego spodziewać nie mogła, gdy późno w noc wdarła się prawie przemocą Glasenappowa. Nieprzyjaciółom hrabiny zdawało się, że już rozjątrzoną pobudzając jeszcze do wybuchów zazdrości, których król widocznie na ten raz znosić nie chciał, zdolają przyspieszyć zerwanie.

Duparc wprawdzie nie mogła się mierzyć z Anną ani się jej kiedy śniło, by dostąpiła tego szczęścia, lecz szło tylko o to, aby obalić panią Cosel lub przynajmniej zachwiać jej potęgę.

Glasenappowej powierzono rolę dla niej bardzo właściwą. Wbiegła, udając nadzwyczajną litość i współczucie, a zastawszy Annę we łzach na kanapie, przypadła do niej szczebiocąc:

– Nie możesz uwierzyć – zawołała – jak mi się serce ściska nad losem twoim! Wiem wszystko, widziałam! Oburzam się... boleję... ale to nie koniec! Nie wiesz nic. Król brawuje cię... Zaraz po wyjściu twym zapowiedział panu Murdachs, żeby kazał do niego zanieść wieczerzę i ma na nią Duparc i trzy inne aktorki zaprosić. Wiem to z najlepszych źródeł. Po teatrze król poszedł do szambelana. Duparc przed nim na kolana upadła. Przy wieczerzy król był w najlepszym humorze i zapewne tam jest dotąd, odprawiawszy trzy inne aktorki, którym dano po sukni i po sto talarów.

Cosel wysłuchiwała plotki, z lekka odtrącając natarczywą Glasenappową.

– Wcale mnie to nie dziwi – odpowiedziała – nie sądź, bym była zazdrosną. Przeżyłam już wiele: odnowioną miłość dla księżny Teschen i Henrietty Duval i innych wiele, ale płacząc nad poniżeniem króla, który sobie większą niż mnie krzywdę czyni.

To mówiąc, wstała Cosel z kanapy ocierając łzy. Przybycie improwizowanej tej przyjaciółki, pośpiech jej dały uczuć hrabinie podstępny intrygę i skutek sprawiły przeciwny: pozornie ją uspokoiły. Glasenappowa na próżno usiłowała gniew w niej rozbudzić. Wrzał on w sercu, lecz nie występował na usta; Cosel potrafiła się pokonać.

– Kochana baronowo – rzekła w końcu – zbyt stoję wysoko, ażeby mnie kaprys króla miał dotknąć. Nie jest on pierwszym, nie będzie pewnie ostatnim. My kobiety powinniśmy być do nich przywykłe. Wstydę się za króla, ale nie sądzę, ażeby mi to serce jego wydrzeć miało.

Nazajutrz król ochłonął z tych zapalów, z rana nie przyszedł wcale wprowadzić do Cosel, lękał się jej porywczosci, posłał na zwiady Vitzthuma. Vitzthum nie należał dotąd do żadnych intryg przeciw Annie, żyli z sobą dobrze. Przyszedł jakby od siebie dowiedzieć się o jej zdrowie. Znalazł ją całę niespodzianie, starszą córeczkę trzymającą na kolanach, smutną, ale spokojną. O wczorajszym wypadku nie wspomniała mu ani słowa. On także, zapytawszy, jak się miała, nie śmiał potrącić o drażliwe wspomnienie.

– Jestem zdrowa, jak hrabia widzisz – ze smutnym uśmiechem odezwała się Cosel. – Czy znać co po mnie? Powiedz mi.

– Pani jesteś zawsze piękna.

– Hrabia jesteś zawsze dobry i grzeczny.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Vitzthum, widząc, że ona pierwsza nie pocznie pewnie o królu i Duparc, zabawił chwilę i powrócił oznajmić, iż Cosel znalazł nadspodziewanie spokojną.

Z daleka cała partia przeciwna z niezmierną ciekawością oczekiwała, czy król zbliży się do Cosel, wczoraj okazawszy jej gniew tak wyraźny. Nad wieczór August poszedł. Wieść gruchnęła i twarze się przedłużyły. Rachowano nieco na gwałtowność hrabiny jeszcze.

Tymczasem i ona, i August okazali przy spotkaniu zbyt wiele rozwagi, aby do zerwania przyjść mogło. Król nie chciał porzucić Anny, nawykł do jej towarzystwa, a choć gwałtowna miłość dla niej dawno już była wygorzała w sercu niestałym, nałóg w nim pozostał. Do Duparc przyznać się nie mógł. Cosel sądziła się żoną, była matką i postanowiła naśladować królowę, znieść bałamuctwa męża.

– Zrobiłaś mi wczoraj niemiłą scenę w teatrze – odezwał się król – nie znoszę takich publicznych swarów, które mnie i wam nie przystały.

– Najjaśniejszy Panie, moja miłość dla was...

– Niechże będzie rozsądną – przerwał król.

– Miłości cechą, że rozsądną być nie może – dodała Cosel. – Ja również niepodobnej rzeczy wymagam od miłości pana mojego, to jest, żeby była stałą.

– Ja zaś od was, byście śmiesznej pozbyli się zazdrości.

– Nie dawaj do niej powodu, Najjaśniejszy Panie – szepnęła Cosel.

Król ramionami ruszył.

– Dzieciństwo.

Cosel powstrzymała się od wybuchów, wiedziała, że jej nic nie grozi. Stosunki z królem nie zmieniły się wcale, stały się tylko mniej serdecznymi: galanteria, ceremonialna nieco, zastąpiła dawną miłość.

Glasenappowa przyszła drugiego dnia oznajmić, iż Duparc ciągle ma z królem schadzki, że król obsypuje ją podarunkami. Hrabina przyjęła to zimno.

Towarzystwo, hrabina Reuss i Fürstenberg, którzy się spodziewali innego przebiegu tej sprawy, zrozumieli, iż Cosel z ofiarą uczuć swych, przemagając charakter, zadając gwałt uniesieniom, postanowiła się utrzymać. Przestraszyło to nieprzyjaciół. Cosel, jaką znali, nie tyle zdawała się niebezpieczną; ta nowa, pamiętająca o sobie, trudniejszą się stawiała do obalenia.

Scena dramatyczna z panną Duparc, omdlenie jej za kulisami, upadnienie do nóg króla, wieczerza u Murdachsa, cała ta historia karnawałowa, z której usiłowano wysnuć coś wielkiego, skutek zrobiła zupełnie przeciwny. Król, który się w pierwszej chwili niecierpliwił zazdrością Cosel, później znalazł w niej dowód namiętnego przywiązania. Pochlebiało mu to. Kłócili się niemal co dzień o pannę Duparc, ale spory czułością się kończyły. August nie przyznawał się do winy.

– Moja droga hrabino – mówił uśmiechając się – tworzysz sobie fantazje jakieś, aby się dreczyć nimi. Dlaczegoż sądzisz, że mam kochać inną? Jakież dowody? Czy mniej jestem czuły, chętny, posłuszny i dogadzający wszystkim twym zachceniom? Czy na chwilę znalazłaś mnie oziębłym? Czyż mi nie wolno spojrzeć na kobietę, przemówić do niej, żebym zaraz o zakochanie posądzonym nie był? Nie kryję się z tym wcale, mówię otwarcie, gdybym cię nad wyraz wszelki nie kochał, porzuciłbym dla tych nieustannych zazdrości.

Cosel odpowiedziała wpół żartem:

– Wiem, że cię męczę wymówkami, ale muszę mieć ciągle i baczne oko na miłostki mego pana. Pomimo to nie zda się na nic moja podejrzliwość i obawy, będę oszukaną i ja, i tysiąc równie, jak ja, zazdrosnych.

Król się uśmiechał, ta rola jakiegoś Jupitera pochlebiała mu, tłumaczył się, gniewał niby i stawał coraz czulszym. Duparc też nie umiała go długo zająć, bo to była istota, która tylko tak zepsutemu i zdziaczemu panu, jak król, i to chwilowo chyba, podobać się mogła.

Gminne obejście się jej i towarzyszek teatralnych obudzało w Najjaśniejszym Panu tym większe pragnienie przyzwoitszego towarzystwa. W krótkim przeciągu czasu Cosel nie tylko odzyskała władzę dawną, ale z przerażeniem tych, co na jej zgubę czyhali, zdawała się ona rosnać i ustalać.

Najlepszym dowodem, że hrabina nie straciła nic w sercu króla-kochanka, były w następnym roku odwiedziny króla duńskiego, Fryderyka IV, powracającego z Włoch i po drodze chcącego widzieć królową Eberhardynę, swą ciotkę. August, który chwycił każdą taką zręczność, następczącą się do tracenia pieniędzy na uroczystość i zabawy, zdumiewając nimi Europę, postanowił z przepychem jak największym przyjmować swego dostojnego siostrzeńca.

Sam on obmyślił plan świetnych zabaw, jakimi go chciał zachwycić, a dawna poddanka króla duńskiego (rodem z Holsztynu), hrabina Cosel, wyznaczoną została do grania w nich pierwszej roli. Prawda, że teraz nawet jeszcze hrabina była zawsze najpiękniejszą, że jej nieprzyjaciele nawet nie mogli odmówić wdzięku, jakim wszystkich czarowała. Szczególnie w takich razach, gdy trzeba było wystąpić w postaci bogini, czarodziejki, królowej, Cosel postawa, majestatem, urokiem przewyższała, co ją otaczało. Król zdawał się niejako uniewinniony, że składał hołdy tak wyjątkowej istocie.

Jak tylko dowiedziano się w Dreźnie o dniu przybycia Fryderyka IV, ułożony został program na cały czas jego pobytu. Pierwszego wieczora wysłano na spotkanie młodego kurfirsta, księcia Fürstenberg, namiestnika, hrabiego Flemminga, Pfluga, z całym orszakiem szambelanów, paziów, dworzan, oddziałem wojska i muzyką.

Część tylko dnia tego hrabina Cosel musiała pozostać w domu, aby królowej w oczach siostrzeńca nie wyrządzić bolesnej przykrości. Król w świetnym bardzo orszaku dworu wyjechał o dwie mile na powitanie i wprowadził do Drezna wśród bicia z dział, napływu ludu, dźwięku muzyki, oświetlenia ulic i gmachów czarodziejskiego. Gwardie od złota lśniące ustawione były przy zamku. U wielkich wschodów królowa z synem czekała nań i wzięwszy między siebie króla, prowadzili go na górę; za nimi szedł król sam.

W wielkich apartamentach dworu zgromadzone czekały nań damy, które królowa przedstawiała. Ale całe to przyjęcie urzędowe trwało bardzo krótko. Król duński po rozmowie z ciotką i z rodziną dał się wziąć Augustowi pod rękę i wieść do mieszkania, które dlań było przeznaczone. Tu zabawili chwilę i przejściem krytym, łączącym zamek z pałacem hrabiny Cosel, udali się do niej, dla spędzenia wieczoru.

Uroczysta wieczerza z całym ceremoniałem dworu Augusta, który na wzór Ludwika XIV kochał się w obrzędach połączonych z przepychem, zastawiona była w zamku, w wielkiej sali. Wszyscy urzędnicy dworu, krajczowie, podczaszowie, podkomorzowie, paze – w galowych ubiorach pełnili swe obowiązki u stołu.

Król duński siedział między królem a królową, a pierwszy toast wzniesiony powitały działa z wałów. Na galeriach grały muzyki, sale zielenią i kwiatami strojne połyskiwały złotem, obrazami, kryształami bogactwy, jakim żaden może dwór w Europie nie zrównał.

Dokoła stołu, którego serwis złoty i wysadzany kamieniami był prawdziwym dziełem sztuki, jak żywe kwiaty snuły się najpiękniejsze damy dworu Augusta, a wśród nich piękniejsza od wszystkich Cosel, cała okryta diamentami. Pas jej, sznury, naszyjnik, przepaski włosów, bransolety świeciły tymi kroplami rosy, w których wyglądała jak nadziemskie jakieś zjawisko.

Król duński, na którym jej piękność uczyniła wielkie wrażenie, a który był grzecznym i sądził, że się tym przypodoba gospodarzowi, nie mógł znieść, ażeby stała, i prosił, by jej usiąść dozwolono. Na skinienie króla podano taboret hrabinie, a że inne panie stać musiały, pomnożyło to ich gniew, oburzenie i zazdrość.

Pobył króla duńskiego trwał dni czterdzieści, ale wyobraźnia króla starczyła na zapelnienie ich coraz odmiennymi zabawami, ułożonymi z tą sztuką, jaka Augustowi była właściwą. Nikt lepiej nie umiał urozmaicić zabawy, urządzać niespodzianek, zachwycać pomysłami dziwacznymi i był to może jedyny talent niezaprzeczony, który współcześni i potomni w nim uznają.

Zabawy dworu były równie kosztowne i wyszukane, naśladowano je później długo, ale nikt w tym Augustowi dorównać nie mógł. Karnawałowe igrzyska drezdeńskie, którym często za plac popisu służyły podwórce zamkowe lub rynek stary miasta, gromadziły dworaków i szlachtę, przymuszoną jak najkosztowniej o własnym groszu, występować, przywdziewając stroje najrozmaitszych narodów.

Myśliwskie zabawy były też najrozmaitsze: ściganie jeleni po lasach psami, konno szczwianie dzików w zwierzyńcach pod Dreznem, polowanie na zające, bażanty i kuropatwy w Wielkim Ogrodzie, hece z niedźwiedziami w podwórcach zamkowych, szczucie lisów w zagrodach około pańskiej rezydencji. Najulubieńszymi łowy Augusta II były – na dziki.

Igrzyska rycerskie, karuzele, uganianie się do pierścieni, piesze turnieje, strzelanie do celu przy pochodniach w umyślnie na to urządzonych strzelnicach na Zwingerze, w rynku itp. zmieniały i urozmaicały myślistwo. Cel urządzano w ten sposób, iż trafny strzał zapalał fajerwerk i tysiące rakiet ulatywało do góry. Rozdawano nagrody, często bogate, czasem sztyderskie, jak na przykład lisie ogony dla niezręcznych. Szlichtady w sankach najdziwniejszych kształtów należały także do najulubieńszych rozrywek.

Zabawą, która dotrwała później na bogatych dworach w Polsce do końca XVIII wieku, były tak zwane gospody i jarmarki. Piękne panie przebierały się za oberżystki, wiwandierki, kupcowe i częstowały gości. Przebierano się za chłopów, za Cyganów. Jarmarki te odbywały

się najczęściej w nocy przy świetlnych iluminacjach, a w budach niektórych ustawiano teatra marionetek.

Gdy August szlichtadę zapowiedział, a śnieg tajać zaczął, tysiące wozów wieśniaczych na gościniec zwoziło śniegi.

Maskarady i reduty w olbrzymiej sali zamkowej, w Zwingerze, na rynku odznaczały się też niezwykłą świetnością. Salę olbrzymią oświecało siedem olbrzymich, także kryształowych żyrandolów, w których do pięciu tysięcy woskowych świec zapalano. Obok niej w sali audiencjonalnej zastawiano ośmnaście ogromnych stołów dla zaproszonych gości, okrytych wykwintnymi potrawy i napojami. Na maskarady wpuszczano, ktokolwiek był odziany przyzwoicie i imię swe podał u wnijsia.

Niekiedy przy dobrym humorze maski ruszały na miasto, wpadały do spokojnych domów i przestraszały mieszkańców, a swoboda karnawałowa nie dopuszczała zamknąć im drzwi przed nosem. Że wszyscy, aż do woźnicy i sług, maski mieli na twarzy, któż mógł odgadnąć, czy się król między maskami nie znajduje?

Francuski teatr, włoska opera, baleta, koncerta, które ogromne sumy kosztowały, przyczyniały się do uprzyjemnienia czasu. Niektórzy śpiewacy, muzycy brali sumy znaczne, a widowiska te rocznie przeszło ośmdziesiąt tysięcy talarów brały ze skarbu króla.

Wojskowe zabawy, przeglądy, manewra, udawane wojny służyły też jako środki uprzyjemnienia czasu. Zakładano obozy w okolicy i zamiast szaleć w stolicy szalano pod gołym niebem. Każdy dzień zwał się inną uroczystością, wymagał nowych przyborów i strojów, ale na to król nie zważał wcale. Komu byłaznaczona rola na igrzysku, musiał się do niej stosownie wyekwipować na owe Jowiszowe gody, Marsowe igrzyska, święto Diany, Merkurego targowice itp. Lecz któż to zliczyć i opisać potrafi?!

Czas pobytu króla duńskiego cały ten szereg uroczystości wywołał. Król August chciał mu dać pojęcie swej wspaniałości i bogactwa. Dla hrabiny Cosel była to jedna z najświetniejszych chwil tryumfu. Jej barwy kładli królowie, cyfry jej świeciły w fajerwerkach, wieszały się wśród zielonych wieńców. Ona rozdawała nagrody, ona wiodła damy do pierścienia, gdyż w ćwiczeniach tych wprawna, celowała i niejednen strzał szczęśliwy zjednał jej naówczas oklaski. Piękna pani jaśniała szczęściem. Król mógł się nią pochlubić, wnikała w jego myśli, poddawała mu plany, pomagała do wykonania najdziwniejszych programów. Ze wszystkich wszakże uroczystości najwspanialszym był pochod bogów i bogiń, który już raz w 1695 roku był wykonany, a teraz powtórzono go świetniej jeszcze, kosztowniej i z niezrównanym przepychem.

Krół duński brał w nim udział także jako Jupiter, król August był Apollinem, hrabina Cosel przedstawiała Dianę, otoczoną najpiękniejszych nimf orszakiem. Za nią postępował złocisty wóz tryumfalny, w którym jechała muzyka. Nawet królowa nie mogła odmówić przystającego jej miejsca w świątyni Westy jako kapłanka tej bogini.

August w istocie mógł jeszcze naówczas przedstawiać Apollina, tak piękną zachował postać, tak jeszcze oblicze promienne, tak ledwie przeżyte losy po posagowym jego obliczu, nie zostawiając śladów, spłynęły.

Wszyscy znużeni, ledwie mieli dość sił, by tej zabawie podołać. Cosel była niezmordowaną, król w swym żywiole. Piękna hrabina nie oddaliła się na chwilę, nie znikła nigdy, szukając ciszy i spoczynku, stała u boku króla uśmiechnięta i poila się kadzidły, od których zawrócić się mogła głowa biednej kobiecie. Dla niej jednej sprawiono kobiecy wyścig do pierścieni, który był tryumfem nowym. Obaj królowie dnia tego nosili jej godła, kolory i cyfry. Król duński ją prowadził, August siedł po prawej stronie, podkomorzy dworu po lewej.

Z łoży patrzała królowa...

XIV

Wyścig ten do pierścieni, w którym Cosel okazała nadzwyczajną zręczność i niezmierną odwagę we władaniu koniem i ćwiczeniach tak płci jej niewłaściwych, zdawał się w królu Auguście, który z nią razem tryumfował, rozżarzać jeszcze uczucia. Tłumy wybranych gości wpatrywały się w to widowisko, któremu dzień najpiękniejszy, najjaśniejsza pogoda i łagodne powietrze towarzyszyło.

W łóżach i na galeriach otaczających podwórzec, w którym się bieg ten odbywał, widać było tysiące twarzy i głów ciekawych, i stroje najwykwintniejsze. Piękna amazonka z licem rozpromienionym, zręczna, zwinna, gibka, miała nadzwyczajne szczęście. Królewscy widowie przyklaskiwali, obaj królowie bogate dla niej przygotowali nagrody. Nikt nie zważał na twarze reszty dworu posępne, na żółtkłe oblicza dam, na szepty poza wachlarzami, na dziwną ciszę tłumu, który tał uczucia swoje.

W kącie wpośród dworu króla i urzędników, którzy czynnego nie brali udziału w zabawie, stał Zaklika, wierny sługa hrabiny, jedyny może z tych, co przywiązaniem niezłomnym płacili jej za dobrodziejstwa i kaprysy. Służba u hrabiny Cosel nie była wcale łatwą ani przyjemną, ale pan Rajmund służył raczej własnemu sercu niż hrabinie. Zaklika się kochał i nie mógł, nawet smagany widokiem jej fantazji, dumy, pogardy, wyrwać z serca tej namiętności szalonej; żył się już z nią, stała się w nim chorobą, co podtrzymywała życie. Zaklika nie miał innego celu nad tę miłość bez przyszłości.

I on dumny był swoją Anną Cosel, chociaż te ponawiane tryumfy jej niepokoiły go instynktowo. Obawiał się tak szalonego szczęścia wiedząc, jak na serce Augusta, na litość jego, na wdzięczność, na nic rachować nie było można, gdy go nowa opanowała namiętność.

Dokoła Zakliki, który stał przy murze, w cieniu, skupieni byli dworzanie Augusta. Z tej kupki ani jeden okrzyk nie dał się słyszeć, ani jeden oklask, nic, co by zdradzało uwielbienie dla pięknej, a dnia tego najpiękniejszej królowej turnieju. Przy Zaklice, osłoniętym występem kolumny, znalazło się kilku nie znanych mu osobiście ludzi. Jeden z nich, choć świeżo ogolony bardzo starannie, siwym już był i starym, drugi zdawał się być cudzoziemcem; kilku innych stanowiło z nimi gromadkę. Mówili po cichu, lecz słowa ich mimowolnie ucho Zakliki chwyciło.

– Pięknaż bo jest, piękna ta kochanka króla waszego – odezwał się cudzoziemiec – prawdziwy królewski kąsek! I zdaje się, że już dla tej musi się Najjaśniejszy ustatkować?

Stary figlarnie się uśmiechnął i westchnął cicho.

– Gdy na to patrzę – rzekł – przypominam sobie dawne czasy i myślę, co też to ja jeszcze zobaczę, bo na tym się nie skończy, panie szambelanie. Boję się, by te tryumfy ostatnimi nie były. Przeżyłem wiele, pamiętam na szczycie chwały uroczą Aurorę, pomnę wdzięczną Esterle, zdaje mi się, że widzę jeszcze śliczną Spiegel i miłą księżną Teschen. Z nich wszystkich ta się wprawdzie jakimś ekwilibrem nadzwyczajnym trzyma najdłużej, lecz żeby króla miała przywiązać na wieki, temu nie wierzę!

– Mówiono mi wszakże, że król jej przyrzekł ożenienie? – szepnął cudzoziemiec.

– Sądzę, że się nim i księżna Teschen łudziła, że się go i piękna Aurora spodziewała, lecz naszej zacnej, dobrej królowej Bóg życia przedłuży, a śliczna rycerka pójdzie za innymi.

– Chyba nieprędko! – zaśmiał się cudzoziemiec.

– A któż to odgadnie? – szyderczo szeptał stary. – Spójrz waćpan na rząd tych pięknych jeszcze twarzy niewieścich, na których licach zazdrość się pali. Z małym wyjątkiem te panie wszystkie miały swe dni królowania. A tam w kącie u dołu widzisz tę kupkę francuskich linoskoków i tancerek? Tam stoi Duparc, która dziś dzieli serce pana z tą amazonką, choć nic nie ma za sobą, chyba że stokroć od niej brzydsza jest a swawolniejsza. Któż zaręczy, że jutro z cizby nie wybierze sobie nasz Najjaśniejszy coś jeszcze... dziwaczniejszego?

Za Zakliką stali także dworacy; tu nie ukrywano niechęci.

– I owszem – mówił jeden z przyjaciół i zauszników Fürstenberga – niech sięga jak najwyżej, tym bliższy upadek. Wzbija się w łaski i wzbija w dumę, królowi staje się obojętnym swym coraz nieznamiętniejszą. Można by niemal obliczyć chwile, gdy runie.

– Tak, tak! – dodał drugi. – A nie będzie to pewnie ciche rozstanie jak z tamtymi, bo ta nosi pistolet nabity i papier z królewskim podpisem. Zgubi się niechybnie, bo się będzie opierać i bronić.

– My to już jednak prorokujemy od lat trzech i dotąd nie spełniły się proroctwa nasze – rzekł pierwszy wzdychając.

Dalej nieco widać było barona Kyan, zamyślonego bardzo. Dowcipny stary dworak słuchał i słyszeć nie chciał. Zaczepił go ktoś o zdanie.

– Nie jestem astronomem, panie – rzekł – bym mógł rozrachować, kiedy gwiazdy wscho-
dzą i zachodzą, a wiem tylko, że są gwiazdy stałe.

W jednej z łóż hrabina Reuss i Vitzthumowa, panna Hülchen, a z tyłu Glasenappowa siedziały ponure i milczące. Reuss westchnęła.

– Sameśmy winne – odezwała się do Vitzthumowej.

– Król nie widzi od kilku lat, tylko stare, znane twarze; nie umiałyśmy się o nic postarać.

– Nie cierpię tej kobiety – przerwała Vitzthum – ale zmuszoną jestem przyznać, że po niej znaleźć coś trudno.

Stara Reuss roześmiała się szydersko.

– Nie znasz ani ludzkiej natury, ani charakteru króla – rzekła spokojnie. – Po blondynce Teschen musiała się podobać wasza bratowa, po jej kruczych warkoczach znowu złocistych będzie szukać, a że ta udaje boginię, zasmakuje w chłopiance lub w takiej Duparc, która paple mu jak przekupka.

– A! Już zresztą naszemu królowi się nie dziwię, że pęt swych nie umie rozplątać, ale król duński, patrz pani, jak słodkie oczy ku niej wznosi.

– Jak dumnym z góry, olimpijskim wzrokiem ona mu odpowiada!

– Gdyby mi się nie chciało płakać, śmiałabym się z tej oszalałej awanturnicy – szepnęła Hülchen.

– Miliony kosztuje ta perła Saksonię.

Te i podobne rozmowy słyszeć było prawie wszędzie, lecz szmer nie mógł dojść do uszu pana. A choć August domyślał się może uczuć obecnych na turnieju osób, nic dlań zabawniejszym być nie mogło nad widok tej tłumionej zazdrości: był to także rodzaj hecy, wielce mu upodobanej.

Po turnieju i strzelaniu do celu, po świetnej wieczerzy, która już była pożegnalną, gdyż król duński nazajutrz wyjeżdżał do Berlina, a August mu towarzyszył, zgasły światła i hrabina Cosel w stroju, jaki miała na igrzyskach, powróciła do pałacu. Twarz jej pałała jeszcze ogniem tryumfu, zapału, ale zarazem gorączki i znużenia. Uczuła się słabą i zrzuciwszy z siebie klejnoty, padła na sofę spoczywać.

W pałacu było cicho, dalekie ledwie stąpanie dawało się słyszeć niekiedy w przedpokojach. Ta cisza, po wrzawie, okrzykach i muzyce następująca nagle, dziwnie ją usposabiała. Czuli się równie na duszy, jak na ciele, zmęczoną. Niczym nie usprawiedliwiony w tej chwili smutek ją owładnął.

Wśród tryumfu spotkała parę razy szyderski wzrok Flemminga i ten ją przejął do głębi. Była w nim jakby niema groźba, którą ona tylko jedna zrozumieć mogła. Wyraz jego oczów odbił się na jej sercu; gniew i trwoga w nim gościły. Nie miała powodu do obojga, a pozbyć się ich było dla niej niepodobieństwem. Na próżno przypomnieniem króla i wszystkich dowodów czci, jakie tego dnia doznała, usiłowała ponure rozbić myśli. Obłok, co na nie zaszedł, wisiał na duszy chmurą czarną. Oczy zachodziły łzami. Tak nieraz w chwili największego szczęścia zjawia się przyszłości przecucie.

Niema, stężała, z oczyma wlepionymi w ścianę, na której wisiał portret królewski, siedziała tak długo. Dnia tego nie spodziewała się już zobaczyć Augusta: nazajutrz rano razem ze swym gościem miał jechać do Berlina. Tam nowe go czekały uroczystości, nowe twarze, nowi ludzie.

W korytarzu, którego wschody łączyły się z galerią do zamku wiodącą, dały się słyszeć kroki; nie mógł to być kto inny prócz Augusta. Cosel zerwała się z siedzenia i pobiegła do zwierciadła, aby suknie rozrzucone poprawić. Bujne jej włosy czarne nie dały się ująć ręce niewprawnej i gdy król ukazał się na progu, Cosel trzymała je w białej dłoni, drugą osłaniając i podnosząc spadającą z niej suknię.

Z pierwszego wejrzenia Cosel poznała, że August przychodził do niej w tym stanie, w jakim go rzadko widywała, a jak najmniej widzieć lubiła.

Uroczyste żegnanie siostrzeńca, którego dwóch dworzan z wielkim uszanowaniem na łóżko zaniósł, odbyło się ogromnymi pucharami. Król, jakkolwiek nawykły do nich, nie wyszedł z tej walki cało. Szedł wprawdzie bez pomocy szambelana, który go do drzwi tylko doprowadził, starannie pilnując, aby równowagi nie stracił, ale w gabinecie Cosel oczyma zaraz szukał siedzenia i rzucił się na nie skwapliwie. Twarz była okryta rubinowym rumieńcem, oczy przyćmione, mowa stała się niewyraźną.

– Anno – rzekł – chciałem cię pożegnać. Ha! Miałaś dziś dzień, tryumfu, jaki rzadko która kobieta otrzyma. Podziękujże przynajmniej!

Rozśmiał się król.

Cosel zwróciła się ku niemu z twarzą smutną.

– A! Panie mój – rzekła – czyżem ja ci codziennie tak samo nie powinna dziękować? Lecz gdybyś widział te zawistnych oczy, które na mnie patrzyły, te zazdrośnie ścięte usta, pojąłbyś, że wróciłam smutna.

August wciąż się uśmiechał.

– Tragikomedie życia – rzekł obojętnie. – Ja miałem mego Karola XII, ty masz twego Flemminga. Każdy ma coś, co go boli, a życie – to życie... Bądź mi wesoła!

– Nie mogę – odezwała się Cosel.

– Dla mnie! – odparł August.

Cosel wpatrzyła się w niego i powoli raczej przymus i rozważa niż uczucie wywołały różowy uśmieszek na małe usta.

– Gdybym na ciebie tylko, Panie mój, wciąż patrzeć mogła, gdybym cię miała zawsze u mego boku – odezwała się, siadając przy nim powoli – byłabym samym śmiechem i jednym

weselem; rada bym cię nie puścić na krok od siebie, trzymać skutego uściskiem. Niestety, wyrwiesz mi się sam, polecisz w świat, a któż wie, jakim powrócisz?

– Byłe nie tak pijanym, jak dziś jestem – ze śmiechem zimnym odparł August. – Wino lubię, ale panowania jego nad sobą nienawidzę.

– A kiedyż pan mój powróci? – spytała Cosel.

– Spytaj... astrologów, ja nie wiem. Jedziemy do Berlina. To jedno mnie cieszy, że Brandenburgi po drezdeńskich fetach wydadzą się bardzo chudo. Będzie nas Fryderyczek bawił żołnierzami i wygłodzi przy stole. Berlin po Dreźnie! Cha! cha! – zawołał król. – To mnie niezmiernie cieszy, jadę umyślnie, żeby się napawać zwycięstwem. Z góry jestem go pewny.

– A wróc mi tylko, Wasza Królewska Mość, wiernym i stałym! – dodała jedną zawsze myślą zaprzątnięta Cosel.

– Z Berlina? – śmiał się August. – Tam mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo ani tobie: najcnotliwszy z dworów i najnudniejszy w dodatku.

– A Dessau? – szepnęła Cosel. Król pokiwał głową.

– To prawda, że była bardzo ładną, lecz gdyby była katoliczką, powinna by zostać mniszką. Nie rozumiała wcale galanterii, obrażała się półsłowem. Nie, ja takich nie lubię.

August spróbował się podnieść i potarł ręką po czole tak nie ostrożnie, iż zsunął trefioną perukę nieco; Cosel mu ją poprawiła; począł całować ją w ręce.

– Moja Cosel – dodał – jadę, a mam jedną prośbę do ciebie: pojednałem cię z Flemmingiem, zawrzyjcie pokój wieczny, przestańcie się jeść wzajemnie.

Anna zmarszczyła się.

– Najjaśniejszy Panie, racz to zapowiedzieć Flemmingowi, nie mnie. Uchybia mi ciągle, jest zajadłym nieprzyjacielem moim. Hrabina Cosel, żona Augusta.

Król, słysząc to, dziwnie się uśmiechnął, oczy jego błysnęły dziko.

– Hrabina Cosel – dokończyła dumnie Anna – nie powinna, nie może ulegać jakiemuś Flemmingowi ani się go lękać, ani mu ustąpić!

– Ale ja tych wojen nie cierpię!

– Każ mu być mi uległym, poleć mu, by mnie, matkę twych dzieci, szanował, to będzie sposób najlepszy utrzymania pokoju.

Po tych słowach, na które król już nic nie odpowiedział, nastąpiło nieme pożegnanie. Cosel z czułością zawiesiła się na szyi króla, który szukał podpory w kolumnie, aby go to nie zachwiało. Hrabina podała mu rękę, kilka tylko kroków dzieliło ode drzwi, za progiem czekali szambelanowie. Z pochmurnym czołem król wysunął się od Cosel.

Któż może odgadnąć, co wówczas działo się w tajemniczych głębinach pańskiej duszy? Czy istotnie pragnął zgody na dworze, czy chciał, by na nim trwała wojna? Tegoż wieczora kazał przywołać Flemminga. Szyderski był i podrażniony.

– Cosel mi się skarży na ciebie, stary – rzekł żartobliwie – powinienes jej ulec, wiele rzeczy nie słyszeć, a przebaczyć drugie tyle. Znasz kobietę... przecież ja umiem znosić od niej...

– Najjaśniejszy Panie! – odezwał się Flemming, który z królem do zbytku poufałym był. – Najjaśniejszy Panie, to wcale co innego. Miłość pani Cosel płaci Najjaśniejszemu Panu za te utrapienia.

– Więc mojej nie liczysz? – spytał król.

Flemming się skłonił nisko.

– Wasza Królewska Mość wiesz – odezwał się – żem ja w rachunkach niemocny, lepiej się do liczby nie pociągać.

– Ale bądźże dobrze z Cosel! – powtórzył August.

– Najjaśniejszy Panie, to trudno: dworakiem jej być nie potrafię, pochlebiać i kłamać nie umiem, a kłaniać mi się trudno, bo mam grzbiet stary.

Na tę mowę król śmiechem odpowiedział:

– To prawda – dodał – że cię ona nie lubi; powiada, żeś do małpy podobny, a ja tego nie znajduję.

Flemming podniósł głowę, z oczu mu się iskry posypały, zabełkotał coś i umilkł.

Gdyby był król przedsięwziął na wieki poróżnić ich z sobą, z pewnością by nie mógł postąpić. Tu miejsce może nieco bliżej dać poznać człowieka, który na losy przyszłe bohaterki tego opowiadania wpływ wywarł tak stanowczy.

Hrabia Jakub Henryk Flemming był jednym z ludzi, co się najdłużej umieli utrzymać w łaskach króla Augusta I, wedle świadectwa współczesnych, najsilniej w nich stali.

Mówiono powszechnie, iż Flemmingowi zawdzięczał polską koronę. Jedną z jego kuzynek bliskich, córka feldmarszałka Flemminga, od roku 1648 wyszła była za mąż do Polski, za podskarbiego kasztelana chełmskiego Przebendowskiego. Przez nią generał zawiązał najprzód w Polsce stosunki. Flemming był człowiekiem na swój czas wykształconym i więcej jeszcze dyplomata niż żołnierzem, choć obrał zawód wojskowy. Przebiegłym był i chytrym jak wszyscy znakomici dyplomaci tamtych czasów, a w polityce trzymał się systemu Machiavella: wszystkie środki dobre mu były, byle go wiodły do celu.

Na dworze Augusta Flemming, który już wówczas marzył o wyłącznym wpływie i opanowaniu króla, starał się z pewnością pousuwać wszystkich, którzy z nim mogli współzawodniczyć. Zawadzał mu wówczas Hoym, nad którego ruiną pracował po cichu; lękał się wpływu Cosel i gotów był ją kimkolwiek innym zastąpić; niebezpiecznym zdawał się Schulenburg i na tego już dawno miał oko.

Flemming miał pod ręką ludzi, którymi tamtych postanowił zastąpić; kreatury swoje, mające mu zawdzięczać stanowiska, czyhające na objęcie miejsc opróżnionych: Watzdorf, Manteuffel, Wackerbarth czekali i służyli mu wiernie. Zarozumiały i pewien siebie Flemming do swych zaufanych zwykł był mawiać: „Moją zasadą jest: okoliczności tworzą ludzi, każdy do wszystkiego jest zdolnym, byle mu się sposobność trafiła spróbować. Ja najlepszym tego jestem przykładem. Zrazu sposobiełem się tylko do stanu wojskowego i nie miałem innego pragnienia, tylko kiedyś pułk dostać, a jednak doszedłem do tego, że jestem pierwszym ministrem i feldmarszałkiem (został nim dopiero w roku 1711), choć w żadnym nigdy nie zasiadałem Collegium. Rządę, mogę powiedzieć, Polską i Saksonią, obu krajów ustaw nie znając, a mimo to z obowiązków wywiązuję z honorem.”

Zarozumiałość ta i zuchwalstwo były podobno głównym przymiotem i charakterem Flemminga. Nierychło się jakoś przekonać zdołano, że wojskowym jego talentom brakło doświadczenia, a ministerialnych nie miał wcale. Z powierzchowności był to człowiek żywego temperamentu, rześwy, wesół, hulaka, coś żołnierskiego mający w obejściu, rozkazujący śmiało, krótko i stanowczo. Gniewał się łatwo i dowcipnym żartem rozbrajał, bo lubił wesołość i dowcip. O trzy lata tylko starszy od króla, był jego przyjacielem poufałym, towarzyszem zabaw, powiernikiem. Zdarzało mu się po szumnej zabawie nadużyć czasem względem Augusta dozwolonej poufałości, ale zawsze to umiał naprawić.

Flemming żył po książęcemu, trzymał służbę ogromną i sto koni na stajni. Przedpokoje jego pełne były zawsze ministrów, dygnitarzy, cudzoziemców, jak u króla. Łatwo mówiąc po francusku, po polsku, po łacinie, umiając pracować i nie opuszczając dlatego hulanki, mogąc nie spać, umiając pić i nie upijać się, zdrzemnąc na kwadrans w krześle i wstać orzeźwionym, musiał pozyskać niezmierny wpływ na dworze, gdzie się wszyscy bawili tylko i intrygować umieli. Człowiek był żelazny, a mimo żywości pozornie flegmatyczny i zawsze pan siebie.

Wyglądał wcale niepięknie: niskiego będąc wzrostu, przysadzisty, otyły, z twarzą napełzoną, czerwoną, ale rysów dosyć czystych. Wedle zwyczaju owych czasów nie nosił peruki, ale własne włosy długie, w które wplatał parę loków.

Pieniądze robił, dobrami handlował i o kieszeni nie zapominał. Nie wahał się nawet przy większych interesach wymawiać sobie tak znaczne poręczawiczne, iż raz król się o tym do-

wiedziawszy, że wziął pięćdziesiąt tysięcy talarów, powiedział mu: „Słuchaj, Flemming, wiem, coś wziął; to już dla ciebie za wiele; musisz mi połowę oddać.”

I tak się stało. Jak to dobrze pana i sługę maluje.

Walka z człowiekiem, który się umiał posiadać i panować nad sobą, dla kobiety tak namiętnej a powodzeniem długim wzbitej w pychę, była rzeczywistym niebezpieczeństwem. Wreszcie, poza Flemmingiem stał cały zastęp nieprzyjaciół hrabiny Cosel, a co gorzej, zjadliwych jej nieprzyjaciółek: pani Przebendowska, siostra cioteczna generała-ministra, cała klika hrabiny Reuss, utrapiona Glasenappowa, Vitzthumy, rodzina Hoymów i te nawet jejmoście, które pozornie udawały przyjaźń dla pani Cosel, choć nic tak nie pragnęły, jak widzieć ją upokorzoną.

Długie lata szczęścia budziły zazdrość, jątrzyło to, że przeciwko niej nic znaleźć nie mogli, co by ją w oczach króla poniżyło. Wśród tego rozpustnego dworu, w którym stosunki zawiązywały się tak łatwo i rozrywały tak prędko, nikt jej, otoczonej zawsze gronem wielbicieli, nic zarzucić nie mógł. Szpiegi najpilniejsze nic nie potrafiły wysledzić, potwarz nawet nie miała się do czego przyczepić. Cosel mogła być dumną, bo istotnie przewyższała otaczające ją towarzystwo kobiece charakterem i szlachetnością postępowania. Tak jak w początkach nie chciała zdradzić męża i domagała się od króla przyrzeczeń zaślubienia na piśmie, tak potem nie dopuściła się przeniewierstwa, będąc nieustannie zdradzaną. Ciągłe powtarzanie, iż się uważała za żonę króla, nie kochankę, do rozpacz przyprowadzało te panie.

A im dłużej pracowały na próżno, tym rosły gniewy, niecierpliwość, zawziętość. Jątrzone więc Flemminga, a w pomoc mu stawali Fürstenberg i ten, którego Cosel uważała za przyjaciela, którego nie lękała się wcale i ufała mu, Vitzthum nawet. Ostatni był przez żonę, której ulegał, popchniętym i więcej przez lekkomyślność niż przez niechęć zaciągnął się do szeregu przeciwników hrabiny Cosel.

Plan był ułożony. Należało tylko znaleźć piękną twarzyczkę, która by nie zrażona losem swych poprzedniczek, chciała chwilowo zająć smutne, upokarzające miejsce u boku Augusta II. Znano króla, że zalotności ulegnie, ale ociężałemu nieco trzeba było oszczędzić pół drogi, wyszukać pięknej pani, która by pierwsza wyzwała go do zalotów. Rozesłano na wszystkie strony na zwiady.

XV

Gdy król August zabawiał się z obojętnością człowieka, który wierzy w przeznaczenie, Karol XII także szedł naprzeciw zgotowanego mu losu. Z garścią ludzi wśród nieznanego mu kraju rzucił się na nieznaną sobie potęgę i z męstwem lwim, a nieopatrnością młodzieńczą stanął na polach pod Połtawą.

Bitwa ta o losach wielu krajów i ludzi rozstrzygnęła była stanowczo. Król August powracał z odwiedzin w Berlinie ciesząc się, że nie został zwyciężonym przez dwór, który się wcale o przepychach nie ubiegał, gdy z Polski od księżnej Teschen wysłany kurier przywiózł mu pierwszą wieść szczęśliwą o pobiciu na głowę Karola XII. W pierwszej chwili król zdawał się osłupiały, zrzekł się uroczystości polskiej korony, a słowo swoje, wyrzeczone w obliczu Europy, chciał poszanować. W tym momencie wahania nadbiegł Flemming.

– Najjaśniejszy Panie – zawołał – wymuszone orężem układy nic nie znaczą, potrzeba wrócić do Polski! Leszczyński nie jest królem, tysiące rąk znajdziesz na obronę praw swoich! Trzeba się zjawić tylko, by zwyciężyć!

Tyłu ofiarami okupiona korona była ponętną dla kurfirsta. Wiązały się z odzyskaniem jej plany monarchii dziedzicznej, okupionej ofiarą prowincji, którymi by usta zamknął zazdrośnym sąsiadom. Choćby z Rzeczypospolitej część tylko miała pozostać, zlana z Saksonią, stanowiła jeszcze wielkie państwo; odzyskać więc koronę należało bądź co bądź, aby ją z elekcyjnej na dziedziczną przerobić.

August przyznał z Flemmingiem, że pokój i układy, i zrzeczenie się korony nic nie były warte. Należało zebrać tylko ludzi i iść do Polski. Flemming i jego przyjaciele, dawni zwolennicy Sasa, mieli mu dopomóc; nie wątpiono bynajmniej o szczęśliwym wyprawę powodzeniu. Z Polski przybyli w zaprosiny Denhoff, marszałek konfederacji sandomierskiej, i Szaniawski, biskup kujawski. Z siostrzeńcem swym, Fryderykiem, August miał czas w Dreźnie umówić się już przeciwko Szwedowi. Brandeburski Fryderyk nie był też przeciwko skojarzeniu się z saskim, za czym do niego król umyślnie jeździł i tak stanęła liga, którą później trzema spojonymi rękami trzech Fryderyków upamiętniły medale.

Mało miał czasu August zabawiać się w miłostki, gdy szło o odzyskanie korony. Zaledwie, przybywszy do Drezn, otrzymał wiadomość o bitwie pod Połtawą, którą pierwszy drukiem ogłosić kazał, pobiegł do sprzymierzeńca pruskiego, aby z nim pomówić o warunkach. W czasie krótkiego pobytu w Dreźnie Cosel zaledwie przywitał i pożegnał. Tu stały rzeczy gorzej niż kiedy. Flemming czuł się silnym wypadkami. Hrabina posyłała doń kilkakrotnie z żadaniami różnymi w czasie niebytności króla. Odpowiedzieć kazał, że nie myśli ich spełniać i że

ma co ważniejsze do czynienia. List ostry od Cosel zdarł w oczach posłańca i podeptał, rozkazując powiedzieć tej, co go pisała, że się jej skarg i gróźb nie lęka. Były to bolesne wyzwania, których Anna ścierpieć nie mogła. Drugiego czy trzeciego dnia po tym, gdy Flemming, konno jadąc, spotkał ją przy zamkowej ulicy, a konia wstrzymać był zmuszony, Cosel wychyliła się z powozu i rada ze zřeczności, pięścią mu groząc zawołała:

– Powinieneś pan pamiętać, generale, kim ty jesteś, a kim ja! Waćpan jesteś sługą króla, który spełniasz rozkazy, jam tu panią! Chcesz waćpan wojny ze mną, przyrzekam, że ją mieć będziesz!

Flemming rozśmiał się, z pozorną grzecznością rękę do kapelusza przykładając.

– Nie toczę wojen z kobietami – zawołał – a czynię to, co mi dobro mojego pana nakazuje! Ani się myślę kłaniać, ani kobiecym ulegać kaprysom!

Z okna karety posypały się wyrazy niepohamowanego gniewu. Flemming, nie zważając na nie, konia spiał i ani patrząc na hrabinę, pojechał dalej. Przy czym wojskowi, będący przy Flemmingu, znieważyli ludzi hrabiny. Zaklika się już brał do szabli i byłoby przyszło może do krwi rozlewu, gdyby rozumniejszy ktoś ze dworu króla nie wpadł między nich i Flemminga służby nie rozpędził.

Rozpoczęła się tedy wojna na dobre. Cosel, płacząc z gniewu, czekała na króla.

Nadjechał August rano bardzo, a na drodze znać już wiedział, co zaszło, bo gdy Flemming przyszedł doń z raportami, rzekł mu:

– Źe też wy, stary żołnierz i dyplomata, z jedną kobietą w zgodzie żyć nie umiecie.

– Przepraszam, Najjaśniejszy Panie! – zawołał generał. – Żyję z wielu w najlepszej, ale z tymi, co się za boginie i królowe mają, nie umiem w istocie. Ta kobieta rujnuje kraj! Ma fantazje dziwaczne i żadnej zasługi uszanować nie umie!

– Ale tę kobietę ja kocham i wymagam dla niej poszanowania.

– Nikt jej nie uchybiał, dopóki sama nie rozpoczęła obelżywie ze wszystkimi się obcho-dzić.

Król zmilczał. Flemming rzekł w poufalszym tonie:

– Zje Saksonię i Polskę i jeszcze głodną będzie; dziki umysł, nienasycona pycha i chciwość. Jeżeli Wasza Królewska Mość słabym dla niej jesteś, my, co tron otaczamy, mamy obowiązek wyzwolić go z tych więzów.

August zagadał o czym innym. Po krótkiej naradzie poszedł do Cosel. Ta go oczekiwała, ale z wybuchem gniewu i wyrzutami, czego August nie lubił.

W progu już z płaczem rzuciła się ku niemu.

– Królu mój, Panie, ratuj! Flemming się obchodzi ze mną, jakbym była najostatniejszą z kobiet! Lży mnie publicznie, listy, które piszę, drze i rzuca pod nogi; oświadcza się, że mnie stąd wygna; wystawia na pośmiewisko! Wybieraj, Królu, albo ja lub on ustąpić musimy!

August ze śmiechem ją uściskał.

– Uspokój się, hrabino, za żywo rzeczy bierzesz. Flemming mi w tej chwili potrzebny, muszę go oszczędzać.

– A ja? – zapytała Cosel.

– A! Wiesz przecie, że bez ciebie nie ma dla mnie życia, ale jeśli mnie kochasz, coś przecie mi powinnaś poświęcić.

– Wszystko, oprócz czci mej! – zawołała Cosel.

– Z Flemmingiem trzeba się zgodzić.

– Nigdy!

– On cię przeprosi.

– Ja nie żądam tego, chcę być wolną od widzenia tego człowieka!

August wziął ją za rękę.

– Moja kochana Cosel – odezwał się zimno – dziś chcesz być wolną od Flemminga, jutro toż samo będzie z Fürstenbergiem, a gdy ich wypędzę, z Pflugiem i z Vitzthumem; z nikim żyć nie umiesz.

– Bo nikt prócz ciebie, Najjaśniejszy Panie, nie sprzyja mi na dworze; wszyscy są nieprzyjaciółmi moimi.

Zaczęła płakać. Król zadzwonił i mimo protestów gospodyni rozkazał zawołać generała Flemminga. Dobra chwila upłynęła w milczeniu i dąsach. Cosel chodziła gniewna po sali, nim generał nadszedł. Wchodząc wcale się nie skłonił gospodyni, zwrócił się do króla.

Cosel, tyłem do niego stojąc, cała w płomieniach, ledwie się pohamować mogła.

– Mój Flemming, jak mnie kochasz – odezwał się August – wiesz, jak ja w moim gospodarstwie nie cierpię waśni; przebłagaj piękną hrabinę i podajcie sobie ręce.

– Nigdy w świecie! – przerwała Cosel. – Nie podam ręki nikczemnemu dworakowi, który się ważył uchybić bezbronnej kobiecie.

– Nie lękaj się, pani – zawołał Flemming – ja też żołnierskiej dłoni nie myślę jej narzucać! Kłamać nie umiem, a przeproszać nie będę!

Król wstał gniewny.

– Generale, uczynisz to dla mnie.

– Ani nawet dla was, Najjaśniejszy Panie. Jeśli ci się podoba, rzucam służbę.

– Waćpan jesteś podły, jesteś nikczemny! – zakrzyzczała, zapominając się, Cosel. – Łaski Najjaśniejszego Pana uzuchwaliły cię, lecz z Drezna niedaleko, chwała Bogu, do Königsteinu!

– Cosel, na miłość Boga! – przerwał August.

– Najjaśniejszy Panie, pozwól mi także być szczerą, i ja kłamać nie umiem, powiem mu w oczy, co o nim trzymam. Zapowiedział mi wojnę, ja mu ją wypowiadam!

– Z panią hrabiną wojować nie myślę – rzekł Flemming – mam coś lepszego do czynienia. Miłość dla króla zmusza mnie w istocie do wypowiedzenia jej wojny, bo pani kraj niszczy, i byłoby z czego wojsko wystawić, koronę odzyskać, gdyby waćpani zbyt króci.

– Flemming, zapominasz się! – zawołał August, który całej tej wyrazów szermierki słuchał bez wstrętu, pomimo że ją niby zahamować usiłował.

– Idź waćpan precz z mojego domu! – krzyknęła Cosel tupiąc nogą.

– Dom to nie jest wasz i nie ma tu ani jednej rzeczy, która by do niej należała. Jest to pałac króla, pana mego, a ja bez jego rozkazu nie wyjdę – odparł Flemming.

Cosel zaczęła płakać szarpiąc suknię na sobie.

– Widzisz, Królu, słyszysz, na to ja zesłam, że mnie w oczach twych lada służalec, najemnik bezcześci, a ty stoisz niemy, obojętny, nie umiając ani mnie obronić, ni mnie pomścić.

Załamano ręce.

Król łagodnie i spokojnie podstąpił do Flemminga.

– Panie generale – rzekł – ja cię proszę o zgodę, to niezdrowe. Oboje mi jesteście drodzy, potrzebni. Mamże ja cierpieć za waszą popędlliwość?

– Wasza Królewska Mość nie potrzebujesz ani słuchać, ani patrzeć na to. Zostawić możesz sprawę naszą nam samym, los ją rozstrzygnie wkrótce.

Wyczerpawszy wszystko, co tylko mogła powiedzieć, Cosel rzuciła się na kanapę z oznakami gniewu. Król, nie widząc środka ani uspokojenia rozgniewanego także i trzęsącego się Flemminga, ani złagodzenia rozjątrzenia hrabiny, podał rękę generałowi i odprowadził go do drzwi.

Nim wyszedł Flemming, okiem pełnym zemsty i grózb rzucił na hrabinę, której wejrzenie odpowiedziało mu takimiż obietnicami. August zaczął się przechadzać po sali zamyślony, znać było jednak, że zajęty może sprawami ważniejszymi, całej tej kłótni nie brał tak bardzo do serca.

Cosel i ku niemu wejrzała okiem, w którym wyrzuty gorzały.

– A! Królu – rzekła – na tom ja zeszła, na to, aby mnie twoja służba w oczach twych obrzucała takimi wyrazy! To mój los! Flemming poszedł szydzić z tej, którą wybrałeś, której mówisz, że kochasz. I ja słabszą jestem od niego.

– Kochana hrabino – odpowiedział król spokojnie – wszystko, co mówisz, dowodzi tylko, że mojego nie znasz położenia. Flemming w tej chwili jest jak prawa ręka potrzebny w Polsce; zrazić jego dla siebie – jest wyrzec się korony. Tego po mnie wymagać nie możesz i tego ja jako król nie uczynię. Przekonałaś się, że nie odmawiam ci ani najwyższej czci, ani miłości, ani ofiar, ale wszystko ma granice. Wprzód, nim kochankiem zostałem Cosel, byłem królem.

Namarszczona, straszna, wściekła Cosel rzuciła się do Augusta.

– Kochankiem! Mam przecie na piśmie przyrzeczenie twe! Ja nie jestem kochanką, ja drugą żoną twą jestem!

Skrzywił się August.

– Tym więcej interesów moich, korony mej i czci strzec pani powinnaś.

Gniew się we łzach znowu rozplątał. August kilka razy spojrzał na zegarek.

– Nie jestem panem czasu mego – rzekł – tysiące spraw na mojej głowie. Muszę wkrótce jechać do Polski. Kochana hrabino, uspokój się, Flemming jest porywczy, ale mnie kocha i robi to, co mu każe.

Na tę obietnicę Cosel nic nie odpowiedziała, chmurna, w milczeniu podała dłoń królowi. August wyszedł.

Wkrótce po tej scenie mowa już była o wyjeździe do Polski. Hrabina, która zwykle towarzyszyła wszędzie królowi, tym razem dla słabości udać się z nim w tę podróż nie mogła. Wiedziała dobrze, jakie jej tam groziło niebezpieczeństwo. Król mógł znaleźć w Warszawie księżnę Teschen, chociaż najmniej powrotu do dawnych stosunków lękać się było można, bo w życiu Augusta taka zgoda była bezprzykładną, i to ją drażniło. Więcej trwożyła się o kobiety inne, które nieprzyjaciele jej mogli królowi stręczyć, aby go od niej odciągnąć.

Król, jakby dla oszczędzenia walk i sporów hrabinie, brał z sobą do Warszawy Flemminga. Kto wie, czyby nie wołała mieć go tu w Dreźnie prześladowcą niż przy boku króla nieustannym podszczuwaczem i wrogiem, nie było jednak środka zapobieżenia temu.

Król dosyć czułym był do ostatniej chwili rozstania, a zapewniał, że najsurowsze wyda rozkazy Fürstenbergowi, aby się dla niej jak najwzględniej zachowywał. Dla złagodzenia gniewu przypominał jej z uśmiechem, że przecież mogła się uważać za zwycięską, gdy przeciw woli i stręczeniu Flemminga, chcącego narzucić mu Wackerbartha, na jej prośbę baronowi Löwendahl, krewnemu Cosel przez żonę, dał wielkie marszałkostwo dworu po Pflugu. To właśnie obudzało postrach i gniew Flemminga.

Cała klika nieprzyjazna Cosel na wieść, iż Flemming towarzyszy królowi, że hrabina zostaje, przyklasnęła z radością czując, że się rzeczy zmienić muszą, że wpływ Flemminga i jego intryga, starania Przebendowskiej muszą kogoś w miejscu Cosel postawić. Upadek jej był już przewidziany.

Baron Löwendahl, który winien był wyniesienie się swe kuzynce, wcale nie obiecywał jej zawdzięczyć za to. Szło mu o utrzymanie się na dworze i w łaskach. Czuł, że Cosel traciła wpływ, rychło więc chwycił się strony tych, którzy go popierać mogli. Zguba hrabiny była już poprzysiężoną, gdy ona jeszcze ani się jej domyślała, ani chciała przypuścić, aby król po najuroczystszych przyrzeczeniach, po tylu latach pożycia mógł ją tak zdradzić, jak inne.

Gdy przyjazny jej baron Haxthausen, jedyny człowiek, który jej dobrze życzył i w przyjaźni został wiernym, stawiał jej przykłady Aurory Königsmarck i księżny Teschen, których dzieci także zostały uznane, co nie przeszkodziło rozstać się z matkami, Cosel kazała mu milczeć.

– Teschen i Königsmarck były kochankami króla, ja mam od niego przyrzeczenie ożenienia, ja jestem żoną jego!

Jeszcze przed odjazdem Augusta do Warszawy hrabina dostrzec mogła, jak liczny niegdyś dwór jej, przyjaciele, goście opuszczali pałac czterech pór roku. Pustki w nim były teraz. Wymawiano się różnie, nikt nie śmiał jawnie zrywać, usuwali się wszyscy.

Jedna zjadliwa Glasenapp, która stąd wynosiła plotki, powtarzała wyraz każdy, umiała ze słowa wysnuć to, czego w nim nie było, gościła tu najczęściej. Znając jej charakter, ostrzegała hrabinę.

– Znam ją – odpowiadała – wiem, jaką jest, ale cóż mi ona szkodzić może? Co wyszpieguje u mnie? Moje postępowanie nie lęka się ani szpiegów, ani potwarzy. Nie taję się z niczym, nie potrzebuję ukrywać.

Nigdy może słodszy, miłszy, czulszy nie był August jak przy pożegnaniu z hrabiną. Cały dzień spędzili razem. Cosel już wyjeżdżać nie mogła ani mu towarzyszyć, osłabienie czyniło ją smutną, gniewy i porywczosć ustąpiły. Była więcej kobietą słabą, pragnącą wspomnieniami serce do litości pobudzić.

Z Augustem wszakże najmylniejszy to był rachunek. Urokiem dlań były: żywość, wesołość, śmiałość, śmiech, zazdrość, zuchwalstwo – wszystko, co na zmysły działało. Uczucie dlań było rzeczą nieznaną; odgrywał je czasami, nie miał go nigdy. Po najczulszych z paniami rozmowach, których Vitzthum nieraz bywał świadkiem, za drzwiami śmiał się z nim ze swych frazesów i galanterii w najcyniczniejszy sposób.

Rozczulić go chcieć było najpewniejszym sposobem odstręczenia i znudzenia. Cosel czuła w sercu nieopisaną trwogę, chwytła za ręce króla, całowała je, oblewała łzami prosząc, aby się nie oddalał, aby o niej nie zapominał. August odpowiadał wyszukanymi wyrazami, ale z tych wonnych oświadczeń wiał chłód trupi.

Był to koniec długiego, kilkoletniego szału, z którego ostygli oboje. Lecząc w kobiecie zostało przywiązanie, wdzięczność, pamięć, czułość, w królu panowało znużenie. Zamiast się litować jej smutkowi, rad był uciec od niego, łzy go niecierpliwiły, nudziła boleść, wymówki męczyły.

Cosel nie umiała już być wesołą i trzpiotową, jak niegdyś, gdy z nim razem dosiadała konia, dojeżdżała jelenia, bawiła się dobijając kordelasem dzikiego zwierza lub strzelała do tarczy o lepszą.

Wdzięk jej nie zmieniał się wcale, lecz w oczach króla spowszedniała. Cosel miała ten rodzaj najrzadszej piękności, która się nawet czasowi opiera, której ból, nie może zetrzeć, wiek nie odejmuje blasku, łzy nie gaszą; lecz dziś ani czarodziejskie oczów wejrzenie, ani uśmiech, co do stóp jej ciągnął, nie miały władzy nad Augustem. Oczy te straciły moc swoją, uśmiech – ponętę; kochanka stała się pospolitą kobietą, bo urok nowości i niespodzianki ją opuścił.

Zbyt też zajmowały Augusta układy polityczne, odzyskanie korony, jednanie sobie zwolenników, zapewnienie sprzymierzeńców, ubezpieczenie na tronie, ażeby mógł myśleć w chwilach spoczynku o czym innym jak o rozrywce.

Przyszła godzina rozstania: Cosel płakała, król pocieszał, zapewniał ją o wydanych Fürstenbergowi rozkazach, zaprzysiągł wierność niezłomną i zniknął.

Nigdy hrabina nie uczuła tak mocno samotności, jaka ją otoczyła, nigdy się też ona nie objawiła tak zastraszającą, tak znaczenia pełną, jak teraz. Po wyjeździe króla pałac, około którego stały tłumy, przedpokoje, w których o miejsce było trudno, wieczory, na które się cisnęli wszyscy i mieli za szczęście być przyjętymi – wszystko to stało pustką. Cosel nie miała nikogo.

W dzień przylatywała roztrzępana, złośliwa i gadatliwa Glasenapp, na obiad przychodził poważny Haxthausen. Wśród dnia u progu zjawiało się kilku biedaków z prośbami, którzy zasłyszeli o potęgze hrabiny, a nie wiedzieli o jej zachwianiu.

Nic nie brakło na pozór, przecież już tu czuć było ruinę. Pierwszych dni każdy posłaniec przynosił listy królewskie i każdy ją wiozł do niego. Ani się domyślała Cosel, że nim wyszły,

rozpieczętowywano je w kancelarii księcia Fürstenberga i wysyłano pod kopertą Flemminga, aby w nich wybór mógł uczynić. Król nazbyt był zajęty, żeby się o nie dopytywał.

Z cizby przyjaciół został jeden może najwierniejszym, a ten nosił suknię i imię sługi. Był nim Rajmund Zaklika, który ze swą panią przeżył i przebolewał wszystkie jej losy, któremu nie raz ręka drżała, chcąc chwycić za gardło zuchwalca, co śmiał hrabinę obrażać. Trzeba było tylko skinienia jej, by z rąk tych olbrzyma wyszedł nieżywym ten, kogo by one ujęły.

Kilka razy, spojrzawszy nań w chwilach stanowczych, Cosel znajdowała go tak strasznym, tak wzburzonym, iż go powstrzymywać musiała.

Zaklika nie miał prawa ani się nawet odezwać z tym, co czuł, lecz Cosel go rozumiała i wiedziała bardzo dobrze, iż nań rachować mogła. Gdyby mu kazała zabić Flemminga, byłby z najzimniejszą krwią dopełnił rozkazu i bez jęknięcia poszedł na szubienicę. W jego oczach była ona zawsze tą samą świetną gwiazdą, którą raz pierwszy zobaczył błyszczącą z między gałęzi starych lip w Laubegaście. Owszem, stawała się dlań piękniejszą coraz i całym szczęściem jego było, że na nią kilka razy na dzień mógł popatrzeć.

Tak smutno i milcząco było w Dreźnie, gdy król pędził wesół i najlepszych pełen nadziei do Warszawy. Flemming był z nim, a pani podskarbina Przebendowska go poprzedziła.

Nie tajono się z tym wcale, iż w Warszawie miano dla króla wyszukać nowej pani. Nie wymagano od niej wiele: ani tak niebezpiecznego wdzięku, jaki miała Cosel, bo ten groził zbyt długim i stałym przywiązaniem, ani wielkiego dowcipu, bo królowi dosyć było wesołości i trzpiotostwa, co by go zabawić mogło, ani serca, bo król tylko przedwstępne sceny odegrywał z tego tonu. Dosyć było trochę młodości, śmiałości wiele, zalotności, która by się narzuciła, imienia i wychowania, aby one przynajmniej z Cosel ważyć się mogły.

Z tymi instrukcjami wyjechała pani podskarbina do Polski, a w Warszawie nie brakło jej w czym wybierać. Serdeczna przyjaźń łączyła kuzynkę Flemminga z marszałkową Bielińską, której dwie córki, wielka podkomorzyna litewska, Maria Denhoffowa i hetmanowa Pocięjowa, miały dosyć wdzięku i dosyć lekkości, aby je w liczbie kandydatek śmiało można pomieścić.

Pierwszego zaraz dnia pojechała pani podskarbina do przyjaciółki. Bielińska przyjęła ją z czułością wielką. Znano jej wpływ na Flemminga, a jego władzę nad królem; podskarbinej służyło wszystko, co się starało o łaski pana.

Do narady poufnej nie mogła użyć nikogo, co by ją lepiej zrozumiał i chciał jej usłużyć, nad wielką marszałkową.

– Serce moje – rzekła – przybyłam z wielką kłopotami na głowie, sądzę, że mi w nich będziesz pomocą.

– Podziękuję ci z tobą chętnie – odpowiedziała marszałkowa.

– Z królem mamy biedę – szepnęła Przebendowska – zakochał się i dał opanować kobiecie, która już od lat kilku nim włada.

– Komuż to mówisz? Znam tę Cosel! – przerwała Bielińska. – A czemuż się król Teschen nie trzymał?

– Dlatego, że on żadnej długo nie może być wiernym. Cosel musimy się pozbyć, a w jej miejsce dać mu inną. Król jest znudzony.

Marszałkowa zamyśliła się mocno.

– Znaleźć łatwo – odpowiedziała – lecz jakże ostrożnymi być należy, aby w nowe nie wpadł więzy.

Pani Przebendowska została u przyjaciółki na obiedzie. Obie córki marszałkowej nań przybyły, obiedwie były młode i ładne. Pocięjowa, mała, zwinna, słabiutka się wydawała, ale z oczów jej ogień tryskał, z ust dobywały się wybuchy śmiechu. Denhoffowa, niewielkiego wzrostu, zręczna, udawała melancholiczną, chociaż podszyta była trzpiotem, i ta powaga przybrana źle pokrywała charakter płochy, żądzę życia i używania niezmierną.

O obu tych paniach już naówczas szeptano sobie na ucho historie, które tylko za czasów Augusta w Polsce, pod wrażeniem przykładów, jakie miano przed oczyma, prawdopodobnymi się stawały. Z oczów Denhoffowej patrzył dowcip i złośliwość, ale przysłonięte skromnością tak przesadzoną, iż się podejrzaną stawała.

Pani Przebendowska mówiła o rzeczach obojętnych, nie spuszczać z oka obu pięknych sąsiadek. Ciekawie dopytywano o króla. Pani Pocijowa przypominała sobie jakiegoś hrabiego Friesena. Mówiono coś i o Cosel, ale po cichu. Po obiedzie młode panie wyrwały się z młodzieżą na konną przejażdżkę, gdyż obiedwie namiętnie lubiły hasać i dokazywać na koniach; panie starsze zostały same. Przebendowskiej nietajnym był zły stan interesów marszałkowej. Toteż zaraz nad nim utyskiwać zaczęła. Wzdychały obie. Marszałkowa zbliżyła się, poufnie biorąc za rękę przyjaciółkę.

– Proszę cię, widziałas córki moje? Marynia wcale jest świeża i ładna, serce ma dobre... potulna, łatwa... Jak ci się z twarzy podoba?

– Bardzo wdzięczny ma buziaczek – rzekła Przebendowska.

– Hetmanowa jej nie ustąpi, ale to żywe srebro! Jak ją widzisz drobną, słabiuchną, na pozór, to kozak prawdziwy!

Podskarbina myślała coś, gdy marszałkowa zniżając głos dodała:

– Przecieżemy przyjaciółkami od dzieciństwa, moja najdroższa! – rzekła z wynurzeniem.

– Jeśli już ktoś ma być tak szczęśliwy, że króla mieć będzie kochankiem, czemuż by mu choć nie pokazać Marysi?

– Nie sądziłam, ażebyś tego sobie życzyła.

– Dlaczego? Denhoff smutny małżonek i niemłody, jest z nim najnieszczęśliwszą! Jeśli króla rywalem mieć nie zechce, Marynia się rozwiedzie.

– Ale czy ona zechce?

– Ja ją skłonię! Ja ją zmuszę! – odezwała się troskliwa matka. – Dla nas byłoby to prawdziwym szczęściem. Interesa nasze w najgorszym stanie. Uchowaj Boże co na mojego męża, runie wszystko!

Pani Przebendowska ani obiecywała, ani odmawiała.

– Obaczmy – dodała – obaczmy. Nie trzeba nic mówić Marysi, póki nie zmiarkujemy, czy się królowi podoba. Cosel była porywczą i zazdrosna, po niej potrzeba mu istoty łagodnej, wesołej, potulnej.

– Nie znajdzie nic stosowniejszego nad moją Marynię, ręczę ci!

Po długich szepciach i naradach dwie przyjaciółki rozstały się w jak najlepszej zgodzie, a marszałkowa odprowadziła podskarbinę aż do powozu.

W kilka dni potem król i Flemming nadjechali. Przebendowska mieszkała w jednym domu z nim, mogli więc poufnie mówić tego wieczora i szepnęła mu o Denhoffowej.

Trochę skrzywił się generał, bo zasłyszał coś o różnych dawniejszych trzpiotostwach, ale czyż to być mogło zawadą?

– Królowi – rzekł – dosyć pokazać się umiejętnie, dość trochę wyzwać go zalotnie. Znudzony jest; weźmie go, która zechce. Żeby więc inna nie wzięła, trzeba mu tę nastroczyć.

Przebendowska opisała charakter i powierzchowność swej protegowanej.

– Ale daż się ona skłonić? – spytał Flemming.

– Gdyby to mogło być wątpliwym, mam matkę jako sprzymierzeńca – odpowiedziała kuzynka.

Nazajutrz generał chciał poznać sam panią Denhoff, nimby się coś postanowiło. Wieczorem zawiozła go siostra do marszałkowej. Bawiono do późna. Pocijowa i Denhoffowa śpiewały; ostatnia przybierała minki melancholiczne i smętne, potrzebującej pocieszenia nieszczęśliwej istoty. Flemmingowi się to nie podobało, bo król w tym się nie kochał. Lecz po kilku dniach poszukiwań wrócić musiano do Denhoffowej, znajdując ją mniej niebezpieczną niż inne.

Nauczony doświadczeniem, Flemming lękał się najwięcej ambicji i chęci panowania. Denhoffowa płochą była, zalotną, lecz ani zazdrosną, ani marzącą o władzy; lubiła żyć.

Postanowiono próbę.

Flemming wszakże musiał się wprzód rozmówić z Vitzthumem. Uchodził on za przyjaciela Cosel, chociaż już staraniem żony znacznie był dla niej ochłodł. Flemming miał przewagę wielką w sprawach kraju, ale tam, gdzie szło o kobiety i rozrywki, Vitzthum przodował, król bez niego nie robił nic. Byli z sobą poufali; bez pomocy jego obejść się nie było można.

Generał przystąpił wprost do rzeczy.

– Cosel nam wszystkim dokuczyła, król nawet jest nią znużony, trzeba mu dać inną.

– Jak się wam podoba – odezwał się Vitzthum z ukłonem – wiecie, że ja się do tego nie mieszam ani mu narzucam jego ulubienic, ani go od nich odstręcam. Nie lubię palca kłaść między drzwi, dajcie mi pokój!

– A! To być nie może, wy musicie być z nami! – zawołał Flemming.

Nadchodząca Przebendowska usilnie też nalegać zaczęła na Vitzthuma. Nic nie pomogło.

– To nie moja rola – odparł stanowczo – nie przeszkadzam, ale pomagać nie będę, mówię to stanowczo. Nie mogę wyjść z mojego obyczaju, nie mieszałem się nigdy do intryg, a dziś do nich jestem za stary.

– Jesteś przyjacielem Cosel – dodała Przebendowska.

– Ani przyjacielem jej, ani wrogiem – śmiejąc się rzekł Vitzthum – jestem neutralnym i chcę nim pozostać.

Próżno Flemming zabiegał, pochlebiał, ośmielał: Vitzthum pozostał niewzruszonym i odeszedł nie pokonanym.

Podskarbina znajdowała, że się i bez niego obejść potrafi.

Nazajutrz u dworu zbliżyła się do króla, który ją dosyć lubił.

Miała twarz wesołą i figlarną.

– Najjaśniejszy Panie, kolej podobno na Polkę.

– Jak to, kochana podskarbino?

– Po Lubomirskiej Cosel... po Cosel trzeba wybrać kogoś w Warszawie.

– Ale ja hrabinie Annie chcę zostać wiernym.

– W Dreźnie – odpowiedziała podskarbina – ale w Warszawie i gdy jej nie ma!

Król się uśmiechnął.

– Czyż się też Wasza Królewska Mość w teatrze choć przypatrzył naszym paniom! – spytała.

– Niedobrze.

– Więc ja się na jedną ośmielę zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości. Ładniejszej, milszej, lepszej nad nią doprawdy tu nie ma: i śliczny buziaczek, i młodziuchne to, i rączki ma bardzo ładne.

– Któż to taki? – zapytał król.

– Denhoffowa, z domu Bielińska – szepnęła podskarbina – siostra hetmanowej Pocięjowej.

– Nie przypominam sobie, bym ją widział – rzekł August – lecz jako wielbiciel wdzięków niewieścich przyrzekam pani, iż na pierwszych asambalach postaram się o poznanie tak zachwycającej, jak mi pani malujesz, istoty.

– Zasługuje na to, przekonasz się Wasza Królewska Mość – dodała, odchodząc, pani podskarbina, i wracając prędko. – Gdybyś Wasza Królewska Mość zaszczycił mnie jutro bytnością swoją na skromnej wieczerzy, może bym mu ją potrafiła zaprezentować.

Król August spojrzał, a zdaje się, że podskarbina nie dostrzegła wzroku, jakim ją zmierzył. Byłaby się może zarumieniła, tak widocznie szyderskie było to wejrzenie, powiadające jej, że wie już wszystko i że daleko otwarciej mówić by z nim można. Uśmiech przebiegł po ustach i znikł.

Tegoż samego dnia marszałkowa Bielińska posłała po córkę i zamknęła się z nią i z podskarbiną na godzin kilka. Gdy się rozchodziły, Denhoffowa zmieszana była niezmiernie, ale szczęśliwa razem i trwożna. Zapominała się ciągle, szła, wracała, szeptała coś matce, nie trafiła zrazu do powozu. Widocznie straciła głowę. Matka musiała ją upominać, aby starała się być panią siebie. Maleńka osóbką, nawykła do poufalszego towarzystwa, w którym królowała, zawsze pewną będąc, iż co uczyni, podobać się musi, lękała się tych wielkich przyborców do nowego szczęścia, które się jej zdawało niepewnym. Nie sprzeciwiała się wcale woli matki, lecz tyle z tym było zachodu! A trzpiot ów tak nie lubił wielkich zachodów!

Przebendowska i Flemming, jako brat i siostra, mieli jedno gospodarstwo. Generał w Polsce niemal wspanialej jeszcze występował niż w Dreźnie; miał z sobą cały dwór, służbę, a potrzebując nieraz ugościć króla, wiedział, że dlań wystąpić świetnie było koniecznym.

Skromna wieczerza stała się balem bardzo wytwornym. Król, wchodząc, znalazł już piękne kobiet grono, wśród którego wystrojona i wylękła, zmieszana, onieśmielona, a nawet mniej pięknie niż zwykle wyglądająca, siedziała pani Denhoffowa. Podskarbina tak ułożyła wszystko, że król, zbliżywszy się do niej, rozpoczął rozmowę wesołą, która poszła dosyć źle. Uważano, że król wcale nie okazał, żeby mu się owa piękność podobać miała.

Po wieczerzy zagrała muzyka, zaczęto tańcować. Król wziął ciągle jeszcze nie mogącą przyjść do siebie Denhoffową, która tańczyła niezręcznie, zmyliła się parę razy i zmieszana tym, wydała się niekorzystnie.

Słowem wrażenie, jakie zrobiła, wcale nie odpowiadało temu, co obiecywała Przebendowska.

Wieczorem król powracał do pałacu z Vitzthumem.

– Widziałeś – rzekł do niego – chcą mnie tu zbałamucić, ale dopóki tylko takie, jak Denhoffowa, będą tego próbować, hrabina Cosel nie ma się czego obawiać.

Vitzthum był w dobrym humorze.

– A! Najjaśniejszy Panie – odezwał się – nie idzie tu pewnie o zastąpienie hrabiny Cosel, która może zostać w Dreźnie, a pani Denhoff w Warszawie. Wasza Królewska Mość masz dwa domy i dwa państwa; jedno w Dreźnie, drugie tu. Należałoby i wypada dla kompletu mieć i dwie panie. Polacy, jak słyszę, skarżą się, iż im się krzywda dzieje przez Cosel; chcieliby, abyś Wasza Królewska Mość kogoś też tu sobie upatrzył. Gdyby Polka wyłącznie miała zawładnąć sercem, skarżyliby się Sasi, trzeba więc serce rozdzielić na dwoje i na pół roku kochać w Saksonii, pół w Polsce, aby dwa kraje zadowolić.

Król się śmiał.

– Żartuj sobie – rzekł – dobrze ci, będąc spokojnym, a ja przez każdego posłańca odbieram list z wyrzutami; tu z drugiej strony kuszą mnie, i nie wiem, co z sobą zrobić.

– Niech sobie krzyczą – odparł Vitzthum – a król powinien tylko to robić, co mu się podobą.

Na to nie trzeba było namawiać Augusta. Ze strony marszałkowej, gdy raz odkryła się możliwość ściągnięcia króla, nic nie zostało zaniedbanym. Nazajutrz proszono na wieczerzę króla z małym towarzystwem poufłych. Pani Denhoff z siostrą zabawiały go śpiewem przy klawicymbale i dość szczęśliwie powiodła się scena z *Atysa i Sangardy*.

Denhoffowa ośmieloną była i szła za radą podskarbinej, która zaleciła jej, żeby sama króla wyzwała nieco. Śpiewając swą arię, oczów nie spuszczała z niego, tak że czułe wyrazy pieśni zdawały się ku niemu skierowane. Król lubił być wyzywany, rozczulać się począł, przystąpił i nie skąpił słówek miłych, na które Denhoffowa tylko spojrzeniami omdlewającymi odpowiadała. Usłużna matka, śmielsza siostra mówiły za nią i tłumaczyły, tak że król otoczony nimi zdawał się ze wszystkimi trzema romans rozpoczynać. Wzięto się doń natarczywie. Nie było ceremonii, pani Bielińska naprowadzała rozmowę na wesołe przedmioty i królowi dom się podobał. Zaczawszy bywać, powoli nawykł do oczów pani Denhoff, które od jego wejrzeń

nie stroniły, i zakochał się o tyle, o ile August mógł się kochać. Pani Przebendowska, cierpiąca zawsze, mogła już, dokonawszy tego wielkiego dzieła, położyć się w łóżko i spoczywać.

Król odbierał ciągle listy od Cosel, której umyślnie donoszono o wszystkim. Listy pełne goryczy i wymówek, na które odpowiadał zrazu pilnie, później coraz rzadziej grzecznościami i zapewnieniami.

Z nich już mogła się ona przekonać, że na serce króla rachować było złudzeniem. Liczyła na jego przyrzeczenia, zobowiązania, na słowo. I ta rachuba zawieść ją miała.

W rozmowach z Vitzthumem król okazywał zniecierpliwienie, przebijała się w nim chęć uwolnienia z więzów hrabiny Cosel, której się obawiał. Flemming przeczuł to.

Jednego wieczora przy winie, gdy król począł wzdychać, rozśmiał się:

– Miałbym ochotę – odezwał się – przypomnieć Najjaśniejszemu Panu stare dzieje, służą one czasem na pożytek nowym.

– Na przykład? – spytał August.

– Onego czasu – począł Flemming – elektor saski, nim jeszcze poznał piękną Aurorę, pokochał córkę Schöninga, wspaniałą Rechenberg. Dokuczała mu ona wkrótce, trzeba się pozbyć jej było. Naówczas elektor saski prosił o przyjacielską usługę kanclerza Beichlinga. Beichling rozpoczął romans z Rechenbergową i króla ze szpon puściła.

– Chciałbyś tego samego środka użyć z hrabiną Cosel? – spytał król. – Wątpię, żeby się powiodł.

– Dlaczegoż by choć nie spróbować?

– Kogóż chcesz nią uszczęśliwić? – dodał August.

– Wybór zostawiłbym przenikliwości Waszej Królewskiej Mości – rzekł Flemming.

Przechadzając się po pokoju, milczał król i uśmiechał się szydersko.

– Wybór to trudny, bo Cosel mało ma znajomych, co by się nawet zbliżyć do niej ośmielił. Trzeba by użyć barona Löwendahla, który jako krewny i protegowany ma łatwy przystęp. Gdybym mógł jej zdradę zarzucić, miałbym wyborowy pozór do zerwania.

– Spróbuję użyć Löwendahla – szepnął generał. – Wprawdzie zawdzięcza jej wiele, lecz więcej jeszcze winien królowi, a idzie mu o to, żeby upadek Cosel jego nie pociągnął za sobą.

– Zrobi, co mu się poleci.

Wskutek tego pięknego planu poszedł list do Drezna, polecający Löwendahlowi, aby usiłował hrabinę Cosel skompromitować. Dawano mu do zrozumienia, iż w ten sposób przysługę uczyni osobie, która się za to potrafi wywdzięczyć. Takich to środków zacni ludzie owej epoki nie wahali się używać, gdy im szło o dogodzenie fantazjom, o spełnienie planów, o wyniesienie się i zemstę.

TOM DRUGI

I

Gdy król w Warszawie z nudów i za rozkazem pani Przebendowskiej składał hołdy Denhoffowej, odegrywającej komedię pod dyktowaniem daleko od niej zręczniejszej matki. Cosel jak osłupiała, zaledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała co dzień doniesień, którymi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkim zawiadomioną. A że król obawiał się zazdrości jej i gwałtowności charakteru, otoczono ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegać mieli.

August rad się był jej pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Cosel, ale nadto był słabym, bałamutnym, żeby się osnutej oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim, co chciały. Bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych – łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między tamtymi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tej – żadnej, ale Cosel groziła odebraniem życia królowi, potem sobie. Pogrożka jej nie była czczym słowem, można się jej było obawiać. Nakazano więc w Dreźnie mieć oko na Cosel i wszelkie jej kroki, lękano się, ażeby nie chciała przybyć do Warszawy. Flemming znał słabość króla, bo sam z niej korzystał, dysgracjonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jej piękność, wyższość, władza nad królem wszystko zniszczyć mogły i obalić. Wielkiemu marszałkowi Löwendahlowi szepnięto, by szczęścia próbował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, była jeszcze młodą i piękną. Szło zresztą o to, aby jej zarzucić niewiarę.

Jednego poranku Haxthausen, przyjaciel hrabiny, zastał ją we łzach i płomieniach. Podbiegła ku niemu, łamiąc ręce, oburzona.

– Uwierzyłżebyś pan – zawołała – ten niegodziwiec, ten nikczemny, który mi wszystko jest winien, Löwendahl, w tej chwili śmiał mi swą miłość oświadczyć. Złajałam go jak podłego człowieka, zagroziłam mu, że do króla napiszę, i ma szczęście, że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić, drżała z oburzenia i gniewu, a łzy się jej z oczów toczyły.

– A! Przed kilku miesiącami – rzekła – nie śmiałby był uczynić mi tej obelgi.

Krok ten Löwendahla był jakby znakiem dla hrabiny, że jej godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowej, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś, głośnych przygód po świecie.

– Królewskie listy – odezwiała się do Haxthausena – znacznie zmienione. Słyszałeś co pan o Denhoffowej?

– Mówią o tym – rzekł Haxthausen.

– W jakież błoto go wciągnięto! – zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming, który całą sprawą kierował, powrócił do Drezna. Król mu polecił pozbyć się z wolna hrabiny, ale postępować z jak największą względem niej delikatnością. Przybycie jego zrazu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach, przekonawszy się, iż przyjechał w usposobieniu wcale odmiennym i unikał wszelkiego powodu do zająć nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku król chciał mieć wolnym, szło o to, ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można, dobrowolnie. Posłano z tym łagodnego Haxthausena, który smutne i ciężkie swe poselstwo sprawił z jak największym poszanowaniem i względami dla hrabiny. Z wielkim podziwieniem jego, Cosel odezwała się.

– Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym wyżyć w nim mogła: wyniosę się chętnie.

W tej chwili wydano rozkazy, spakowano rzeczy, najęto dom przy Moritzstrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabiny z tego raju napęliła nieprzyjaciółki jej radością. Był to znak nieochybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swymi poufałymi powtarzała, że jest żoną i że król opuścić jej nie może. Jeszcze w roku 1705 August, w chwili gdy był rozkochanym w niej, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz. Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała.

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dokoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstymi krzewy zarosła wyspa jak klomb zielony, jak kosz pełen kwiatów przeglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz i pusto było dokoła.

Król, coraz bardziej wymagający, napisał do Flemminga, iż chce swej Denhoffowej Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel, by się z nią spotkała, ani dla niej by na porywczosć hrabiny narażała się. Trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Fleming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście. Zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

– Zmiłuj się pan – rzekł grzecznie – pomóż mi. Król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić, dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mu ciągle, że życia nie będzie pewna, póki nieprzyjaciółkę tu czuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król rad by ją widzieć gdzie indziej. Jak wiecie, nie lubi on spotkać się z tymi, których dotknął lub obraził. Wiem, że Cosel ma mnie za wroga, nie byłem nim nigdy – dodał Fleming – rozgniewała mnie chwilowo, dziś to zapomniane. W położeniu, w jakim się ona znajduje, uchybić bym jej nie chciał ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym nie potrzebował słać do niej rozkazu, co by jej większą uczyniło przykrość.

Haxthausen, wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w dość dobrym humorze. Haxthausen zaczął od żarcików.

– Wiesz pani – rzekł – iż się nie mogę wydziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego, co o niej wiemy, zdaje się, iż ta fantazja prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciewa się spleśniałego, razowego, ale po kilku kąskach do pierwszego się powraca. Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się, że przychodzi z jakimś poleceniem.

– Czy znowu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwiniętą w tę bawelnę pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak, że tak było w istocie.

– A więc mów pan.

– Byłem u Flemminga – rzekł – pokazał mi rozkaz króla, który chce, byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniosła się do Pillnitz. Sądzę, że i dla pani samej będzie przyjemniejszym, niż patrzeć...

Łzy stanęły jej w oczach, spuściła oczy.

– A! Tak mi trudno, tak trudno! – zawołała cicho. – Wiem, żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach nie ma zdrady, a tu jej się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba. Jednak nie wiesz pan; ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali, zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcym okiem osłonić, potem otarła je żywo.

– Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyślili go oni?

– Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

– Nie znają mnie – zawołała – drażnią, aż do wściekłości przyprowadzą, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą! Wiedzą oni, do czego ja dojść mogę, gdy raz gniew mną owłada? Myślą, że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka, który sądzi, że mu korona daje prawo uragać się uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

– I to wszystko – dodała – spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z nimi! Prawdziwa godna ulubienica dla króla! Chcieli go więc poniżyć i zbezczęścić, dając mu taką kobietę. O, ci ludzie, ci ludzie!

I znów płakać zaczęła.

– Mogłam się tego spodziewać? Jakże nie miałam wierzyć mu – mówiła łkając – przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce, poświęcał mi, co miał najdroższego, nie wahał się uznawać mnie przed światem. Tyle lat szczęścia, spokoju ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie! Jam go kochała, on mi nic wyrzucić nie może. Byłam mu wierna, jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz z trwogi o niego! Życie, obyczaj – wszystkim zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tylu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia?! A! Ten człowiek nie ma serca! Serca? – poczęła śmiejąc się. – Nigdy go nie miał. Rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tym co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem. Ale któż kiedy pochwali się, że znał tego człowieka? – dodała. – Jak anioł dobry, umie być jak szatan zimnym i bezlitośnym. W pocałunku kryje nieważność, w uśmiechu osłania zemstę; słowa mu z ust płyną słodczy pełne, aby uspiły ofiarę. Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usnąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych, by mu się spod stóp nie ruszyli.

Oczy jej, mówiąc, gorzały. Haxthausen słuchał nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową, gorczy pełną. Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton, na ostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trawiła. Umilkła.

– Pani – odezwał się poseł – któż by się mógł dziwić temu gniewowi, jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz pani wątpić, iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić, lecz jestże środek zaradzenia temu? W tej chwili nie ma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby sobie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz pani najlepiej zmienny umysł króla, nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go pani odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

– Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu! – odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

- Ale mi pozwól, pani, być szczerym – rzekł poseł.
- Mów otwarcie.

– Flemming jest dla pani jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym, niż był kiedykolwiek. Trzeba go w tym usposobieniu utrzymać. Któż wie? Na dworze zmienia się co chwila wszystko, możesz mu pani być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczuć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odgrózkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem. Nieprzyjaciele pani mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażniona, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną. Masz pani przykład na hrabinie Königsmarck – dodał – potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z księżną Teschen. Pozwolono jej zostać w Dreźnie, widywać go, gdy przeciwnie, Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

– Ale jakże mi pan śmiesz – zawołała gniewnie – stawić takie przykłady: Esterle! Königsmarck! To były metresy króla, ja jestem żoną jego! Nie równaj mnie pan z nimi!

Haxthausen zamilkł.

– Zresztą masz pan słuszość, nie chcę go gniewać, chcę się okazać łagodną i posłuszną, pojedę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle, uderzając nogą.

– Nie będą śmieli zmusić mnie do tego, król sam nie odważy się na to, to nie może być! Nie, nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu, ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się. Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie, na ostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

- Nie pojedę, zostanę, niech gwałtu użyją, jeśli się ośmielą.
- Namysł się pani, na Boga, proszę panią! Cóż powiem Flemmingowi?
- Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i opisem całej swej rozmowy. Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nic nie mógł uczynić, siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną, Emilię, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru. Tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności, a mogła, buntując się, szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znowu oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jej słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi. Widocznie rachowała i wając wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming, dowiedziawszy się o tym, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jej jeszcze dwa dni do namysłu. Trzeciego dnia pojechał do niej. Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni, z zapłakanymi oczyma, ale z postawą dumną. Flemming przedstawił się jej z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

– Stawiasz mnie pani w najprzykrzejszym w świecie położeniu – rzekł spokojnie – im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tym mocniej usiłowałem jej oszczędzić przykrości. Wstrzymałem rozkaz króla kilka dni, przynoszę go pani. Jeśli nie chcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszony spełnić go w jakikolwiek bądź sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreźnie.

Stojąca przy oknie Cosel zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jej mieszkanie nadciągnął i ustawił się w ulicy. Błysnęły jej oczy czarne, ale się pohamowała. Spojrzała na list.

– Jadę natychmiast – rzekła z lekkim ukłonem – możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, ukłonił się i wyszedł. Trabanci pojechali za nim.

W godzinę potem hrabina Cosel, płacząc, ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dokonało się wprzód, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał on zerwać z hrabiną Cosel, nie okazawszy jej pewnych względów, należnych po tylu latach pożycia. Niepokoilo go to, iż nie miał powodu do zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z jej strony znaleźć winy.

Gdy Löwendahlowi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układów jakich Watzdorfa i usłużnego, ale niezgrabnego van Tinen, którego król używał, ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstrętliwy Augustowi, zwany „chłopem z Mansfeldu” przez niego, był grubianin i niezgrabny. Watzdorf na dworze niewiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował.

Jednego dnia, gdy się go najmniej spodziewać mogła hrabina, zjawił się w Pillnitz. Jedyń jego wymówką, że się znaleźć nie umiał i z hałasem zaraz wpadł do domu kobiety, której się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Podróż od Drezna wcale go nie wytrzeźwiła, poleccono mu układy z hrabiną Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jej w rękę, mógł pozwolić sobie, co się podoba. Już po wnijsciu do pokoju bez oznajmienia poznała hrabina chłop z Mansfeldu.

– Kochana pani – zawołał, śmiejąc się, od progu – jestem posłany przez Króla Jegomości, powinnaś mi pani być rada. Przywożę jej doskonale nowiny. Król, który by mógł i nic pani nie dać, i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy, życzy sobie rozstać się z zobopólnym zadowoleniem i zgodą. Słyszysz pani?

– Słyszę, panie hrabio, ale nie rozumiem – dumnie rzekła Cosel.

– A jaka zawsze śliczna! – dodał Watzdorf zbliżając się i ująwszy najprzód rękę, namyślił się. Nagle podniósł głowę, znajdując, iż lepiej by w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny piękną rączką dała mu policzek. Watzdorf stał chwilę zdumiony.

– To tak? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Cosel, pokazując mu na drzwi – król powinien był wiedzieć, że takiego gburę na posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

– Niech to idzie w zapomnienie – rzekł – ja nie jestem mściwy, a zresztą policzek z tak pięknej rączki nie bezcześci, owszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie. Obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jej serca. Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahla, odradzono jej to. Watzdorf zajmował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy, walka z nim była trudną.

Nasłano później van Tinenę, o którym na dworze rozpowiadano, że się w niej szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen, życzliwszy dla niej, nienawistny był królowi, pozwalał sobie zbyt wiele. Dawał mu rady mentorskie i znecierpliwiał go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnymi rękami, a raczej nogami, nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinenę na progu pokoju, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził.

– Król nie lubi cię, nie włącz mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł: August się skrzywił. Po chwili van Tinen, ośmielony, począł rozprawiać, król milcząc odwrócił się od niego. Ten zaszedł z drugiej strony, włożył pod samą rękę olbrzymia, który milcząc patrzył nań z góry. Przytomni, widząc, jak oczy Augusta błyszczały, radzi byli ostrzec nieopatrznego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natrętnego. Nareszcie zaczął coś mówić, Van Tinen przerwał, król zamilkł. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W tej chwili, jak dzik rozżarty, król zwrócił się ku niemu, ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżej, drugi cofając coraz bardziej do kąta gabinetu. W chwili gdy van Tinen oparł się jak trup błądy o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami tak, że zbitego na miazgę słudzy, porwawszy bez zmysłów już leżącego, na łóżko ponieśli, i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacił.

Na żadnym z tych ludzi nie mogąc zdobyć król nic, co by Cosel obwiniąło, zasłyszawszy wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lecherenne’a, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernił, ale i to się nie powiodło. Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Dreżna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą. Postępowanie to mogło ją gorczy napęlić i do rozpacz przyprowadzić. Mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasyłał takich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tym oznajmić marszałkowej. Natychmiast zwołaną została rada rodzinna; trwoga była niezmierna. Przybycie Cosel mogło tę całą, tak szczęśliwie osnutą komedię zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej opłatan przez te panie. Ułożono dlań scenę nową. W godzinę, o której zazwyczaj przybywał w odwiedzinach do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonymi, siadła piękna zalotnica, na łóżku z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektowną.

Gdy król wszedł, udała, że go w rozpacz swej zagłębiona nie postrzega.

– Cóż ci to jest, piękna pani?! – zapytał król troskliwie.

Denhoffowa udała, że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

– Najjaśniejszy Panie – odrzekła patetycznie Denhoffowa – zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! Umrzeć byłoby niczym, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało; ale, niestety, ludzie chcą mi z życiem wydrzeć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy, może się już tu znajduje, może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty, Królu, przybywasz tylko, aby mi oznajmić, że powinien ustąpić szczęśliwej rywalce!

– Ale coż pani śnisz? – przerwał król zdziwiony. – Skąd to wszystko, mógłbym ja panią zdradzić? Nie, pani, nierozzerwane węzły łączą nas, twój charakter pełen słodczy, twa dobroć dla mnie są rękojmią, że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

– A! Panie mój – ciągnęła dalej Marynia – bogdajby to, co mówisz, prawdą było, bogdajbyś mi odpłacał miłością tak szczerą, jaką ja mam dla ciebie! A! Umrzeć dla mnie jest niczym, ale cię utracić – to nad siły. Wyrzec się życia prędzej bym mogła niż tego szczęścia, które mi się uśmiechało! Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie, nie chcę go więcej!

– Ale, moja droga hrabino – odparł król – byłoby z mej strony niegodziwością takie wyznaczenie, tak słodkie wyrazy niewdzięcznością zapłacić.

– Dzięki ci, Panie, za tak słodką nadzieję – mówiła ciągle Marynia – mimo to ja się uspokoić nie mogę, trwoga mną owłada. Ta niezdolna rywalka zbliża się, będziesz ją widzieć, pochwyci znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

– Czegóż się pani dręczysz – przerwał król troszkę niecierpliwie – jakimże ją sposobem uspokoić mogę? Owszem, pozwól, niech Cosel przyjedzie, odniesiesz tryumf nad nią.

– Nie, nie! – zawołała Denhoffowa. – Jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę! Ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie tej rozmowy stała pode drzwiami, gotowa wniknąć, gdy znak usłyszy. Marynia kaszlnęła, drzwi się otwarły i weszła, udając zdziwioną i nie wiedzącą zupełnie, że król się tu znajdował.

– Bardzom szczęśliwy, że panią widzę! – zawołał król wstając. – Chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami niesłusznymi.

– Ale o cóż idzie, Najjaśniejszy Panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

– Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania – dodała żywo. – Nie powinno to Waszej Królewskiej Mości obrażać.

– Posłuchajże pani.

Tu król opowiedział wszystko. Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę, to na niego, minę miała skłopotaną.

– Przebaczysz mi, Wasza Królewska Mość – rzekła po chwili – ja się córce mojej nie dziwuję wcale. Wiadome są całemu światu pogroźki hrabiny Cosel, znany jest gwałtowny jej charakter. Wszak śmiała grozić Wam nawet, Najjaśniejszy Panie!

– A więc – przerwał August – o co idzie? Dla waszej spokojności wydám natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zawrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa, składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

– Szczęśliwą możesz się nazwać, Maryniu kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

– Ośmielam się jeszcze uczynić uwagę, że pani Cosel, łaskami Waszej Królewskiej Mości uzuchwalona, niełatwo kogo posłucha. Należałoby kogoś wyprawić, kogoś takiego, co by umiał...

– Wybierzcie panie, kogo chcecie! – zawołał król, trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed najjaśniejszym panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości. Marszałkowa miała już gotowego do tej wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z księciem Polignac do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana jego królewskiej mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z drogi hrabinę Cosel.

– A jeśliby rozkazu Waszej Królewskiej Mości usłuchać nie chciała – spytał Francuz – w takim razie, co mam uczynić?

Król stał chwilę zamyślony, wyraźnie kosztowało go to, do czego został zmuszony.

– Dam waćpanu w pomoc La Haye, podpułkownika moich kawalergardów, i sześciu gwardzistów. Zdaje mi się, że to już wystarczyć powinno.

Nie tracąc czasu, posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i tejże nocy oddział wysłany przeciwko jednej kobiecie bezbronnej wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym, gościńcem, który wiodł z Warszawy do Drezna.

A jak czule były podziękowania i jak wielka potem radość z odniesionego tryumfu!

II

Hrabina, raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swej stanąć przed nim, z małym dworem wybrała się w drogę, chcąc pospieszyć tak, ażeby ją wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jej nigdy, wierny Zaklika towarzyszył w tej podróży. Cierpiał on niewymownie nad losem swej pani, ale w naturze jego było milczeć tym uparciej, im więcej bolał. Błady, wychudły, szerniały, jechał przy wozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wyjazdem z Drezna Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

– Wszyscy mnie opuścili – odezwała się – nie mam nikogo, na kogo bym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań. Zaklika stał chmurny.

– Czy i wy mnie porzucicie?

– Ja? Nigdy! – rzekł krótko.

– Zdaje mi się, że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

– Zawsze – odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry, jakby przysięgał.

– Chcę wam to, co mam najdroższego, powierzyć – odezwała się zniżając głos Cosel. – Powiedzcie mi, zaręczcie, że chyba z życiem stracie to, co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzeć siłą, że mi będziecie strzec mego skarbu, honoru mego jak...

– Jak relikwii – rzekł Zaklika, znowu rękę podnosząc – niech pani będzie spokojną.

– I nie trzeba, by żywa dusza wiedziała o tym, co złożę w waszych rękach.

– Każe mi pani przysiąc?

– Wierzę słowu. Trzeba jednak, byś wiedział, co masz strzec. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie, że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczej nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzeć to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą. Mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania, gdzie to pismo złożyła. Zamurować je? – Mogą mnie wygnać. Zakopać? – Mogą mnie oddalić. Na sobie nosić nie jestem pewna.

To mówiąc, Cosel otworzyła szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobiła pudełko złote, a z niego – woreczek skórzany, opieczętowany, ze sznurem jedwabnym.

– Ty mnie nie zdradzisz – odezwała się patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i łzy mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę, pochwycił oglądając się woreczek, który złożył prędko na piersiach, i odezwał się głosem stłumionym:

– Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

– Jedziemy w drogę – dodała – nie wiem, co się w niej przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane, i najgorsze; trzeba, byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

– Do rachunku – rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Cosel z nabitymi pistoletami, które ją nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej miejsciny na pograniczu Szląska, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku. Hrabina, znużona, kazała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiątek koni jakiegoś oddziału trabantów, który, jak się domyślano, do Saksonii musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i La Haye zjawili się przed nim prosząc, aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radzi by jej złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był. Zdziwiła się niepomału hrabina, gdy jej Zaklika to oświadczył. Nawykła od niejakiego czasu do tego, iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haye był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć. Hrabina Anna, pomimo niepokoju i serca ucisku, nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej, a nawet wesołej. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, a że pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny. W czasie obiadu rozmowa szła dość swobodnie, ku końcowi Montargon, który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tym, o owym i zwrócił się do hrabiny.

– Zdaje mi się – rzekł – że pani niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

– Jak to? Pan! Pan mi będziesz dawał rady?! Pan masz lepiej znać króla nade mnie i moje położenie, i to, co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

– Pani daruje – wybąknął.

– Nie daruję panu tego – zawołała Cosel – bo to jest i niezręczność, i niegrzeczność! Dajże mi waćpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

– Ode mnie pani hrabina w istocie anibys mogła rad potrzebować, anibys ich powinna słuchać, ale gdybym miał polecenie od Króla Jegomości.

– Od króla?! – zawołała Cosel.

– Tak jest.

– W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa – rzekła hrabina – opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to, czego był nie powinien uczynić i czego w tej chwili żałuję sam. Mógł król chwilowo ulec, a pewna jestem, iż sam będzie rad, że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon, człowiek gładki, ale obrażony tonem, jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim, a w istocie boleśnie obrażającym:

– Wdzięcznym bym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia – nader nieprzyjemnego – siły.

– Jak to?! – porywając się krzyknęła Cosel. – Waćpan byś śmiał się targnąć na mnie?!

– Mam stanowczy rozkaz króla zawrócić panią od Drezna – rzekł Montargon – i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie, że był synem wioskowego pisarza, i krzyknęła nań:

– Precz mi, pisarczyku ty jakiś, precz! – porwała za pistolet – bo ci łeb roztrzaskam!

W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział, z kim miał do czynienia, i był pewnym, że hrabina mu słowa dotrzyma, wysunął się co prędzej, nie otwierając już ust, a La Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób, w jaki towarzysz jego dostał odprawę, był dla niego nauką. La Haye zaczął z wielką łagodnością:

– Pani hrabino – rzekł – posłów ani ścinają, ani karzą. Niech się pani uspokoi, myśmy niewinni, że nam tak niemiłe dano polecenie. Byłbym w rozpacz, gdybym się mógł najmniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! Rozkazy z własnych ust Najjaśniejszego Pana dla wojskowego: nie ma ratunku, one się spełnić muszą!

– Widziałeś pan króla? – spytała Cosel.

– Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąca.

– Niech się pani uspokoi. Nie ma, jak mi się zdaje, nic dla niej groźnego w tym wszystkim.

– Jak to? A ta Denhoffowa?

– A! To bałamuctwo przemijające! – zawołał La Haye. – Coś na kształt romansu króla z Duval, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem, czy sobie jej imię przypomina. Pani Denhoff jest zamężną, mąż jej na wsi, o niczym nie wie. Nie ma najmniejszego podobieństwa, ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi. Zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać. La Haye umiał jej historię w takim świetle przedstawić, aby jej znaczenie zmniejszyć. Po kwadransie rozmowy hrabina grzecznymi prośbami dała się wreszcie pokonać. La Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jej na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kuriera do pani marszałkowej.

Obawiając się zaś, ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i La Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją nie postrzeżeni, noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niej, aż pod Budziszyn, skąd już spokojni mogli wrócić po dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie po cichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażać by się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszym występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy, w których jej nie oszczędzano.

Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważnie gorszyli się i sarkali, a ponieważ nie dobrej sławy przez kobietę zamężną pod niebytność męża oburzało. Raziło to tym więcej, iż współniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tym, niż tajono z poniżeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intrygi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, aby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby. Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono doń matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swym przybyciu pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

– Nie męczcie nas tymi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całej rodziny dla twoich fantazji poświęcać nie myślimy. Mamy króla w rękę, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz, żebym przez śmieszną pruderię odwiozła ci ją tutaj, a nasze interesa przez to zabiła?

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

– Słuchaj waćpan – dorzuciła pani marszałkowa – masz do wyboru: albo milczeć i zostawić rzeczy, jak są, i korzystać z łask monarszych, co by ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncjusz Girmani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

– Moja pani – odezwał się Denhoff – dzielić się sercem żony z Najjaśniejszym Panem nie mam najmniejszej ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwie by mi się co z niego okroiło, bo to tam dużo ludzi do córki jejmościowej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczny będę, byle prędzej.

Marszałkowa była nieco zdziwioną, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy, do Grimaniego. Nuncjusz napisał do Rzymu. Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno, i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długie ogromne, majątki obciążone, interesa zawikłane, i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoff owej, która gorliwie się wzięła do kasy jego królewskiej mości. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzała Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czułe serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacje, gdyby nie rozum, doświadczenie i zapobiegliwość matki, nie wypuszczającej ją z opieki i czuwającej nad dobrem całej familii. Pani marszałkowa prosiła o coś ciągle, prosiła nader zręcznie, bardzo słodko i grzecznie. Znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiała przemówić do serca najjaśniejszego pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo zważał na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żałoby uwalniał, król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą, oddalając się od nich, tak że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytworne przybory zwozić trzeba było z Drezna. Nie miał tu całej tej armii posługaczów, którzy go otaczali w Saksonii, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siłąc się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą stosunkowo w to, co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoff, obawiająca pistoletów Cosel, upewniła, że jej tam na drodze swej nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem tryumfatorki zbierając, co z niego spadało, nie prędzej nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jej nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla niż dla siebie, udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzec od jakiegóż wymarzonej napaści.

Być bardzo może, iż nieprzyjaciele hrabiny, chcący zapobiec, by wróciwszy do dawnych łask u króla, nie mściła się doznanej zniewagi, wpływali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania hrabiny. Dosyć że król, który rad ją był oszczędzać i który łagodnie dosyć

obchodził się po rozstaniu z innymi ulubienicami swymi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego, a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jej pozbyć koniecznie, pozbyć w ten sposób, aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, wiedział, że ona szukać go będzie, był przekonany, iż obudzi żal w Augustcie. Jątrzone więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragając się prześladować kobietę, i to kobietę nieszczęśliwą. Ale Flemming i Fürstenberg przestraszała ją ciągle tym, iż w Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoff straconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jej rodzina.

Tak z jednej strony nasadzając panią Denhoff na króla, ażeby ją wygnać z sąsiedztwa stolicy, z drugiej Flemming sam przypominał mu, iż nieopatrznie w chwili namiętności dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina Cosel, że należało bądź co bądź papier ten, bodaj zań opłaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słusznym. Raz rozpoczynając prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jej w Pillnitz spoczynku. Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstrętliwym, Cosel, nawykła teraz z pozorną przynajmniej cierpliwością znosić wszystko, musiała go przyjąć, wiedząc, że przybywa z wiedzą i za wolą króla. Tym razem był on znacznie oględniejszy w postępowaniu z hrabiną.

– Życzę pani dobrze – odezwał się przy powitaniu – najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiej zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniej wypadło to dla pani, ale...

– Ale co? – zapytała Cosel spoglądając nań.

– Ale ze strony pani trzeba by też trochę powolności – rzekł Watzdorf.

– Posłuchaj mnie pan – odezwała się Cosel – byłam królową, panią, bóstwem. Jestem matką trojga przyznanych przez króla dzieci jego. Nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości, najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbyt miłą dla króla. Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle, po świeżych jeszcze przysięgach i łaskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi rzec się miłości – milczę. Wypędzają mnie z darowanego pałacu – idę. Każą mi się oddalić z Drezna – usuwam się do Pillnitz. Chcę widzieć króla – zawracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojej wściekłości. Mówią, że gotowa z rozpaczy godzić na życie króla.

– Tak jest, wszystko to mówią, prawda – rozśmiał się Watzdorf – ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

– Teschen i Aurora były faworytami! – zawołała. – Ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się rozśmiał w głos.

– A! Kochana hrabino – rzekł z poufalością obrażającą – to są stare dzieje. Pani wiesz, co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczną, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie, co czyni. August II, Pan Nasz Najmiłościwszy, podpisał przecież, zmuszony, pokój altransztadzki, a ogłasza go nieważnym. Podpisał też pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagi. Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

– A! Królowi wolno – zawołała – do słów, przysięg i przyrzeczeń najuroczystszych żadnej nie przywiązywać wagi, ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie, co czyni, i nie oszukuje siebie i ludzi. Dla mnie słowo jego święte i ważne!

Zaczęła się przechadzać po pokoju. Po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego, z czym przybył.

– Niech mi pani powie otwarcie – odezwał się – jakie są jej żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę. Uczyni wiele, tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten papierek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

– Z tym pan przybyłeś? – zapytała.

– No, muszę wyznać: tak jest.

– Wracajże nazad – odparła Cosel rozplomieniona – bo pókim żywa, nie oddam go nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie, że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego łaski podać mu rękę, gdybym tej obietnicy ślubu nie otrzymała?

– Ależ to była śmieszność – rzekł Watzdorf. – Sama pani uznasz. Królowa żyła i żyje. Któż jest w prawie rozporządzać tak przyszłością? Takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata nic nie waży.

– A po cóż mi je odbierać chcecie? – zapytała Cosel. – Bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał. Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zdrada nie napiętnowała tak, jak godzien.

– Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę – rzekł Watzdorf.

– To wracaj, skąd przybyłeś – zimno odezwała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju.

Posel poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

– Zastanów się pani, do czego to prowadzi! Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! Wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mógł.

– Więc niech próbuje – odparła hrabina.

– To by była ostateczność nader smutna – kończył Watzdorf – tej właśnie wszyscy, co jej życzą dobrze, radzi by uniknęli, tej ja pani chcę oszczędzić. Jeśli zmusisz do gwałtu, nic się spodziewać nie możesz, dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

– Chcesz, bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski nie ma tyle, ażeby kobiety, jak ja, honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam!

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

– Chcę, żeby świat wiedział, jak niegodnie byłam oszukana, jak niepocziwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jej z oczów.

– Nie – zawołała nagle – waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska, nie wierzę! Czernicie króla, chcąc go obronić. Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetnym. Król tego nie może żądać!

Posłany milczał, z wolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie. W milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwym.

– Jeśli to, co mnie podpisał i przysiągł, nie ma wagi – odparła, ręką papier usuwając – jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf list złożył i schował nazad, litość odmalowała się na jego twarzy.

– Pani hrabino – odezwał się cicho – jej postępowanie budzi we mnie litość. Wierz jej lub nie, ja więcej nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani, na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w

sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam, gdzie idzie o sprawy stanu, nie ma środków, jakich by nie wolno było użyć. Niech pani przypomni los ludzi wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwić mu się, gdy nim owładnie namiętność.

– Znam go lepiej od was – wrzuciła Cosel.

– Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym – rzekł Watzdorf.

– Wiem o tym – powtórzyła hrabina.

– Zaklinam panią!

– Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna – zaczęła Cosel spokojnie – groźbą mniej na mnie możesz podziałać niż namową: wstydziłabym się jej ulec.

Watzdorf na próżno usiłował jeszcze przekonać hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie, wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic nad powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwej znowu próby.

III

Są istoty, które na ból patrzeć lubią, a jękom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nie-szczęściu urągać. Płochosć czy złość pobudką – zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście, jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jej nieprzyjaciółach. Prawda, że dumę swą nieraz im czuć dała, że niewiele osób zasłużyło na jej przyjaźń, lecz w owym dworze, intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów, co się odpędzić nie dawali, należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszoną dom jej wypowiedzieć, przekonawszy się, co z niego wynosiła, udając przyjaźń, z której za drzwiami sama się wyśmiewała. Długo też nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jej było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali.

Jakież było zdziwienie hrabiny, gdy nazajutrz oznajmiono jej odwiedzin Glasenappowej. Zrazu wahala się z przyjęciem, nie chcąc wystawiać na urągowisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa, nie zrażona długim oczekiwaniem, pobiegła naokół domu, którego dół zajmowała Cosel, i od okna do okna przechodząc i zaglądając, gwałtem się starała ją znaleźć i do niej docisnąć. W ten sposób w istocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu, i przewiesiwszy się w otwartym oknie, zmusiła, by jej drzwi odemknęto.

– A, moja droga hrabino, nie kryjże się! – zawołała. – Wiem, że ty w moją dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każżę mnie puścić! Przy-noszę ci plotki z miasta, nie nie chcę, tylko cię uściskać.

Cosel, znudzona i zmęczona zarazem, przyjęła baronowę, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

– Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie – odezwała się – odmawiają mi wszystkiego. Nie ma potwarzy, której by na mnie nie wymyślili. Wierz mi, Cosel, że ja ci zazdroszczę twojej samotności, bo na dworze żyć, a jeszcze na takim, to się, jak ja, wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siadła wygodniej, obejrzała wkoło.

– Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcale by ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sądzę, żeby ci się to udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i stąd wygnać.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

– Mamy tedy tę panią w Dreźnie – poczęła paplać żywo – a z wielkiego strachu, abyś jej z pistoletu nie postrzeliła, podpułkownik Chatira i sześciu kawalergardów na krok jej nie odstępują. Myślę, że za tę gwardię nie gniewałaby się, nawet nie mając obawy. Oprócz tego postawili ją u Fürstenberga, dopóki jej pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie się jej skończy.

– Mają przecież pałac po mnie – mruknęła Cosel.

– O, ten już przeznaczony dla kurfirsta! – dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. – Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę że i garderobianą u Denhoffowej. Flemming wydaje śliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią, że na jednym z nich, dobrze podpiwszy, pogłaskał Denhoffową pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem, na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu też tego za złe. Zresztą, słyszę, tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszną, jak ty, moja Cosel, która nie cierpiąc podziału, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc, Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

– Król się nam zmienia – szepnęła – znaliśmy go jako bardzo dobrego pana, staje się srogim i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

– Takim względem mnie nie jest.

– O, to bardzo naturalne, wielka miłość nigdy się inaczej nie kończy – mówiła dalej Glasenapp – ale słyszałaś o Jabłonowskim?

– O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę – odezwała się Cosel.

– Wiesz przecie, ile król winien był hetmanowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla. A wiesz, gdzie dziś ruski wojewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

– Księżę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy, z tego samego mieszkania, w którym ojca namówił na stronę naszą i w rocznicę dnia, gdy wyjeżdżali kurfirsta witać na granicy.

– Byćże to może?! – zawołała Cosel.

– Tak i ja bym spytała może niedawno, czyż to być może – mówiła dalej przybyła – a dziś powiadam, że możliwe wszystko.

– Cóż zawinił wojewoda?

– Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie, gdy król brał Denhoffową, wystąpił jawnie przeciwko niemu za to, że im żony zabiera, że mieszka publicznie z cudzymi, że kraj psuje, że to zbrodnia stanu! Zbrodnia stanu! – śmiejąc się i plaszcząc w ręce wołała Glasenappowa. – A! Nieoszacowany Jabłonowski! Mówią, że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffową chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy poprzejmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfesaty, jakieś papiery poznajdowano w domu, i król bez ceremonii, bez sądu Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

– Miarkujże, moja droga – dokończyła Glasenapp – kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonii, cóż już o innych mówić? Co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba?

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na niej wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany i za sprawę polską więziony w Saksonii, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

– Mamy świetne ciągle zabawy – rzekła – król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi. Domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanąć nie śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za nietoperza razem z siostrą; mamy też najwięcej maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zamknięty. Przy jednej wieczery Kyan, słyszę, zamiast do kielicha zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencję Najjaśniejszego Pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

– Nazajutrz – dodała opowiadająca – ktoś pochwycił koncept dowcipnisia i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się, słyszę, śmiał, lecz tego, co się to ważył uczynić, szukać kazano, a wątpię, by go znaleźli.

Plotła tak, nieznużona, długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu, gdy się sam na sam znalazły, Glasenappowa zbliżyła się do ucha hrabiny.

– Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wypłatanego figla. O, nie przeczę, że lubię dokuczyć tym, którzy mi też dojedli niemało, ale bym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a tej doznałam niegdyś od was, hrabino. Żal mi was. Na dworze naradzają się i odgrażają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

– Papieru? Jakiego? – na pozór obojętnie spytała Cosel.

– A! Przecież wiecie, o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany. Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

– Bardzo dziękuję za przestrożę – odezwała się Cosel – ale ja na wszystko byłam i jestem przygotowana. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nie mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i tej w końcu nikczemności.

Złożyłam go w miejscu bezpiecznym. Glasenapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać, czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzenikniona, gdy chciała. Osloniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu. Łatwo jej było poznać i domysleć się, że Glasenappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją, aby się czegoś dowiedzieć, że była szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania. Zabiegi całe na nic się nie przydały. Cosel, zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestroż, dała jej z niczym powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz, który ją tu przywiózł, oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę. Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórze i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącym domu i ogrodu. Zaklika myśli jej zgadywał.

– Jesteśmy tu szpiegowani – odezwała się – prawda?

– Dokoła, nawet w domu, za nikogo ręczyć nie mogę – odpowiedział wierny sługa.

– Można ich oszukać? – spytała.

– Gottlieb tu na czele – począł Zaklika – zdaje mi się, że on, do miasta jeżdżąc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz niemądry jest i spoić go łatwo, a zwieść jeszcze łatwiej.

– Gottlieb tu?! – zawołała hrabina.

– Tak, właśnie ten, który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza. Rad by, ażeby się go nie obawiano.

– W mieście wszyscy cię znają? – zapytała cicho Cosel.

– E, wielu zapomniało już o mnie – podchwycił Zaklika – a dla innych toć się i trochę zamaskować łatwo.

– A maszże od kogo zasięgnąć języka?

– Gdy muszę, znajdę – rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach Cosel, jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

– Nie ma tu już bezpieczeństwa dla mnie – rzekła – muszę uciekać, ale jak? Tobie ufam jednemu, mów, jak?

– Trudno – mruknął – ale gdy musimy...

– To nie dosyć – kończyła Cosel – ja muszę zabrać z sobą, co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwięzić klejnoty, pieniądze, bo to, co tu zostanie, będzie ich łupem, zabiorą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika, potarł czoło, targnął wąsa, spuścił oczy.

– Mów pani – rzekł widząc, że Cosel czeka.

– Czy mi zaręczysz, że dobiegnę przed pogonią za granicę!

– Co w ludzkiej mocy, zrobimy.

Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił. Widać było, że niepokój go dręczył, że się lękał, a nie chciał wydać z bo jaźnią.

– Dawno to uczynić trzeba było wprzód – rzekł ucinając mowę, bo nie nawykł długo się wyrażać – ale co się nie zrobiło, o tym mówić już nie ma co. Trzeba czynić, co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce, gniotąc je, biedny człek, aż kości trzeszczące w nich słyszać było, chmurne czoło namarszczył, stapał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwogą i ciekawością. Cały w sobie energiczny, silny, małowówny, po wypieszczonych ludziach, do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czula w nim człowieka. Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się nasępiwszy brwi.

– Nocą pojedę do miasta – rzekł – ja tu w domu mało się pokazuję i tak. Nie każ mnie pani wołać, aż sam przyjdę. Będą we dworze sądzą, że się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę skrytą w krzakach pod wyspą, spuszczyć się Elbą. Na powrót więcej czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywiedzieć u dworu, zobaczę. Trzeba obmyślić i resztę, wyjazd to niemała rzecz.

Mówiąc tak urywanymi słowy, wzdychał. Cosel zobaczyła w tej chwili krążącego z dala Gottlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższej rozmowy, i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

– Ja sędzę, nieprawdaż, Gottlieb, że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić. Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się stąd nierychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastroćcie, bo Polak, któremu to chciałam polecić, wymawia się, że nikogo nie zna.

Gottlieb spojrział na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć, czy to prawda była. Skłonił się i zaczął mruścić szybko, zaklinając, że dla swej najdroższej pani zrobi wszystko.

Na tym się narada skończyła. Cosel poszła do domu. Gottlieb uczeplił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podejrzenie szpiegów, próbowali drzwi, zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na nim widać było ogromnego chłopca, wyciągniętego w ubraniu, w jakim chodził, i twarzą obróconego do ściany. Uspokoił się więc szpiegi, iż w domu był, i dali mu spać do syta. Nie było też co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę po cichu odwiązawszy od kółka, u którego była przymocowaną, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreznu unosił. O tej porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mielizny i kamienie. W czasach, gdy jeszcze błądził, niczym nie zajęty, po okolicach, Zaklika pływał wiele i żegluga się bawił, tak że poza Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki załomy i mielizny. Noc go więc czarna

wcale nie ustraszała, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światelka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną łunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i iluminacja.

W Dreźnie, będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zręczność wielu tam poznać ludzi. Serce go ciągnęło raczej ku stojącym w cieniu i na boku niż do tych, co błyszczeli wśród przedpokojów i wmieszani bywali do intryg lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął, myślał teraz ciągle, do kogo by się udał.

Na dworze, który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie kolejnoty garściami pięknym paniom sypano, handel pieniędzmi i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich. Miał król kredyt na znaczniejsze sumy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmanna, w Dreźnie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch Izraelitów, wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty, a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer.

Ostatni przybył tu z Hamburga w r. 1700, w początkach panowania Augusta, i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia przy takim wiekuistym na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreźnie. Pierwsza to była wekslarnia i bank w tym mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Poczta, a naówczas Judenhauzen. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszym piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju: nosił się po francusku, stroił bogato i mawiano, że wcale niepowabny, miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju: pochodził on z Polski i zachował cechy Izraelitom tutejszym właściwe. Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, nie zapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary; ani pragnął się mieszać do świata. w którym wiedział, jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne. Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel, wierzył jej i był dla niej z wielkim uwielbieniem. A że rodzina jego pono siedziała niegdyś w Krakowskiem i on tam młode lata przepędził, a Zaklika też ten kąt kochał, rozgadywali się z sobą nieraz. Lehmann, żartując, język dawny przypominał. Czasem podać kazał wina lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę; tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział, że Lehmann już po upadku Cosel dał jej dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką z kolei wszystkich wpływowym ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił, co tylko zrobili, nie brzydząc się zepsuciem dworu. Berendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochosć i rozwięzłość, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go. Wprawdzie popisywać się z tym ani mógł, ani chciał, lecz z twarzy jego niemal czytać się dawało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych nieraz był nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego, co z sobą nieraz poszeptali po cichu, Zaklika wnosił, iż na Lehmanną śmiało się spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czółno poniżej mostu, w znanym sobie kącie u gospodarza Wenda (bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkalo) bezpiecznie umieścił, Zaklika, odziewszy się po oczy płaszczem i kapelusz naciśnawszy, posunął się do miasta. Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Z dała już gorejącą nad Ogrodem Hesperyd w Zwingerze widać było iluminację. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne strony

leli, a między nimi i niejedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał pannał wszędzie, znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanymi uliczkami Zaklika, szukając mroku popod domami, z których niewiele oświeconych było, dostał się nie postrzeżony do Judenhauzu na Pirnaiską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O tej godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie, co żyło, poszło patrzeć na bał do Zwingru, pod gołym niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych, kręcący się i szumiący z południowych krajów szaleł i wrzawą. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmann, który wyszedłszy do sieni, ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził nie postrzeżonego od służby do swojego gabinetu w tyle domu. Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już niemłodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejeđnany, znający jego warunki i ostygły już wielce. Czarne oczy patrzyły chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnięcia czuć było, że je coś ogrzać by potrafiło.

Zaklika, przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie. Gospodarz domyślił się, o co mu chodziło, i szepnął uderzając po rękę:

– U mnie jesteł bezpieczny. Nikt was tu i nie zna, i nie pozna, i gdy trzeba, nie zobaczy.

– Tego bym sobie życzył – rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak, i powrócił prędko. Przysunął krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

– Co się z wami dzieje? – zapytał.

– Dzieje się tak źle – odparł Zaklika – iż gorzej, gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu z Drezna, a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić, jeśli nie gorzej. Nieszczęśliwą tę ściga zemsta nikczemnych ludzi; trzeba ją ratować.

– Tak jest, tak jest – odparł Lehmann, poprawiając czarnej czapeczki, którą starym obyczajem nosił na głowie – ale siebie nie gubić.

– Myślę, że się to da pogodzić – odezwał się Zaklika.

– Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

– Cosel uciekać musi – dodał Zaklika.

– Dokąd? – spytał Żyd z uśmiechem. – Chyba za morze. Tu sobie panowie, wzajemne czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

– Sądzę, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann głową pokiwał.

– Hrabina – mówił dalej wierny sługa – musi z sobą zabrać, co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

– A czy bezpiecznie, uciekając, zabierać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

– Już to, wiercie mi – rzekł – rad bym hrabinie z duszy dopomóc. Znam jej historię, znam charakter: była to jedna perła w tym błocie. Winienem ja jej wiele i pomogę chętnie. Serce mam i uczciwych ludzi szacować umiem, ale posłuchajcie mnie, panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla niej gubić nie mam prawa.

– Ja przecie, gdyby mnie na katownię najsroźsze wzięto, nie wydam was ani hrabina, a więcej nikt, chyba Bóg jeden, wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał.

– Zgoda – rzekł – trzeba, żeby was tu u mnie nikt nie widział ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną jak za wszystkimi szpiegi chodzą.

– Nie bójcie się o to – dodał Zaklika.
– Co mi dacie, to wam prześlę, gdzie będzie trzeba – dodał Izraelita – rzecz jest skończona. Jeszcze raz sobie dłonie podali. Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki, nalał je i siadł.

– Dziękuję wam – odezwał się Zaklika – nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

– A o czymże dowiedzieć się chcecie? – spytał chmurno Lehmann, zniżając głos. – U nas tu zawsze gospodarstwo jedno: kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königsteinu lub gdziekolwiek bądź, byle nam nie zawadzało. Litości tu ani serca nie pytać, bo nie ma nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają, król posługuje się wszystkimi, obsypuje łaskami, gdy potrzebni, i gardzi nimi. Wszystko jedno: jest to, co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

– Król więc zakochany? – spytał Zaklika.

– On? Zakochany? – odparł Lehmann. – A czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religię na waszą zmieniał, iż nie wierzy, aby cokolwiek mieniał, bo nic nie miał. Tak samo z tą miłością, której nigdy nie było.

– A Denhoffowa?

– A, a! – zawołał Lehmann. – Co ma być? Pieniądze zbiera i klejnoty. Król już pono myśli zawczasu, za kogo ją wyda, gdy mu się uprzykrzy. Siostrę jej, hetmanową, Friesenowi swatają, a ją, no, weźmie Haxthausen albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

– Cóż ty się tu chcesz nowego dowiedzieć? Tu się ludzie zmieniają, nie rzeczy.

Chwilę potem jeszcze po cichu mówili z sobą. Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowej, wypuścił nią i klucz mu zostawił. Pożegnali się mrucząc. Zaklika obwinięty płaszczem poszedł dalej. Nie sądził, aby niebezpiecznym było podsunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć, jak to tam teraz wyglądało: zdawało mu się, że się nie widzianym przesunie.

Już był w zamkowej ulicy, pełnej przesuwających się masek i *nobles Vénitiens*, i *dominów*, gdy go ktoś po ramieniu uderzył. Zwrócił się zdziwiony, za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

– Jakżeście mnie poznali? – zapytał Zaklika.

– Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was nie ma nikt – szepnął Fröhlich – ale cóż wy tu robicie? Słyszałem, żeście byli u dworu tej... tej, która upadła. A teraz?

Zaklika dla utajenia się odparł żywo:

– Nie było tam co robić! Opuściłem go!

– To rozumnie – rzekł Fröhlich – wszystko dobre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować. Cha! cha! Niech każdy ratuje się, jak może! Powróciliście więc do służby króla? Czy może już Denhoffowej służycie?

– Jeszcze nie – odparł Zaklika – a jakże się ona wam wydaje?

– Mnie? – zapytał Fröhlich. – Ona mi się wydaje jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kásają, które łatwo zgnieść, a trudno złapać.

Począł się sam śmiać i zatknął sobie usta.

– Pierwszy nietoperz, którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę. Fröhlich natychmiast się wysu-

nał. Spod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać:

– Co tu robisz? Co robisz?

Nie miał już Zaklika lepszej odpowiedzi do dania nad tę, którą zbył Fröhlicha.

– Szukam służby – rzekł.

– Ho, to ci się twoja pani sprzykrzyła!

– Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku, wychodzących w ulicę. Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jej sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

– Szukasz służby, a jakiejże byś żądał?

– Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takiej, która się przy szabli lub szablą odbywa. Hiszpan coś zamruczał.

– A Cosel? Gdzie Cosel?

– Zapewne w Pillnitz, nie wiem.

– Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Nie pytaj, przecież się nie lękasz?

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł, iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga. Pomimo maskarady na Zwingerze, Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku, co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się. Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę. Wrzawa buchała z pokoju, w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho, i generał żwawo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę, aby szedł za nim, i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu. Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek, pochylony nad nimi, pisał coś szybko. Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za nimi.

– Kiedy rzuciłeś służbę u Cosel? – zapytał.

– Kilka dni temu.

– Cóż myślała?

– Urządzała się w Pillnitz.

– I siedzieć myśli? – zapytał Flemming.

– Ja sędzę.

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrząśli głowami.

– Jakżeś się z nią rozstał?

Zaklika zmiarkował, że obudzając zaufanie o czymś potrzebnym będzie się mógł dowiedzieć.

– Zostałem wypędzony – rzekł – bo tam teraz mało sług potrzeba.

– A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?

– Doskonale.

– I przyjąłbyś służbę inną?

– Czemuż nie?

– Choćby, choćby – dodał Flemming – wymagała, żebyś przeciw dawnej swej pani wystąpił?

– Ja nie mam pani ani pana oprócz Króla Jegomości – odparł Zaklika – bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu śmiejąc się do rozpuku.

– Za dwa dni przyjdź do mnie, rozumiesz? – rzekł cicho.

– Rozumiem – szepnął Zaklika.

Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem. I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tym pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą. Przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Stąd wyszedłszy, lepiej się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kilku po-ufałymi, na przedmieściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czółno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę z całych sił robiąc nimi, puścił się nazad do Pillnitz.

IV

Między innymi wiadomościami, które Zaklika mógł zaciągnąć, była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczery, i jakiegoś widowiska. Ponieważ pani Denhoffowa i hetmanowa Pociiejowa, i matka ich, marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arie włoskie, opera najczęściej je do pół wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerta grywał Tartini, Santa Stella występowała jako primadonna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Berselli ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna, Aldrovandini malował dekoracje, Bach dyrygował muzyką. Z równym staraniem urządzony był balet, a potem komedia francuska.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król wśród tych maskarad i redut często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastreczały. Na dzień następny naznaczoną była wenecka maskarada z jarmarkiem. Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pociiejowa także. Król rozesał rozkazy, aby mu się kto żyw stawiał i żeby na placu było tłumno. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nie wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czółno na swym miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uśpionym i nie postrzeżony wkradł się do swej izby, oczekując w niej, iżby się pani obudziła. Nie było chwili do stracenia. Zaledwie się okna otwały, przeszedł się przed nimi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać, rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina, zobaczywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jej szczególną sprawę ze wszystkiego, a najpierwej ze swej rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością, i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, co by najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabiny zawieźć do Drezna, tak aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kufarki i szkatuły w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania. Siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała mu podolać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko. Konie przez Zaklikę zgodzone miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o mroku. W domu urządzić chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabiny nie domyślano. Przepręgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja,

że nim do Drezna dojdzie o ucieczkę wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jej, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi. Słyszając to, oniemiał Zaklika i pobladł.

– To być nie może! – zawołał. – To dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziesz poznana, a wówczas...

Cosel potrząsała głową.

– Chcę – rzekła – i tak być musi. Znasz mnie waćpan, że mam wolę żelazną, że jestem upartą, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę go widzieć, muszę ją widzieć. To nie fantazja, to potrzeba, to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę, a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i Kocham.

– Lecz pani narażasz się.

– Doskonale wiem, na co się narażam – przerwała Cosel. – Mogą mnie pochwycić i zawieźć do Königsteinu czy do jakiego tam zamczyska, mogą mnie zabić, ale ja muszę tam być! Na obronę życia mieć będę oręż przy sobie, resztę zostawcie mnie.

Zaklika zbladł, załamał ręce, lecz znając Cosel, nie odezwał się więcej.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Drezna odprawić z tym, co najdroższego miała. On poszedł natychmiast przez Gottlieba nakazać zaprząć do bryki dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i niewiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywając je białyną i sukniemi tak, aby ich widać nie było. Siadł na wóz i nie żałując koni, ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się, nim dojechali do miasta, tak że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazać by był nie mógł. U furtki ogrodowej Lehmana, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknąwszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzemienił je, nie postrzeżony, do izby bankiera. Żywa dusza nie widziała go tu. Ścisnąwszy dłoń uczciwego Izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego na sianie, sam ujął konie i popędził, nie popasając, do Pillnitz.

Tymczasem Cosel żegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszystko dopełnić tak, aby żadna ze służek nie zobaczyła nic nadzwyczajnego i przedwczesnie wydać jej nie mogła. O zwykłej godzinie podano obiad, gdy niespodzianie zjawili się nań z Drezna hrabia Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia, co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła i usiłowała nie wydać się z tym, co nosiła na duszy. Owszem, udawała zrezygnowaną, zajętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustronia, a zobojętniałą na to, co się w stolicy dziać mogło. Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hrabia Friesen miał interes, prosił o pożyczkę dość znacznej sumy. Cosel go lubiła, gdyż dał jej nieraz dowody przyjaźni, uśmiechając się odmówiła mu.

– Mój hrabio – rzekła – jestem uboższą, niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera, co raz dał, każdej chwili mogę resztę utracić, nie mogę ci służyć, daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście, opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoff, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem, musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jej opuszczenia, i pożegnali w końcu gospodynię.

Zaczynało zmierzchać, hrabina Cosel skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy ze zmęczenia rozmową pochodzący i oświadczyła, że tego dnia wcześniej się spać położy. Na-

kazano ciche sprawowanie się we dworze. Zaklika sam obszedł wszystkie kąty, zalecając zachowanie się spokojne. Cosel wcześniej niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika, który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę, zapukał do małych drzwiczek, wychodzących ku ogrodowi. Wsunęła się czarna, zakwefiona postać i nie postrzeżona, chwyciwszy rękę Zakliki, zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czołno czekało i cicho odbiło od brzegu, nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i łozy zakrywałyby je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo, co by je mógł dostrzec. O kwadrans może drogi stąd, niedaleko od brzegu, na który w pustym zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz niepozorny ze czterema końmi i woźnicą. W owych czasach dworskich przygód i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymknęła się kobieta.

Zaklika, do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszej nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i później znaleźć mieli powóz inny i konie do pospieszniejszej nocy, dalszej podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić, ażeby się wyrzekła niebezpiecznej wycieczki na rynek. Odpowiedziała mu ruchem ręki i jednym słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jej towarzyszyć, nie oddalając się na krok. Powóz porzuciwszy u mostu, szli dalej piechotą.

Dnia tego osób było więcej jeszcze, wrzawa i wesołość wzmogły się. Lud drezdeński, który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił nimi. Domy w zamkowej ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami, tak że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykre na niej uczyniły wrażenie. Kilka razy, jakby zwątpiwszy o swych siłach, przycisnęła się do muru, nie mogąc iść dalej, to znowu, jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem, podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie, gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galerii ratuszowej muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roiło się maskami najosobliwszymi. Dokoła rynku stały w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie we wschodnich ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kilku z tych bud okazańszych, największym ścisłem otoczonych, rozlegały się śmiechy. Iluminacja rześista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw na jaskrawy tłum masek i dominów.

Wśród nich arlekiny i poliszynele na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improvizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą cizbą, bijąc w dłonie, i śmiechem jednym wielkim napętlając chwilami rynek, głuszac muzykę. Śpiewy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania – wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nic rozeznąć prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci, okrytych łachmanami i świecidłami, w najkrzykliwszą zlanymi pstrociznę.

Czasami na tle jaskrawym wybitniej wypłynęła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczarne i wnet zasłaniały je pokrzyżowane, połamane okrucy ludzi, zbitych w jedną, nierozplataną masę. Z okien kamienic wyglądały to strojne popiersia kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smutnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzeć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wyleciał improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dłonie cukierki, owdzie – piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowej stanęła, jakby jej serca zabrakło znowu iść dalej. Zawahała się. Zaklika skorzystał z tej chwili i szepnął raz jeszcze prośbę: „Pani, wróćmy się”. Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem, Cosel posunęła się żywiej ku rynkowi, oglądając wzrokiem ciekawym.

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles Vénitiens*, w kapeluszu z piórem czarnym, w aksamitnej sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnej масeczce. Stał wzięwszy się w bok, w postawie tak malowniczej, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego roily się масeczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało, nieco się cofnawszy.

Cosel na pierwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules, Apollo – nie miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn nie było naówczas trudno. Zawahała się nieco, lecz wprędce nabrawszy męstwa, podstąpiła ku niemu. Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel też mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król, spojrzawszy na nią, zadrżał widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy obojętna. August posunął się ku niej. Zdawało się, że ją zaczepi, wstrzymał się z jakąś obawą. Масeczka spojrzała nań, jakby go wyzywała. August podszedł.

Dwór cały mówił po francusku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła swój głos, który drżał mimowolnie. August nie zadawał sobie tej pracy. Co się działo w biednym sercu kobiety, któż wyrazić potrafi?

Z bliska przypatrywać się jej król zaczął.

– Na honor! – zawołał. – Piękna масeczko, pochlebiam sobie, że znam tu was wszystkie, a jednak...

– Mnie nie.

– A wy znacie, kto jestem?

– Ja was znam.

– Któż taki?

Zadrżał głos, potem nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

– Kat!

Król się wyprostował dumnie:

– Zły żart!

– Najsmutniejsza prawda.

August popatrzył na nią.

– Jeśli mnie znacie – rzekł – a śmiecie rzucić mi tym słowem w oczy, powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak – nie, to nie może być.

– Nie znacie mnie – śmiejąc się powtórzyła Cosel.

– W istocie i ja tak sądzę. Nie możecie być tą, której się domyślam, bo ta nie miałaby odwagi przyjść tutaj ani pozwolenia.

– Kobieta? – zapytała maska. – Kobieta nie miałaby odwagi? Kobieta pytałaby o pozwolenie?

I rozśmiała się. Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło, chwycił jej rękę. Wyrwała mu ją z pośpiechem.

– Intrygujesz mnie, piękna масeczko – odezwał się – a mówisz, że nie znasz.

– Nie znam – odpowiedziała Cosel – nie. Niegdyś znałam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale tamten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera, a ty...

Król, jak zwykł był, gdy nim owładnął gniew, zaczerwienił się mocno i natychmiast pobladł.

– Масeczko – zawołał – to przechodzi coś granicę swobody karnawałowej!

– Swoboda jest nieograniczoną.

– Więc dokończ – rzekł król – a ja?

– A wy?

Znowu Cosel głosu zabrakło.

– Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w rękę oprawców.

– Cosel! – zawołał nagle August, chwytając ją za rękę.

– Nie, nie! – wyrывая ją, krzyknęła ze śmiechem szyderskim maska. – Jakże by ona tu być mogła i tak spokojnie znieść widok stypy na swoim pogrzebie? Widziałam ją niegdyś, znam kobietę, której wyrzekłeś imię. Między mną a nią nie ma nic wspólnego. Tamtę żli ludzie zabili, ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszeleścił w powietrzu, i nim August się opamiętał, znikła. Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmięszała się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką wbiegła za stojące stragany. Tu płaszcz swój, cały czarny, miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osłonić ramiona, tak że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niej już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika na próżno ją wstrzymywać usiłował, znała dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaleźć się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca* w wieńce z cytryn i pomarańcz, siedziały: pani Pocijowa, przy której służbę odprawiał, z gitarą na wstążce, stojący przy niej hrabia Friesen, pani marszałkowa Bielińska, ubrana za wenecką, przy której stał na straży Montargon, i pani Denhoff w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to mała kobieta, młodziuchna, z twarzą wielce zmęczoną, na której miejsce rumieńca zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarność i pustotę. Budkę jej otaczała młodzież, a najbliżej kręcił się Besenval, francuski poseł, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak z boku, że się jej dobrze mogła przypatrzeć, a spod maski pogardliwe widać było i gniewne razem oczy. Jakby czując ten wzrok na siebie zwrócony, Denhoffowa wstrząsnęła się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych, arystokratycznych kształtów po szklanek limoniady, którą Denhoffowa częstowała.

– Piękna gosposiu – rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie – zlituj się nad spragnioną. Nie proszę o jałmużnę, wiem, że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała jej w palcach sztukę złota. Denhoffowa, jakby przeczuwając jakąś groźbę, drżącą ręką rozlewającą się podała szklanek.

– Słówek jeszcze – rzekła Cosel, przysuwając się jej do ucha. – Spójrz na mnie.

To mówiąc, odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowej mogły być na chwilę widoczne rysy jej twarzy.

– Spójrz na mnie, wraz sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, której przekleństwo ścigać cię będzie, płochą zalotnicę, aż na łożu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, której się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj, że ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzona, niewinna, ty wyjdiesz stąd zbrukana i sponiewierana, bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widzieć i powiedzieć ci to słowo, choćbym je życiem miała przypłacić, i rzucam ci w twarz nim: jesteś nikczemna, jesteś podła!

Denhoffowa przełknięta pochyliła się i zaczęła mdleć. Około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk, król nadbiegł, Cosel wysłiznęła się zręcznie i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cisnące się fale ludu i krzyki, i nawoływania żołnierzy. Zaklika ścisnął w rękę pistolet, który pod płaszczem trzymał, Cosel biegła przed

nim żywo. Coraz mniej wyraźna ścigała ich wrzawa, która się zmieniała w jakieś mruczenie i szum głuchy. Na sąsiednich, większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatywali je żywo. Znając jednak najmniejszy zakąt miasta, Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Cosel do bramy miasta.

Na nieszczęście, nim do niej dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku, ażeby wrota wszystkie pozamykać i żadnej nie wypuszczać kobiety. Na drodze już usłyszeli o tym rozmawiające panie, które wyjechać chciały, a którym nie pozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika, zasłyszawszy to, pobiegł do nich i spytał, czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

– A! Nie – zawołała jakaś rezolutna pani śmiejąc się – królowi tancerek pewnie zabrakło, więc nas tu chęć gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel, zmieniwszy płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwać. Dalej jednak nie sposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet nie puszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jej domyślić.

Zaklika, któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmana. Zabawa w zamku ręczyła za to, iż tam teraz pusto było. W istocie stary bankier sam siedział ze swą rodziną, gdy weszli po cichu i Zaklika zażądał co najprędzej jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił, co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszej mody. Z mimowolnym, pełnym boleści uśmiechem jakimś hrabina narzuciła na siebie te suknie. Lehmann, błądy, wypuścił ich tylnymi drzwiami. U wrót, które z dala już widać było parą latarni oświecone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na koniach. Oficerowie, pozsiadawszy z nich, przechadzali się wzdłuż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził. Cosel miała spuszczoną głowę i kołnierzem zakrytą twarz. Gdy podchodzili ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwrócili się ku nim i zdawali patrzeć z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słychać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

– Cóż znowu? Czy najdroższy klejnot wykradł kto z miasta.

– Cha! cha! Szukają, owszem, Cosel, która swoim zwyczajem pono się na królu publicznie w rynku pomścić miała.

– Cosel?! Ale tej już na świecie nie ma!

– Ho ho, wróci ona, bo się jej jeszcze boją.

– Gdy Teschen upadła, nikt o niej nie myślał; ta – jeszcze panią, bo drżą, usłyszawszy jej imię. Drudzy się śmieli.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeszkody, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy minęli most na fosie, Cosel lżej westchnęła: była już na pół wolną.

W godzinę potem, ciemną nocą, toczył się szybko jej powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika z pistoletami w rękach, przy woźnicy, przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreźnie i Pillnitz.

V

Berlin w pierwszej ćwierci XVIII wieku był zaledwie słabym zarysem tej stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w tej porze i był niemal nowym, a miał już charakter właściwy miasta koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy. Tu nic już naówczas nie szło, jak samo chciało, ale jak z góry rozporządzono: wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby od razu. Nic smutniej nie mogło po Dreźnie wyglądać nad ową nadsprejską stolicę. W ulicach widać było więcej żołnierzy niż ludu, a bębny i piszczałki głośniej się słyszeć dawały niż dzwony i koszar więcej było niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stanęły, nie że chciały, ale że musiały. Pusto było dosyć. Jednakże Berlin już miał pięć kwartałów i przedmieścia, rozsypane szeroko a nędzne, dokoła. Gdzieniegdzie wśród domków i domów pałace rodziny królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się skądinąd zapożyczony. Na Spandawskim Przedmieściu świecił tak Montbijou królowej, na Stralauskim – Belweder króla.

Wszystko tu było nowe jak samo państwo, najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w tej pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molkenmarkt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwano go mostem nowym i zamiast Henryka IV wstawiano nań elektora Fryderyka Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto; gasił inne wspaniałością. Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż spod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem, trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego, co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galeria, bibliotekę, muzea – zakładano spieszenie, napełniano, jak było można. Jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale za to na wagę złota kupowano żołnierzy. I to, co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czym spoczywała przyszłość jego i monarchii, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny, pierwszy batalion grenadierów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego, co z człowieka zrobić można w tym rodzaju i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm, militarny. Grenadierów tych, olbrzymów, płacono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz musztry zajmowali się handlami. Najdorodniejszy z olbrzymów

tych, Jonasz Norwegczyk, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później służył.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapyłony i zbłocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem na te piaszczyste, puste aleje, na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jej serce. Ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki; tu chciała czekać, aż się może w losie jej coś odmienić.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa najął jej przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach, jakie niedawno zajmowała, wydało jej się nędznym i biednym, choć było tylko zimnym, nie zamieszkanym i pustym. Ale dla niej była to tylko gospoda. Zaklika siadł drugiego dnia na straży. Urządzono, co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którym by o niedoli swojej marzyć mogła, i nowe gospodarstwo się rozpoczęło. Smutne dni, długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże *incognito* nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedzinę marszałka Wartesleben, gubernatora Berlina, a drugi marszałek, Natzmer, dowódca żandarmów, często przejeżdżając się ulicą, domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość, że tam przybycie hrabiny, a nade wszystko przekaz na znaczne sumy do Liebmann, bankiera, widziano okiem bardzo przyjaznym. Z Dreżna, pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków, nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiero, wśród tej samotności milczącej, wpośród tego miasta głuchego, które zasypiało o mroku, wśród tej ciszy złowrogiej – cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma tej, która nań była skazaną.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dni siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa, z oczyma czarnymi, wlepionymi w ścianę lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe. Serce jej zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć, czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić. Charakter króla wydawał się jej poczwarną zagadką. Przypominała sobie czułości jego, dowody przywiązania, niedawne jeszcze tryumfy swoje a jego przysięgi i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku. Mężczyzna cały, jak go Bóg stworzył, zdawał się jej dzikim szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jej kłamu. Świat wydawał jej się czymś niezrozumiałym. Pytała własnego życia i szukała w nim winy, czując karę, nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu, jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść *Biblię*.

W kilka dni także wszedł około południa Zaklika, który przychodził zwykle tylko, gdy był zawołany lub gdy musiał coś oznajmić. Stał w progu ze spuszczonej rękami, Cosel podniosła głowę ku niemu. Milczał długo.

– Co powiesz, Zakliko? Cóż niedobrego?

– A gdzież na świecie dobre? – rzekł. – Chodzą już koło domu szpiegi, pytają. Chciałem tylko powiedzieć, abyś się pani ich strzegła. Nie myślę się, prędzej czy później zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni. Zamknij pani usta.

Hrabina się zmarszczyła.

– Musisz mnie już znać – rzekła – że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jej rzucić obelgę w oczy, będę mieć męstwo powtórzenia to każdemu, co słuchać ze chce.

– Pani – odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak, że rozmowa ma być skończoną – pani, na cóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonej potoczyły się dwie łzy gorzkie. Zaklika wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabiny. Był to van Tinen.

Hrabina знаła go z tego, iż raz już był do niej wysłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnymi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenie musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napełniały.

Przyjęto van Tinena. Oświadczył najprzód, iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc w Berlinie, dowiedział się o pobycie jej tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzód.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

– A gdzieżeś pan był, gdym opuszczała Saksonię?

– Ja? – rzekł van Tinen. – Byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o mdłości przyprowadziła nieszczęśliwą Denhoffową, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się, dokąd się pani udać podobało.

– Tak, więc się bardzo cieszę – odpowiedziała Cosel – iż mogliście o mnie zapomnieć; nic więcej teraz nad to nie życzę.

– Ja sądzę – odparł van Tinen – że i tam radzi by być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniałaś także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

– Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy.

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

– Jam nie ciekawa – smutnie rozśmiała się Cosel – myślisz pan, że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić to może? Wierzyłam dawniej w tych szalów szczerłość myśląc, że z serca się rodzą; dziś wiem, że je tworzy pycha i pustota.

– Bawimy się nadzwyczajnie – rzekł, jakby nie rozumiejąc, van Tinen. – Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tylu świetniejszych zabawach byłaś królową, jednakże...

Znać, chciał wyznania. Cosel milczała. Van Tinen, śmiejąc się, po dobrej woli opowiadać zaczął:

– Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

– Mieszkałam tam szczęśliwa – szepnęła Cosel. – A! To prawda.

– Flemming na równinie, pod Laubegast, prawie naprzeciwko Pillnitz dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

– A, a! – zawołała Cosel.

– Sześć najprzód pułków wyszło w pole – mówił przybyły – cała królewska lejbgwardia konna użytą była. Na wyżynach ustawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepysznie. Rozdzielone pułki postępowały dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych nikomu się nic nie stało, można było przysiąc z dala, że bitwa była najzaciętsza i przelew krwi okrutny. Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffową, z drugiej – hetmanową Pocielową, obie konno jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach. Reszta dam w poszóstnych powozach patrzyła nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

– Teraz mu dwie towarzyszy – rzekła – widoczny postęp, a w odwodzie ta ariergarda w powozach. O, rzeczywiście, to wspaniale i po królewsku!

Van Tinen zniżył głos.

– W istocie te dwie – dodał – nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrosne. Ale wracam do mojego opisu – począł znowu – nie opodał rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie Denhoffową, Pocielową, Bielińską i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

– I pan tam byłeś? – spytała szydersko Cosel.

Van Tinen się zarumienił.

– Nie, jam był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na wiwat biły działa i tak na przemiany grzmot armat i trąby towarzyszyły wesołym okrzykom.

– Prześlicznie – rzekła Cosel – i koniec?

– Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy, ale że chleba brakło, w każdy kawałek chleba wtknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturm. Żołnierze stojący w bojowym porządku posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci, co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani, padli; trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie dusili, kupy żołnierza wiły się po ziemi; widowisko było przepyszne, pękaliśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król z dala odpoczywał na pagórku z damami. Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce, stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem. Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa, zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi Jego Królewskiej Mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklankę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wywrócił. Nigdy Flemminga w takim nie widział humorze.

– Nie dziw – rzekła Cosel – obchodził swoje tryumfy, a mój upadek.

– Nareszcie król się zabierał wychodzić – kończył van Tinen – gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając, że tyle oczów na nich patrzało, i ozwał się głośno, tak żeśmy to wszyscy słyszeć mogli: „Bracie, kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz!”¹ Pani Denhoff, która króla na krok nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga, ale to przychodziło z trudnością. Flemming był tak szczęśliwie pijany, iż nic już nie widział przed sobą oprócz ludzi równie jak on napiętych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedział jej to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu, ale w tejże chwili zaczęła się do rozpułku śmiać. Pomimo tych zakłęk król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem, że zręczny lauffer ścigał króla krok za krokiem, inaczej – już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić, rozgniewał się. Koniuszego Racknitza, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi pani pokój, znam się z moim koniem, proszę się o mnie nie troszczyć” Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawalergardy, dwór i co żyło, za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie pochwycili. To ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

– Powinni jej byli pozwolić kark skrócić – odezwiała się Cosel.

– Najzabawniejszy był Flemming – dodał van Tinen – bo po odjeździe dam i króla jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę, więc brał pozostałe służące i kręcił się z nimi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał tej pięknej zabawy. I Flemmingowi nic nie było.

– Przecież – odezwiała się hrabina – nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słyszę, że Flemming wczoraj trochę się nie do rzeczy znajdował, ale Wasza Królewska Mość tego mu za złe nie weźmiesz”. Król do czasu śmieje się i przepuszcza – dodała – lecz któż zaręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu, gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on mnie, przysłużą. Król łagodnym jest jak baranek – rzekła śmiejąc się szydersko – nieprawdaż, panie szambelanie? A wiecie dlaczego? Dlatego, że gniewając się, popsuł-

¹ „Bruder, ich sage dir die Freundschaft aus, wenn du weggehst”. Pam. Von Loena.

by sobie zabawę. Potem, gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcej nie widział. Na tym komedia skończona!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmiłkł, przestraszony wyrzeczonymi przez nią wyrazami.

– Nie dziwię się tej goryczy, jaka płynie z ust pani – rzekł – jednakże...

– Tak, masz słuszość – przerwała – gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jej zapłatę, mogłabym mówić inaczej. Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien, ale okoliczności. Pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności, tak bezprzyczynne! Boć powinnam była śmiać się z Duval, cieszyć, gdy Duparc przyjechała, i niewiele więcej wartą Denhoffową wziąć za przyjaciółkę! Nieprawdaż, kochany szambelanie? Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod ręce na lipskim jarmarku w zgodzie serdecznej?

Śmiała się spazmatycznie.

– Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa – dodała – nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe, ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen, słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

– Słuchaj – rzekła, zbliżając się do niego – wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

– Pani!

– Nie przerywaj mi, słuchaj! Ja ci to przebaczam – kończyła – wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im to, coś słyszał ode mnie, niech znają głąb mojej duszy: między nimi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś słyszał ode mnie, z żywych ust hrabiny Anny Cosel, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz, gdy napotkam Augusta, w łeb mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci. Powiedz im i to, panie van Tinen.

Van Tinen pobladł śmiertelnie.

– Pani hrabino! – zawołał. – Jest to w istocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Pośadasz mnie pani niesłusznie, ale ja zostaję w służbie króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysiągłem mu na wierność. Tego, co słyszę z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! Pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tym, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę. To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

– Alboż ja ci bronię? – zapytała Cosel. – Ja cię o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową; August to pamięta.

– Ale to posłuży nieprzyjaciółom, na których pani nie zbywa, do nowego spiknięcia się na jej zgubę, to da im oręż w ręce!

– Alboż im na orężach zbywa? – przerwała. – Jeden mniej, jeden więcej nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada – im wszystko dobre. Czyż gdybym nawet była pokorną, uszląbym prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we mnie wroga. Moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak, jak oni, skałać i zbezcześcić nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom, van Tinen stał jak na mękach.

– Widzisz – dodała – taka jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, roztworzyła tylko duszę skrwawioną, nic więcej.

W czasie rozmowy oczy jej piękne to szklily się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił. Van Tinen patrzył, w końcu zapomniawszy swej roli, jakby na niezrównaną artystkę ze starożytnej tragedii greckiej. Miała w sobie Cosel wszystko, co stanowi Medeę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen, nieraz wychodzili poruszeni jej wymową i pięknnością promieniającą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się także oderwać, z wlepionymi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

– Nie mogłaś mnie pani boleśniej upokorzyć niczym nad to wyznanie – rzekł – wystawiłaś mnie na próbę. Na cóż mam to kryć przed nią? Jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina, spytanym będę. Na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwycone zostaną i w sumieniu mym będę cierpieć, żem się do jej nieszczęść przyłożył.

Van Tinen w tej chwili był szczerym.

– Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać – odezwała się Cosel. – Myślisz, że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? Nie, nie! Mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydzę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce na powrót, zrzeknę się korony świata. Jam go kochała! Całe życie moje w nim było! On mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi! Bohater stał się poliszynelem, bóstwo zmasało się kałem, a więc plugawy świat i życie ohydne!

Szambelan starał się ją pohamować: płakała.

– O, moje sny złote! O, moje marzenia dziewicze, gdzieście się rozwiały?! Nie ma was, nie ma!

– Racz się pani uspokoić – przerwał coraz mocniej wzruszony i pomieszany posłaniec – nie uwierzysz pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jej, że moje przybycie...

– Niceś nie winien – odparła Cosel – pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź tej niepocziwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim górę.

– Zaklinam panią – odezwał się – uchodź stąd! Więcej powiedzieć nie mogę.

– Jak to? – spytała Cosel. – Czy i tu mi jeszcze co zagraża? Czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnię, jak król polski – Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał.

Van Tinen stał milczący; zacięte usta świadczyły że więcej powiedzieć nie mógł.

– Dokąd uciekać? – szepnęła sama do siebie – Ziemi braknie; ja daleko żyć bym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... Niech zresztą zrobia już ze mną, co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci! Nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan, chąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwyił za kapelusz.

– Żal mi pani szczerze – rzekł – lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach, nikt w świecie ani uratować, ani na los jej wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabiny.

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

– Moi przyjaciele? A policzcie mi ich, kochany panie van Tinen – odezwała się żartobliwie.

– Masz ich pani więcej, niż sądzisz – rzekł gość – ja pierwszy!

– A! Pan pierwszy, prawda! – dodała. – Takich, jak pan, wielu bym naliczyć mogła. Przy najmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić swe ogromne łupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! Takich, takich! – rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmięszany, iż nie umiejąc nic odpowiedzieć już, uklonił się z lekka i ścigany czarnymi oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

VI

W Dreźnie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zręczności, materiału i żywiołów.

Król starzał, a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stokroć jest do zbawienia trudniejszym. W młodości bawi to nawet, co smutnym by być powinno, później rozrywka staje się posępną, wszystko – czczym i pustym. To, w czym dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August też był coraz do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płótych amarach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się zmysły. Czcza galanteria francuska okrywała to swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniejsze jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się, gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzeć, jak biedny jeleń miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkim uśmiechów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącą ucho, włoską muzyką. Aby się napawać melodią, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zrozumienia, że niechętnie o niej słyszy; nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiadano, że znaczne z sobą sumy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendahl, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, nie pytając króla nawet, ślali szpiegów i kreślili plany, jak by ją pochwycić, a korzystając z tego, owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednymi – zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jej byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jej zawdzięczał kanclerz Beichling, że mógł resztę życia na wsi w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić. Löwendahl przez nią był polecony królowi. Z po-

chlebców bez liku nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej. Jeden Friesen nie wziął jej za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie. Reszta, choć czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju, ażby ją zgubiła.

Jątrzone więc króla co dzień, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina pod wrażeniem pięknych oczów Cosel, zrazu walczył z sobą. Żał mu jej było. Nie pokazał się zaraz na dworze, ale go Löwendahl wyszpiegował i zawezwał do siebie.

– Jakżeś ją znalazł? Mów! – zawołał. – Zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niej dotąd pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna! Nam daleko z Denhoffową i Pocielową jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda, że ogromnie króla kosztują, i on sam mówi, że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem nam z tym lepiej. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? Mówi dotąd o przyrzeczeniu ożenienia? Odgraża się, że strzeli?

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

– To pewna, że nieszczęśliwa kobieta.

– Nieszczęśliwa! Sama sobie winna! Trafiały się jej najlepsze partie, najwierniejsi sprzymierzeńcy, oszalała na tym przyrzeczeniu ożenienia, sądzi się ciągle królewską żoną, niemal królową. Czy i dotąd?

– Tak się zdaje, bo w niczym mi się nie widzi zmienioną – rzekł van Tinen.

– Ale mówże wyraźniej, opisz, coś widział – nalegał Löwendahl.

– Przyznaję się wam, iż to, com widział i słyszał, serce mi zakrwawiło. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy, ale w nieszczęściu swym wzbudza uszanowanie, jest doprawdy cudowną, jest wielką.

– Więc tym niebezpieczniejszą – dodał śmiejąc się Löwendahl – ale zbrzydnąć musiała?

– Zbrzydnąć? – pochwycił pierwszy. – Piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była, ani śladu łez, ani bólu na tej marmurowej twarzy. Od lat ośmiu najmniejszej zmiany w świeżości, najłżejszego zmarszczka, promienieje młodością.

– Tym gorzej – powtórzył Löwendahl – tym gorzej! Król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędziej zawczasu twarzyczce Denhoffowej znowu by na nim mogła zrobić wrażenie.

– Niewątpliwie – potwierdził van Tinen – bo je czyni na każdym.

– Mówiłeś z nią?

– Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całą goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i donieść, zwiększając, Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznana, biedną, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody. Przykrzyło jej się to naleganie nieustanne i postrachy. Byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi do brze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendahl tegoż dnia stawiał się u pani Denhoffowej. Wybrał godzinę, gdy była z siostrą, i począł od pochlebstw, które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie, przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel i zakończył tym, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała:

– A cóż się z nią dzieje?

– Siedzi w Berlinie pod opieką króla pruskiego i używa danej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko, co się tu działo i dzieje, w najszkaradniejszych malować kolorach. Jest to niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli. Zresztą – dodał Löwendahl – mniejsza

by o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzeli.

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki, na której siedziała, zakrywając oczy. Pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

– Kto by się tam tego lękał albo na to uważał – zawołała – to są brawady bezsilne!

– Tak by się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabiny nie znali – przerwał Löwendahl – szczególnie ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jest to kobieta, która nigdy nic próżno nie mówi.

– Szczęściem nie ma żadnego podobieństwa, ażeby kiedykolwiek z królem spotkać się mogła – dodała Pocijowa.

– Jak to? Czyż pani sądzi, że ona czekać będzie sposobności, a nie szukać jej? Wszak tak samo, jak potrafiła raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezn, czekać na króla choćby w ulicy.

– A! tak, tak! – poczęła gorąco Denhoffowa. – Ja przeczuwam niebezpieczeństwo. Król jest nieuważny, tę kobietę należy... Ja nie wiem! Cóż z nią zrobić?

Löwendahl ruszył ramionami.

– Kto woli swej używać nie umie, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem; rozumie pani.

Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to, co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Löwendahl zdał się tego domyślać i dodał:

– Najjaśniejszy Pan nigdy dla osób, które chociaż krótko kochał, nie był surowym. Świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły, ale są wypadki...

Na tę radę nadeszła najrzeczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska, pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensją, przeglądająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne białe ręce, okryte pierścieniami, wystawująca chętnie na uwielbienie. Powitała Löwendahla z uprzejmością poufałą, z uśmiechem i popatrzwszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniósł z sobą przyjaciel domu. Tam, gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie względy, litościwa w innych razach, stała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całym jej mieniem i przyszłością; co im zagrażało, doprowadzało ją do szaleństwa. Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

– Ale bo też szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! Wyzywa go! Urąga się, sama winna będzie, jeśli sobie ciężki los zgotuje! Temu raz koniec położyć należy!

Marynia miała króla przestrzec. Złożono to na nią, lecz po namyśle marszałkowa znalazła, iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić. Postanowiono więc, aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Löwendahl, w tak dobre ręce powierzwszy sprawę swej zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w Ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingu, świeżo, wspaniale i z przepychem królewskim dokończonego. Była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządzony był obyczajem i smakiem wieku: w kwatery kwiatów poobsadzone bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mitologicznych figur ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze niż we dzień. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe, w których przygotowano siedzenia, dozwalały parom przechadzającym się używać spoczynku w cieniu i ukryciu. Na balkonach galerii otaczających dokoła Zwinger grały muzyki, a melodie ich rozchodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora. W pośrodku ogrodu rozbity namiot, jaśniejący całą iluminacją, stanowił salę improwizowaną, w której po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybył ubrany cały w niebieskie jedwabie ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo i chciał sobie znać młodsze jeszcze, pierwszych swych podróży po Europie przypominieć lata. Denhoffowa także tego wieczora była w sukni bładoniebieskiej i w bieli i było jej wcale do twarzy. Zmuszając się do wesołości, powitała króla, którego każdy bawić musiał pod karą niełaski, i zaczęła od pustych żarcików. Część wieczora upłynęła na śmieszkach, do których Pociiejowa pomagać umiała.

Pani hetmanowa i siostra jej były w jak najlepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby była być zazdrosną, nigdy tego uczucia oznaki najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa, mała, delikatna, jeszcze na pozór węższa od siostry, daleko była wytrzymalszą od niej. Polska i Saksonia naówczas zdumiewała się owej sławnej konnej podróży jej z Friese-nem z Warszawy do Gdańska i na powrót, odbytej z takim pośpiechem, iżby pocztyliona znużyła. Pociiejowa ani dnia po niej nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffowej w ciężkich razach pomagała przy królu w rozmowie, w naprowadzeniu jej, na co była potrzeba, i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki wtrącić coś o Cosel. August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawniej za czasów hrabiny bawił się łatwiej i z większą ochotą, że może tamtej żałował. Pełen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam nic żałować i o niczym pamiętać nie było podobna. Denhoffowa pochwyciła tę zręczność, by ująwszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Cosel, lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nieszczęśliwie. Gdy w pomoc jej czatująca nadeszła matka, naówczas obie poczęły lament z tematu hrabiny.

Królowi się to widocznie nie podobało, spuścił głowę i nic nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się, wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

– Kochana hrabino, chciej być o mnie spokojną, czuwa nade mną wielu proszonych i nie proszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nierad mówię o tym, chodźmy i wmięszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturm do Augusta spełził tedy na niczym. Flemming i Löwendahl powtórzyli po wieczerzy przy kieliszkach to, co te panie zaczęły niezręcznie w Ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król dał im mówić i słuchał. Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakrotnie.

– Słuchaj, Löwendahl – rzekł szydersko – dajesz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojej osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i której winienesz to, czym cię zrobiłem. Powinien bym ci być wdzięczny, a jednak powiem szczerze: stajesz się dla mnie dziwnym. Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Löwendahl umilkł, podstawiał tegoż wieczora wprawdzie van Tinena z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki skończyła się na niczym. Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jej piękność, jej sława, zbyt ciekawą – osoba, zbyt głoszący – dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto się ubiegać o jej znajomość.

Większa część osób otaczających dwór Fryderyka znaną jej była z pobytu kilkakrotnego w Dreźnie. Nudzono się tak bardzo jednostajnymi paradami wojskowymi, które król codziennie odbywał, i wieczorami u najjaśniejszego pana lub królowej, iż każdy spragniony był jakiegś rozrywki.

Król sam częściej bawił w Potsdamie lub Wusterhausen niż w stolicy, nie chybił nigdy ciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potem posłuchanie ministrom lub szedł na przechadzkę, o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potem zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony

ktos obcy, grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytuń. Tak schodził czas w dosyć poufałym, ale też i nudnym kółku do jedenastej, o tej godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędownie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmej u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u którego z dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się tu śmiano po cichu, a nade wszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na serio. Wojsko saskie przyodziane w złoto, galony, lamy i pióra nie mogło się ani porównać z pruskim, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytym, mało strojnym, w którym czerwony mundur huzarski i trochę galonu stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi powiewała tu wszędzie jedna, biała, z dumnym nad lecącym orłem godłem: *Nec soli cedit*. Naówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą, przyszłość ją wszakże usprawiedliwiała.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo wstępu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannewitz wypłaciła królowi... policzkiem, nie spojrzał pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karbach i życie wiódł tak oszczędne, iż od jego stołu wstawalo się zwykle nie tylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość – niekiedy do bezlitości, obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło, jak z góry przykazano. Szlachta próbowała wprawdzie nieco się opodatkowaniu opierać, ale Fryderyk zapowiedział jej z góry, że jego władza, jak skała z brązu, nie da się pożyć niczym.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które nazad szły do skrzyń nazajutrz.

Miewał król fantazje, lecz wcale innego niż August rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po chudej wieczerzy zbierali się poufali do tabacznego kolegium, to jest do izby, w której król fajkami częstował. Przy fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Pośrodku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, jenerałowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić, czy nie, i stawiano przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytuniem było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokrację, urzędników – główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebierały miarę, gdy się w Wusterhausen mieszały do nich niedźwiedzie, a podszczuci zapaśnicy kuflami bić się zaczęli, lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabacznym kolegium i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej, aksamitnej sukni z czerwonymi obszlegami, haftowanej w zające, w czerwonej kamizelce, w peruce omal nie spadającej do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawil i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreźnie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz, gdy przy wieczerzy nowo przyjęty kamerdyner z obowiązku czytał modlitewkę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi”, zdało mu się przyzwoitszym obrócone mu do króla przeczytać: „Niech Was Bóg błogosławi”. Nie podobalo się to królowi: „Hun-

cwocie, czytaj, jak napisano! – zawołał. – Przed obliczem Bożym ja taki jestem huncwot, jak i ty”.

Po zabawach w tabacznym kolegium, po chudych dworskich obiadkach, których własna córka króla opis nam zostawiła, nie jeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytworniejszej.

Znajomi hrabiny Cosel zaczęli czasem do niej przybywać. Znużona kobieta otworzyła drzwi dla garstki tej gości i po cichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka, ci-chutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tym był uwiadomiony, bo wiedział dobrze o wszystkim, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzenia hrabiny. Zwykle przychodzili przed wieczrą, a że ona sypiać nie mogła i do pierwszej siadywała, gawędzono dobrze za północ. Drzwi potem otwierały się po cichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posadzać króla, pod którego schroniła się opiekę, o wielką miłość dla Augusta, zbyt wielkie były ich życia i charakterów różnice, nie wystrzegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które stamtąd dolatywały, a hrabina nie kryła niechęci swojej dla płochego Augusta. Niejedna wiadomość ciekawa dostała się stąd, przez młodych idąc do starych, aż do tabacznego kolegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał się dziwić, że Cosel była tak śmiała, bo na pozór wielką miłość i szacunek wyznawał dla wspaniałego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykli młodszy goście zebrali u Cosel, niespodziewanie przywłókł się i stary generał, należący do tabacznego kolegium. Ostudziło to w młodszych zapał do swobodnej rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymyślań na króla. Stary generał głową potrząsał i słuchał, dziwić się zdawał i nie dowierzać. Dosiedział tak do północy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco. Zdziwiło to trochę Cosel. Stary, który mówił mało, zbliżył się do niej, żegnając ją z wielkim uszanowaniem:

– Pozwoli mi hrabina uczynić jedną małą uwagę – rzekł ochrypłym głosem – bardzo się u niej przyjemnie czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo stąd wychodzi na ulicę. Łada wiatr to zanieś nad Elbę. Zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego boki takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca; królowi by to było markotno.

Cosel się zmarszczyła.

– Jak to? – spytała. – Więc u was, w domu własnym, między czterema ścianami, nie wolno mówić, co kto ma na sercu?

– Mówić wolno – rzekł generał – ale powiedziawszy, można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

– Jak to, i ja?

– Kochana hrabino – rzekł wzdychając stary generał – nawet wam by się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkim, kraj to taki i porządek. A ja bym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna, a za to nie ma biedy.

Cosel spuściła główkę smutnie.

– Myślicie, że ja to mówię jako stary gdera, któremu się coś przywiduje. A! Nie, wiercie mi, że może mi kto szepnąć, abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc, wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie. Nie usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufałe zebrało się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do tej surowości, której się nie spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu generał-gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił wężem, a potem zapytał:

– Czyby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencję i w spokojniejszym kątku, w Halli zamieszkać?

– Ja w Halli?! – zdumiona przerwała Cosel. – A cóż bym ja robiła w Halli?!

– Wie pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie; nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie wiedziała, co ma odpowiedzieć zrazu, słuchała tych pochwał, coraz bardziej zdziwioną się nimi okazując.

– Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

– Rzecz to jest dziwna – odpowiedział Wartesleben. – Najjaśniejszemu Panu ktoś o tym oznajmił i król wydał rozkazy, ażeby tam pani wszelka opieka była daną. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiej już pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzyła milcząca; łzy popłynęły z oczów, załamała dłonie.

– To więc jest rozkaz – odezwała się w końcu – to wygnanie nowe. Za co?

– Król sądzi, że tam pani będzie lepiej. Hrabina wie, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiwa, sięga daleko. Tam, w Halli, nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda.

To mówiąc, powstał.

– Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano – dodał. – Czas jest piękny, a podróż można odbywać powoli. Lecz że drogi nie zawsze bezpieczne, Król Jegomość ofiaruje jej kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanteria bezprzykładna. Za to powinna mu być pani wdzięczną.

Generał Wartesleben skłonił się bardzo grzecznie raz i drugi i wyszedł, zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz, który ją tu dosięgł, nie myliła się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli. Oburzał się w niej duch nieugięty, a każdy pocisk taki nową w niej energię pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wzdychając, pracował znowu nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jej dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnymi, ludzie strwożeni rozeszli się po cichu i zdało im się, że spojrzeli na ofiarę, którą wieziono na rusztowanie.

VII

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokąznym, mieszczańskim domu, nie opodał od gmachu, w którym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale, w oknach pierwszego piętra od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dnie siedziała w tym oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jej, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek, co się na niej malowało, zwabiały tłumy ciekawych. Nikt w Halli nie znał tej kobiety, od niedawna zjawiała się tak w tym oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna; wzrok jej nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbłąkał się na twarz ludzką, patrzała gdzieś w przeszłość czy w przyszłość. Czasem tylko, gdy tłum się zebrał, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczynała głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jej nikt. Sługa przynosiła jej z sąsiedniej garkuchni jedzenie. Niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijsie; puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było naówczas w Halli mowy o czym innym prócz o tym cudnym zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miały jej oczy, taką zagadką była ta wielka pani, ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niej pani: pańską tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jej zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną kobietą. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb pokoju i długo potem nie widać było nic oprócz białej firanki.

Gospodarz domu, pytany ostrożnie, gospodyni, natarczywie badana przez sąsiadki, sługi nawet, na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruczełi ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była z daleka, chora, obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak przechadzał się czasami ulicą to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznajomy, który tak wyglądał, jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwległym murem zasiadali żołnierze i niepotrzebnie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznajomą, o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel, lecz jakżeż teraz zmieniona!

Ostatnia podróż złamała męstwo kobiety, duszę jej napęliła trwoga, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nad wyraz biedną. Zemsta, co ją ścigała, była tak długą, niezblaganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach, swobodna, ratować się ucieczką, w Halli była już niewolnicą. Zaklika, który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć [się] nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała, jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczną. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć; cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmięszany, jakby nie wiedział, co powie.

– Mów pan, z czym przybyłeś – odezwała się Cosel – bo wiem, że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

– Mylisz się pani – rzekł van Tinen – jedno i drugie. Wolałem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, który by mniej miał na jej nieszczęście względów.

– Nie miej pan względów – odpowiedziała Cosel – mów otwarcie. Cierpię wiele, ale męstwo w sobie wyrabiam, na wszystko jestem gotową.

– A! Gdybyś pani gotową tylko była na jedno – odezwał się van Tinen – na trochę rezygnacji i łagodności. Wszystko by jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

– Czegoż chcesz ode mnie?

Van Tinen westchnął.

– Jam posłaniec, z czym mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma, które jej dał niegdyś... przyrzeczenia.

– I sądzi, że mu je oddam, abym z żony spadła na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen – dodała spokojnie – jeśli po to tylko przychodzisz, jedź nazad i powiedz, że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru!

– Pani, na miłość Boga – począł przysłać – nie zarzekaj się! Możesz uporem swym spowodować największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawałka papieru odzyskać możesz wolność, wszystko.

– Serce Augusta – szepnęła Cosel. – A! Nie, nie, nie wierzę w nie, nie ma go tam w tej piersi brylantami obsypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto ostygłej! Nie odzyskam nic, bom na wieki, co najdroższe straciła! Nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to, co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na tej prośbie, siedział parę godzin, nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale litując się, pozostał dni kilka, dając czas do namysłu. Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiny. Powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem.

– Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto, cześć leży; umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielet człowieka: żółty, blady, obciągnięty skórą sfałdowaną, straszny a niemy. Gdy spojrzał na ludzi, od tego wzroku nienawiści pełnego cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść, co szuka tylko pozoru, aby się stała wściekłą.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpiecznie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej zmywy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czymś wracając i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko:

– Nieprawda? Wszak już jestem uwięzioną?

– Strzegą nas dokoła.

– A ciebie?

– Mnie dotąd nie.

– Trzeba, byś mnie porzucił i był wolnym.

Zaklika stanął i drżeć począł cały.

– Ja? was, panią? porzucił? A cóż ja zrobię z sobą? A gdzie się ja podzieję? A do czegoż życie przywiążę? Więc chyba iść i w studnię, i umrzeć.

– Nie – odparła Cosel – to nie koniec mojej niewoli, ja go znam; to początek. Potrzeba, żebyś ty był wolnym dlatego, ażebyś może mnie uwolnił.

Rajmund się zadumał.

– Potrzeba? Mów pani.

– Będiesz wiedział, gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić. Kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafi. Dam kartkę do niego, potrzeba, ażebyś je miał.

– Ale ja...! – oburzył się Zaklika.

– Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań, skłonił głową posłuszny.

– Najprzód idź, spróbuj, pytaj, czy cię puszcza; zdradź mnie: mów, że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób, co chcesz. Na piersiach nosisz mój skarb i poniesiesz go; ja ci bo powierzam. Rozumiesz mnie, Zakliko?

Podawała mu rękę drżącą.

– Jednemu tobie wierzę! W tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni!

– Ja?! – oburzył się Zaklika i oczy mu tak dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. – Ja?! – powtórzył i wstrząsł się. – Umrzec mogę, ale zdradzić?!

– Więc trzeba, żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym. Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł. Nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadził z sobą najętego sługę i dziękował za służbę. Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali pod drzwiami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla tej pani, której życie był oddał, uczyła go tego, co najmniej umiał: chytrości. Poszedł do urzędu, wzywając rady i pomocy, mówił, że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać nie ma prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział, ile szlachty polskiej, pochwytanej na granicach, chodziło pod karabinami pruskimi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztownym.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiowano wiedząc, że się kłóci ze swoją panią i że ją opuszcza.

– Jedź do Drezna – powiedziała Cosel – głoś wszędzie, żeś mnie porzucił, i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej w pogotowiu. Usłyszysz, co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną, przybądź do mnie; jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeślibyś ściągnął podejrzenie, a pochwycić cię miano, papier, który masz przy sobie, zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszczone póty, póki isierkę będziesz miał nadziei, że siebie ocalić i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie – dodała brwi marszcząc chmurno – zniszcz, niech zginie, jak ja ginę. Ale niech oni nie wiedzą o tym, niech jak groźba i postrach wisi nad nimi, niech się lekają odkrycia, niech...

Słów i tchu jej zabrakło, podała mu rękę, którą Zaklika, przykleknawszy, całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa. Gdy dłoń tę od łez jego mokną wyrwała Cosel, załamała rękę i zawołała:

– Są jeszcze ludzie i serca!

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojniejszą, więcej zrezygnowaną. Zdawało mu się, że namyśliwszy się, może zwróci to przyrzeczenie i że się sama zlituje nad sobą, ale wprędce postrzegł, że się mylił, tłumacząc tak jej uspokojenie. Cosel powiedziała mu, gdy wchodził:

– Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal; nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię pocciwy mój kuzyn Löwendahl, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! Nieprawdaż?

– Więc wszystkie moje starania daremne?

– Tak, mój kochany panie van Tinen – dodała, pierścień z palca zdejmując – żal mi cię, niefortunny bogów posłańcze. Chciałabym, żebyś choć mej dobrej woli miał pamiątkę: przyjm ten pierścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego godzinom, nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mniej jak rana na rękę. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić. Cosel się rozśmiała dziko.

– Oszczędź sobie pracy, a mnie – nudy, mój kochany van Tinen. Wiem co do słowa, co mi powiedzieć możesz, ale słowa te, odbite od mojego uporu, próżne się toczą po ziemi. A! Dostyc tego już, niech się spełni przeznaczenie!

Jeszcze raz na wyjeźdźnym przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagłąc, ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

– Żal mi pani – rzekł – tak serdecznie mi żal pani, nie mogę przewidzieć, jaki los ją spotka, lecz...

– Wiem, że zawsze być musi smutnym dla mnie – odezwała się Cosel – ale to bynajmniej mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie, lecz je cofnąć? Królowi? słowo? dane kobiecie?! Oszukać ją?! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendahl może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie. Król tego żądać ode mnie nie może! To nie jego wola!

Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wiozł z sobą: pierwszy raz wysłany, spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty. Powoli stałość tej kobiety, męstwo, wytrwanie, charakter jej robiły na nim wrażenie coraz większe, tak że zachwiał się, zawstydził roli, którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim, czuł się upokorzonym. Wracał, gniewając się więcej na tych, co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianym męstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen czas miał spocząć. Dwór cały gotował się znowu na wielką uroczystość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu. Nie wezwano go więc, aby się stawił, bo wszyscy czym innym byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie spieszył. Rad był, że w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze, niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zameczek ze swymi wieżyczkami. Całe ówczesne towarzystwo, przy królu bawiące, zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części

świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciółek księżna Teschen, hrabina Königsmarck obok Denhoffowej i Pociowej.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono naprędce sale i gabinety, połączone z sobą galeriami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecji i czółnach holenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbite nad stawem, dwa rzędy baraków wystawionych naprędce – nie starczyły na pomieszczenie, i powozy służyć musiały za gospody na nocleg; a inni spali pod gołym niebem wśród drzew i nazajutrz rano, że nie każdy się kładł bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmięszął się w tłum, błędził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dziką mu się wydała. Król, który tu sam gospodarzył, niezwykłością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisjonowanych swych amatorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości, gdy mówił z księżną Teschen; Königsmarck pogardliwym okiem rzucała na Denhoffową, gdy król jej czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swym dziełem, iluminacją, wspaniałością fety, którą wydał, i nie spoczął, aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobrymi przyjaciółmi do pucharów i toastów. Tu językom puszczano wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić do woli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie. Przebrano wszystkie intrygi dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych. Löwendahl siedział także w końcu stołu.

– Zdaje mi się, że tego gładysza van Tinena dziś tu widział – rzekł król z przekąsem.

– Wrócił z Halli – odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pusty kąt sali.

– Van Tinen był wysłany do Cosel, coś przywiózł?

– Co zwykle od niej wszyscy – zamruczał Löwendahl – nikomu jej nie żał tyle, co mnie, lecz z uporem tym nie ma ratunku.

– Trzeba było w zamian za to pismo ofiarować jej swobodę i co by chciała!

– Powiada, że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

– Przecież raz skończyć to trzeba – dodał Löwendahl.

– Tak, jutro list wystosować do Króla Jegomości pruskiego, prosząc o wydanie hrabiny – dokończył król. – Co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

– A tymczasowo dokąd się jej Najjaśniejszy Pan udać każe?

– Niech ją zawiozą na zamek Nossen, namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć tej zuchwale wypowiedzianej mi wojny. Dosyć już tego. Głowę mi nią obija Denhoffowa, wiecznie o tym słyszę. Dać mi z tym pokój raz przecie!

Te słowa królewskie, wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanej zabawami wyobraźni, podchwyczone i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane.

Przypomniawszy Flemmingowi Augustowi. W liście do króla pruskiego, żądając wydania hrabiny, położono za powód nie tylko jej śmiałość przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie. Odgródki publiczne mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kuriera do Berlina. Król Fryderyk ani chwilę się nie wahał, przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

– Udasz się waćpan do Halli – odezwał się król do niego – znajdziesz tam hrabinę Cosel. Wezmiesz ją pod strażą na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy saskiej. Tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi, młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowej, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stanąwszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności nie spieszył tak bardzo z pochwyceniem pani Cosel. Przeszedł się parę razy pod jej oknami dla upewnienia, że mu nie uszła. Zobaczył ją i tym się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała, i kazał się jej oznajmić.

Jakkolwiek hrabina przygotowaną była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jej błądząco. Ducharmoi, skłoniwszy się, oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jej do granicy, gdzie zostanie oddaną władzom saskim. Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

– Co za niesprawiedliwość! Co za barbarzyństwo! – zawołała i strumień łez puścił się jej z oczów.

Od tej chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy. Ducharmoi podał jej rękę; zeszła machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do samej granicy nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał. Hrabina drgnęła: przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydaną być miała. W tej chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny, kameryzowany zegarek; oboje podała oficerowi.

– Weź to pan na pamiątkę ode mnie. Ducharmoi się wzdragał.

– Proszę pana, błagam, weź – dodała – niech to się nie stanie łupem tych obrzydłych Sasów.

Wypróżniła woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb powozu, zapuściła firanki i nie spytała nawet, ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

VIII

Z dawnej służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo; kobiety obce, twarze nieznane ją otaczały. Obejście się wprawdzie było dosyć łagodne i pierwsze życia potrzeby zaspokojone, lecz od chwili gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną, czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilnym spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwym, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatułki, papiery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel i tak milcząca, jak była w czasie ohydneho zaboru tego, co się zwało jej własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętnej, czującej się niewinną, a prześladowanej z zimnym i obrachowanym okrucieństwem? Na przemian łzy i gniewy, to omdlenie i do szału podobne obłąkanie i śmiech dziki obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą.

Zaledwie dawszy jej spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu. Dokąd? Nie mówił nikt.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karete; jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognionym po słońcu zachodzie pokazały się mury zamku, wieże, i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jej zupełnie było nieznane.

Zamek zdawał się pusty i dawno nie zamieszkanym. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Sługi musiały prowadzić osłabłą po wschodach wąskich, które wiodły na pierwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jej przyję-

cia. Były to stare mieszkania z oknami wąskimi, z ogromnymi kominy, z grubymi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękana.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach, które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebo pochmurne rumieniło się na wschodzie, sługi spały jeszcze, w korytarzu słychać było chodzącą straż tylko, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, które głęboko w framudze osadzone, dzienny blask przez szyby w ołów oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jej nic w życiu widzianego przypomnieć. Przed jej oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokręgu. Wśród niej gdzieniegdzie sterczała kupka drzew, widać było dachy i zza zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małej osadzie. Dołem szedł gościniec, sadzony karłowatymi wierzbami. Na gościńcu nikogo, tylko z głowy spuszczonej, porykując szło stado krów ku pastwiskom i pastuszek odarty je poganiał. Okolica była nieznana.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichymi krokami weszła Cosel do drugiej, obszernej komnaty. W środku jej stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kilka stołków, na murze dwa stare, zapylone, dziko patrzące wizerunki. Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś, w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i hełmy. Za tą komnatą, sklepioną jak pierwsza, była jeszcze krągła izdebka w wieżycy, z oknem na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórza, i osady, i znowu inny kraju nieznany, wśród którego na górach jeszcze parę gniazd rycerskich sterczało.

W krągłej baszcie było nieco sprzętu; pusta szafa w murze, a na jednej jej półce rzucona niegdyś, nie podjęta przez nikogo, wałała się stara *Biblia*; poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jej się wysliznęła i kartami luźnymi rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze, ciche mury zamczyska, w którym głosu życia ludzkiego słychać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwijając się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoivszy trochę ciepłego napoju, który połknęła, sama nie wiedząc, co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ławka pozwalała usiąść i patrzeć w świat, choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stada; potem tuman kurzu leciał po niej wirując i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły niepoliczone. W południe zastawiono jadło. Jedna z kobiet namawiała do stołu. Cosel poszła i patrząc na swój obiad więzienny, rozplakała się.

Inne były owe biesiady, gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jej czarnymi oczyma. Oczy te nie zgasły, ale szczęście jak mara szydersko pierzchnęło. I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę. Nie przyznawała się sama przed sobą do tej nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła, że Zaklika szukać jej będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna chodziła do okna, dokoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i wychyliwszy się zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa. Dzieciak nie zrozumiał, nierychło się zebrał na odpowiedź, nieśmiało przebaknął: „Nossen” i umknął przerażony.

Imię nawet niedobrze było jej znane. Parę razy przypadkiem niegdyś obilo się o jej uszy. Wiedziała teraz, że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci

i współwinnych, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszej niż oni niewoli. A z niewoli tej nie było w świecie człowieka, co by ją chciał lub mógł uwolnić. Przyszedł jej znowu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca.

Jechał z wolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy, podniósł głowę ku zamkowi, zdawało się, że jeszcze umyślnie zwolnił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą, twarz żółta, wychudła przypomniawszy wiernego sługę. Zadrżała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i ocierając nią niby opylone czoło, dał też znak, iż spostrzegł ją. Był to w istocie Zaklika. Z postawy, ruchu, choć w dali, poznać go mogła. Serce jej silniej uderzyło. Ten przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał, ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął, oglądając na zamczysko i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się stąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namysliwszy się więc, przebrawszy ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmann.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blady, drzwi pozamykał i najprzód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony, iż z nikim w Dreźnie ani się spotkał, ani mówił, że wrzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiero odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się, iż szmeru własnej mowy się lęka.

– Wy nic nie wiecie – rzekł – kto to uczynił, trudno zgadnąć. Powoli do tego przyjść musiało zapewne, ale dziś już miary jej nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, lodowaty, straszny! Gdy król zły jest tylko, przechodzi mu to prędko; gdy obrażony zawezmie się, nieubłagany jest. Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

– Tak, Cosel jest zgubiona – mówił Lehmann. – Gdy król komu złe wyrządzi raz, już go ścigać będzie i nie dopuści nigdy do oczu swoich. Cosel mu odmówiła oddania przyrzeczenia, jakie jej dał. Ona go nie zwróci, on jej nie przebaczy. Rozkazano zabrać jej wszystko. Löwendahlowi poruczono szukać wszelkiego jej mienia, pieniędzy, klejnotów, sum. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także. Król sam polecił szukać i spisać, co było, aby – jak mówi – ocalić to dla jej dzieci i wyrwać jej z rąk środki pomsty i ucieczki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

– Ode mnie też odebrano wszystko. Król przysłał, sprzeciwić się niepodobna, książki świadczyły.

– Jak to? Wszystko! Juścić nie tę zatajoną sumę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc, dobył zaszytą w rękawie kartkę. Bankier wziął ją rękami drżącymi.

– A wiesz ty – spytał – co by było nam dwóm, gdyby tę kartkę i tę sumę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami. Flemming, Löwendahl i inni chwyciliby radzi zrzeczość zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

– Więc i tę sumę im wydałeś? – zapytał zrozpaczony Zaklika łamiąc ręce.

Lehmann patrzył nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

– Słuchaj – rzekł – przysiąż mi najprzód na to, co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzeć chciano, nie zdradzisz.

Z szuflady biurka Lehmann wydobył zastawiony u niego przez księżnę Teschen krzyż brylantowy.

– Przysiąż mi na to! – zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł: „Przysięgam”. Złożył potem krzyż do szuflady i dodał:

– Ode mnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzył nań, a białe były aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

– A jeśli u ciebie znajdą pieniądze, gdy cię złapią?

– Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze, potem, i hrabina mi je też dać mogła.

– Ale cokolwiek ona miała, to dziś *fiscus* zabiera, nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

– Jam nigdy nic nie miał i u mnie nic szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehmann się zawahał jeszcze.

– Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje, ale niech nie mam na sumieniu, żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął po cichu liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju; znalazł wodę i wypił całą karafkę. Potem siadł zadumany w końcu stoła, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku memu i zobaczył go uśpionym, zrozumiał dopiero, co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjął go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na palcach przeszedł do drugiego krzesła Izraelita i usiadł, czekając niecierpliwie, aż się obudzi. Pragnął on bardzo, aby to jak najprędzej nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zaklika, który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy, wstyd mu było, że się tak słabym okazał. Rzucił okiem na pieniądze, po cichu zgarnął je do trzosa, w którym miał trochę swojego grosza, i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

– Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy – rzekł – żal mi was szczerze, ale jak od pocziwego czynu hamować? Widziałeś, żem się lękał, nie miej mnie za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednej rzeczy, ale posłuchaj wprzód. Miałem hrabiny sumy znaczne i długo, w naszych rękach pieniędzy się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takim nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niej i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek, który trzymał ukryty pod suknią. Milcząc, prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

– Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie, ja ciebie nie znam.

– To dla niej – rzekł Zaklika ściskając go za rękę.

– Wyjdź ogrodem – dodał Izraelita.

Bał się, nadto będąc znajomym, pokazać w mieście Rajmund, ażeby nie obmyślił, co miał czynić. Na przedmieściu nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas niejeden domek Wendów, którzy dawniej po całym byli Dreźnie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów, gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika, nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach. Tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z nimi znajomość. Rybak, z którym się najpierwej poznał, zwał się Hawlik. Zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązała się między nim drużba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i pokumawszy się z nimi, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biedna. Niegdyś mieli tu oni spory pas ziemi, ale

im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał. Sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jej zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jej brzeg, ale mało z tej piaszczytej ziemi było pożytku. Hawlik też rolnikiem nie był, wołał stawiać więcierze, iść z niewodem lub z wędką. Czasem się też poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne, lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał pod chatą z nimi wieczorami i tak rozmawiali długo o swej biedzie. Wend lepsze czasy pamiętał.

– Wszystko to wokół było nasze – mówił – ale różnymi sposoby wyzęgli nas z ojcowizny. Teraz się swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać, czym nas Bóg nie stworzył, lub wymierać. Po miastach nas nie dopuszczą do niczego; dość, by kto Wendem był, aby go popchnięto. Maleje liczba nasza, widzimy, jak ginimy, a nie ma na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zgon.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieśń serbska, nie ważyli się jej nucić, chyba po nocy i po cichu, i dzieci się jej uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika, ilekroć mu trzeba było niewidzialnemu być w mieście. Dla konia był chlew, choć niepokąźny, dla niego – posłanie na górze i misa kaszy na wieczerzę, i szklanka piwa, ale serca pocziwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy też o nic nie pytali, ani co robił, ani po co przybył; tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy widzieli, że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślami się biedzić. Nie wiedział, czy mu bezpiecznie się tu pokazać, aby języka dostać, i czy go albo nie uwiężą, lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrożnie się zakapturzywszy, poszedł mostem naprzeciw Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spotkawszy, najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swej godzinie szedł lub jechał zawsze na zamku pełnić służbę, która się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym, że się go u mostu o dziewiątej spotka. Dla większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na wschodkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Jakoż o godzinie naznaczonej stary trefniś ze swym spiczastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, począł go nogą trącać nie poznając.

– Hej, mości panie! Jakże mam nazywać! Czy mój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił, trefniś go poznał.

– Co się to z was zrobiło, mości Unglücku?! – zawołał. – Wyglądasz, jakbyś się ożenił! He?

– Powracam z podróży.

– Katolik! Prawda? To chyba z czyśca?

– Włóczyłem się po świecie – odparł Zaklika. – Cóż się tu u was dzieje?

– Co? Chcesz, żebym ja ci historiografem był tego, co na wołowej skórze nie spisać? – rozśmiał się Fröhlich. – Co się u nas dzieje? Dobryś! Spytaj, co się u nas nie dzieje.

Chwycił się za głowę.

– Nie wiecie, co się z moją dawną panią stało? – zapytał Zaklika.

– Ani nawet, kto była twoja dawna pani.

– Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

– Cyt! Na Boga! Któż to imię wspomina? Przy królu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się nie ma z czego, a ty wiesz, że ja śmiechem żyję i pewnie umrę ze śmiechu².

– Ale powiedz mi choć, co się z nią stało.

– Jak to? Ty nic nie wiesz? Gdzieżeś był?

– Daleko.

² Fröhlich istotnie ze śmiechu umarł w Warszawie, zob. Dr Vehse.

– Myślę, że i daleko o tym mówić muszą. Ta, w której niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono w niewoli u niego; i potrwa dłużej jej niewola, niż panowanie trwało.

– A gdzie jest? – zapytał Zaklika.

– Mówią, że siedzi gdzieś na zamku w Nossen, ale dla niej pewnie co poradniejszego zbudują – rozśmiał się Fröhlich z nałogu a smutnie. – Nie, nie! Nie chciałbym być kobietą! Prawdę rzekłszy, i mężczyzną być niedobrze. A ci śpiewacy włoscy, co są nijakiego rodzaju, mówią, że im też na świecie niekoniecznie wyśmienicie – paplał Fröhlich. – Gdybym miał do wyboru, chciałbym być... ośle. Mięsa oślego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy arię śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny. Dodaj, że apetyt niewymyślny i starą miotłą żywić się umie. Możeż być szczęśliwsza istota?

– Nossen! Nossen! – powtarzał zamyślony Zaklika, zapomniawszy o trefnisiu.

– Ja o ośle, a ty o Nossen! Co ci po tym Nossen, nie gadajmy o smutnych rzeczach; bądź zdrów!

Fröhlich, włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta, poszedł. Zaklika został. Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia, nie pokazując się nikomu, ruszył ponad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel. Domyślił się jej po białej chustce, a czuł, że jej z sobą pociechę przyniesie. W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skór pytał. I tak się rozgościł Złotą Podkową, a niby za towarem chodząc, miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, a straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytnej nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło, aby nimi uciekać można, toteż i straży u okien żadnej nie postrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzwi hrabiny. Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było łatwo, ale że góra była łysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika, że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wyleże. Gospodarz spod Złotej Podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka. Owszem, znajdował, iż ostrożność radziła dobrze się wyleżeć i wypocząć, ażeby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund, ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmistrzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tej pani, której wprzód złoćista ciżba skinienia patrzała.

Prawiono dziwy o uwięzionej.

Zaklika został, nie podejrzrywany, na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowanie skór, bezpieczniejszy już poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednej strony, kędy były lasy i pusty gościniec, prawie nie postrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tej jednak strony czy wychodziło jakie okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania. Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego sadła u gospodarza i położył się myśląc, jakby mu zamydlić oczy i pobyt w gospodzie przeciągnąć.

IX

Rano, gdy przy piwie grzanym siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo też z wielkim hałasem, bo dawniej żołnierstwo nie chodziło inaczej. Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu i jeden też z nich pilno przypatrywać mu się zaczął.

– Hej, hej! – rzekł sparłszy się oburącz na stole. – My bo się gdzieś znamy?

– Pewnie – odparł Zaklika – bom ci to ja dworsko służył długo, pókim się do handlu nie rzucił, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was też na straży u Króla Pana Miłościwego widział.

– A! Toś ten, co łamiesz podkowy! – zawołał żołnierz.

– Bywało to, bywało, żem i wołu, za róg wzięwszy, w miejscu osadził, ale teraz już i z baranem nie wiem, czybym tej sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił uśmiechając i podparł na stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał; przyjaźń się zawiązała dobra.

– No! Dostało się nam za pokutę – odezwał się żołnierz – na wartę do Nossen! Koło kogo? Spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić. Żeby choć byli dodali hrabinie z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czterdzieści. Nawet na tej pustyni nie ma ochoty z nimi pobaraszkować.

– A długoż będziecie tu siedzieć?

– Któż to może wiedzieć? Już ze snu człowiek puchnie, bo nie ma co robić, tylko o mur plecami i chrap.

– W karty by można grać – rzekł Zaklika.

– Z kim? O co? Mało co przy nas grosza i ochota odpadła.

Ziewnął, pijąc piwo, znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika, zagadawszy się niby, odprowadzać ich zaczął, coraz dalej, coraz dalej, aż do bramy, aż w dziedziniec i tak nie spostrzegłszy się, aż na korytarze się wsunął.

Reszta żołnierzy, biwakująca na słomie, nie zdziwiła się przybyszowi; owszem, radzi mu byli, siadł z nimi do gawędy i rozruszał znudzonych. Znalazły się karty, przegrał im parę talarów. Dopieroż byli radzi! Gdy odchodził, ciekawość go niby wzięła zamek zobaczyć i tak

jawnie się poszedł przejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika.

Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu się nie udało.

Zaklika, chorując ciągle, targując skóry, marudząc, starał się wkraść do zamku. Nie posądzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku, w której osadzono hrabinę, przytykała do drugiej, prawie pustej. Mieścił się w niej oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy potrafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i starał się go poznać bliżej. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedziało się powoli, w którą stronę okna mieszkania hrabiny wychodziły i że drzwi żelazne od baszty, od których miał klucze murgrabia, otwierały się na wielką salę, w której z dawna niepotrzebne, urzędowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom, rad by był zamek oglądać, ale na to stary dozorca zamilczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinie, a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić w murgrabi. Popatrzyli na siebie; zamilczał.

– Hrabinie – rzekł Zaklika – pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie, co zapewniają, że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie dziwiłbym się, panie Herzog, gdyby który się tu zjawił i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, żebyś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił.

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłonią brodę gładził mrucząc.

– Cóż byście wy poczęli w takim razie? – zapytał Zaklika.

– Byłaby to diabelska pokusa – odparł stary – zrobiłbym jak Luter: palnąłbym diabła w łeb kałamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

– A gdyby wam dano trzydzieści talarów? – spytał Rajmund.

– I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę – rozśmiał się Herzog. – Wielkim panom to się może upiec, gdy co podobnego robią, ale chudych pacholków wiodą na rynek i pod stryczek.

– A! Nie takąż to wielka winowajczyni hrabina ani tak by to wielka była wina dać jej pomówić dwa słowa z przyjacielem. Tak to się gada – dodał Zaklika – aby się gadało; ano, gdyby się przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak do świstania ściągnął i brodę pogładził. Minę miał śmieszną, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła mu jak napój mocny do głowy.

– Jeśli asindziej wiesz o takim przyjacielu hrabiny, co mógłby dać bitych, twardych talarów pięćdziesiąt, to mu ode mnie powiedz, niech przyjdzie, pogadamy.

Obejrzawszy się wkoło, Zaklika rzekł:

– Masz go przed sobą.

– Tegom się zrazu domyślał.

– Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z nimi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w tej godzinie, gdy kobiet nie ma przy hrabinie, gdy ona sama. Zapukamy do drzwi, rozmowa długa nie będzie.

– Gdyby nie te baby, co przy niej są – mruknął Herzog – wszystko by było łatwym. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

– Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

– A! Baba o niczym wiedzieć nie powinna.

– Spodziewam się – rzekł Zaklika – ależ ona może zaprosić nie wiedząc dlaczego; to wasza sprawa.

Narady te trwały długo. Herzog, człek już bywały, do takich robót wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdało mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem podbiegła do nich i ze swej strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

– Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czuwać, a co uczynić się tylko da – zrobię.

– Ułatwić ucieczkę! Ucieczkę! – poczęła żywo Cosel. – Umrę zaduszona tym powietrzem! Staraj się, płąć, czyń, co chcesz!

– To dotąd jest prawie niepodobnym, a przynajmniej wymaga czasu – żywo rzekł Zaklika. – Spuście się na mnie, iż uczynię, co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuście sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki. Oznajmie, co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął:

– Jedną sługę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole: Złota Podkowa.

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść, ale w hrabinę duch wstąpił. Skłoniła do modlitwy, podziękowała Opatrzności składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy. Zaklika, ten sługa biedny, na którego ona z góry swojego królewskiego majestatu ledwie spoglądać raczyła, nie zdradził ją przecie!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nie ukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie złąkomiło go. Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojną krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co tylko się da. Nie tyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił. Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabiny, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwym, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronna, a ze starych murów, podcieniów, przejść pozostały ganki, którymi i na zamek się dostać, i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jej dawne drzwi zawalone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale nie dosyć było z zamku wyjść, należało obmyślić środki ucieczki szybkiej do granicy i miejsce schronienia, którego by August nie mógł dosięgnąć tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim nic na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Szląsk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem od dawna były zerwane, miał znajomych, krewnych dalekich i powinowatych, a wiedział, że Sas oprócz stronników miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko, co było potrzeba do ucieczki, wcale niełatwym się zdało w Saksonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż jedzie się starać, a przygotować do uwolnienia hrabiny. Z Herzogiem zaś na wyjeździe w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszej sprawy przyszło.

– Z tysiącem talarów cichusieńko moglibyście wyciągnąć gdzie nad Ren, wysławszy wprzód rodziną, i żylibyście w własnej chacie jak u Boga za piecem.

Stary nic nie odpowiedział, głową trząśł.

Z żołnierzami na wyjeździe napiwszy się piwa i pożegnawszy ich „do widzenia” pod pozorem, że tu znów za skórą przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyliczył, mogły na wszystko starczyć, lecz ucieczka musiała je wyczerpać. Myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tam by już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem gorączki, wyczekując nowych wieści. Co dzień biegała do okna, ściągała sznurek próżny, spodziewała się jakiejś wiadomości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jej się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy

mu objawiła wolę swoją. Tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze sług, którą jej narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjaźne, młodsza wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej się obchodzić nawet z osobami obcymi, tylko jak królowa: do wszystkich mówiła „ty” i zapewniała o swej łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnej wielkości, czując się małżonką króla.

Nie inaczej też odzywała się i do Magdaleny, młodszej sługi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zeszła tonu. Nie potrafiła ją jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jej towarzyszkę i obudzając między nimi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne podziały lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jej życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakliki z powrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreźnie zachody to, iż go powszechnie znano i że szukanie powozu a koni musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić, człowieka dostać i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budziszynie i tam założył główną kwaterę. Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło już z Königsteinu miano uwolnić, aby miał czym powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu i jesień przyszła, i zima, a w tej porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena, przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Cosel rozmówić dłużej i umówić dokładniej, tak że ucieczka na pierwsze dni wiosny odłożoną została. Nie było wątpliwości, iż Herzog, skuszony zapłatą, ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedsięwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmyśłu i strachu zbyt ni dają pomocnikom. Herzog nieco podpiły wybąkał coś przed żoną, resztę ona z niego dobyła. Niewiasta przemyślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swej niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jej więc było udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać. Tym lepszym się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził nic nie mówiąc, uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnej małżonki. Czekano tylko wiosny. Cosel, uspokojona nieco nadzieją swobody, przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia hojnym podarkiem ujęła obiedwie kobiety, Zaklika świętował z Serbami swoimi między Budziszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała. Chciała, by jej towarzyszyła, gdyby z wiosną co się w losach jej miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia, strach ją ogarniał. Walczyła z sobą. Pod pozorem widzenia się z rodziną wyprosiła się na dni kilka do Drezna. Siostra jej była przy dworze Denhoffowej, pojechała do niej. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskiej, a nagroda wspinała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cosel mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendahla. Pierwszym skutkiem było przyaresztowanie kobiet obu.

Tego samego dnia jeszcze nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen. Podwojono strażę, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. W nocy pod oknami zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznajomego, który wraz z urzędnikiem poleconym miał przetrząśnienie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań gniew nią owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile? Nie śmiała pytać o nic, lękała się, żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem, po nazwisku nikt go tu nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ścigać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczoną w obecności tych, co ją odebrać chcieli. Dowodów zamierzonej ucieczki nie było żadnych oprócz powieści służącej. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć się stało nieznosniejszym. Przysłano sługi nowe, wylękłe i obchodzące się z hrabiną z surowością. Broniła ją tylko duma i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, mimo bardzo nasepionej twarzy litościwszego serca niż inni, zbliżył się do hrabiny ze współczuciem.

– Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie biednego chłopca, którego nieraz na straży przy królu, towarzyszącego w lepszych czasach Najjaśniejszemu Panu widziała – rzekł cicho. – Pełnię tu smutny i ciężki obowiązek, tylko dlatego się nie wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić nieco boleści. A! Nie pogarszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

– Chcesz mi dowieść współczucia – zawołała – powiedz mi, co odkryto?! Kto?! Jakim sposobem?!

– Szczegółów nie wiem – odezwał się oficer – rozkazy wyszły od króla przez marszałka Löwendahla. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca zamku wzięty na śledztwo i badanie.

– Kto więcej?

– Zdaje mi się, że oprócz sług nikt – rzekł oficer. – Będę przychodził co dzień – dodał – będę nad miarę surowym przy ludziach, ale w czym potrafię, pomogę i rad bym przynieść ulgę.

Skłonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka. Zaklika, który w Dreźnie dowiedział się z ogłosu powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkryto, przyczaił się czekając, ażali jego ścigać nie będą. Rozumiał to dobrze, iż mu się pokazać około Nossen nie można, a czuł zarazem, iż oznajmić należało hrabinie, że jest wolnym, że zatem na niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc, przebrany za żebraka, przekradł się do zamku. We dnie z sąsiednich zarośli dopatrzył, że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod nim przechadzał się na straży. Trudnym się stało oznajmienie o sobie hrabinie, łamał głowę na próżno, jak tego dokaże. Włócząc się mimo mrozu i śniegu po okolicy, drugiego dnia napotkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykle na podarki willi Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym, jak dzisiaj; wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka, schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrzawszy ciągnącego ku Nossen starego, z Dreznia znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wendów nieraz podarki kupował.

– W Nossen – rzekł – możecie, mości Treue, zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, sług koło niej dosyć, a grosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Byle się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyszczały.

– Dziękuję – zawołał podając rękę – za dobrą radę, na myśl by mi to nie przyszło!

– Biedna to teraz kobieta – dodał Zaklika – ale jej resztki więcej warte niż nasze bogactwa. A słuchajcie, panie Treue, jak się tam wproście do niej, to jej po cichu starego sługę przypomnijcie, bom ja nigdy u niej służywałem.

– A cóż powiem? – zapytał Treue.
– Powiedzcie jej, że wierny jej sługa, co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie. A z Nossen dokąd pociągniecie? – zapytał przy rozstaniu Rajmund.

– Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta za pasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzeba! – rzekł, w głowę się skrobiąc, Treue.

– No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zającami chodzę, to się może spotkamy.

Treue, jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy udał się zaraz na zamek. Żołnierze go precz chcieli odpędzić, narobił wrzawy takiej, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej się było porozumieć, ale posłał wprzódy zapytać hrabiny, czyby co kupić chciała. Dla samej rozrywki i widzenia nowej twarzy Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biednego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywką. Roztargnioną ręką rozrzucała pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue, dopatrzwszy chwili, w której nikogo nie było, zbliżył się do niej i rzekł po cichu:

– Kazano mi powiedzieć pani, że jej wierny sługa, co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabiny jakby blask nowego życia, promień radości, który ją przeleciał i oświecił.

– Kto ci to powiedział? – spytała.

– On sam, on sam, jasna pani – odparł Treue – spotkałem go tu w okolicy, podobno na myślistwie.

Po tych słowach hrabina szybko zakupiła, co jej pod rękę wpadło, i Treue zdziwił się niepomału, jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastreczył mu się znowu Zaklika. Stał wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

– A cóż? – zapytał Polak. – Powiedzieliście też o mnie?

– Aha! A jakże – rzekł Treue – i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem w istocie dobry interes na zamku i w miasteczku, Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedzieć, że też dobry uczynek spełnił, ale z tym się powstrzymał.

W Dreźnie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu, żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki pierwsze i drugie i męczyć, póki by się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczono obwinionego, odbierając mu miejsce tylko. Kobiety wyszły z więzienia nie wynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August sam teraz, obawiając się hrabiny, pilno czuwał nad jej losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na pierwszą wiadomość o pogłosce, iż ucieczka zamierzona została, rozgniewany, nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdyś biskupi meissenscy swoich więźniów zamykali. To samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiedzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu. Ten zamek, na którego drodze spotkała starą Mławę i wroźby pierwsze przyszłego losu.

W tejże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby wieżę Świętego Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrażonym. Nieugięty umysł tej kobiety urągał się z jego władzy i potęgi, jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to zuchwałstwo niedarowane, nieprzebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt ruch powstał w zamku niespodziany: z Drezna przysłano powóz i konie, straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewieziona została. Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wnijść do hrabiny z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może, los jej jeszcze zwiastował.

Cosel na pierwszy szmer niezwykajny w zamku zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych starej *Biblii* siedziała. Rzuciła się ku drzwiom. Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochala go nieszczęśliwa) spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jej się, że na święta nadchodzące przyśle jej w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryziopiórka było dla niej zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w ręku, a okulary w drugim, ręce mu dygotały.

– Czego ty chcesz?! – zawołała Cosel.

– Rozkaz Najjaśniejszego Pana, który natychmiast spełnionym być musi – rzekł ochrypłym głosem urzędnik. – Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jej najlaskawiej do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szału podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkanej, potem ryk i jęk. Urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc, co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach bólu, płaczu i osłupiałym milczeniu na przemiany wieziona, dnia 25 grudnia 1716 stanęła w bramie Jana i Donatha i oczy załzawione podniosłszy, ujrzała przed sobą groźną Wieżę Świętojańską, przeznaczoną jej na więzienie.

X

Stary zamek stolpeński był naówczas już na pół ruiną. Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się stare budowle i podtrzymywane, opustoszałe, ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy. Dowódca zamku, Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę. Dla uwięzionej, nieszczęśliwej ulubienicy Augusta przeznaczono jedną wieżę – Johannisthurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednej obszernej izby sklepionej składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawnym przeznaczeniu.

Dawnej pani pałacu czterech pór roku starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty. Niższe piętro, Burgverlies, już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalnym. Dwa wyższe, Johannisgefängnis i Richtergehorsam, przygotowano dla hrabiny. Jedno z nich przeznaczonym było na kuchnię i dla ludzi, drugie – dla niej.

Gdy wydobyła z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnej, sześciokątnej izby, na przestrzał oknami wąskimi oświeconej, ubogiej, nędznej, smutnej, gdy obejrzała się dokoła, rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby głowę zboląłą roztrzaskać chciała o mury. Na przemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szal i wściekłość opanowały ją tak, że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jej losów, choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jej piękność, niedola, rozpacz wyciskały łzy. Dodani jej stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szału, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jej zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szal, a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpliwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, której niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpacz. Żołnierze, pod murami chodzący na wartach, stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się, jakby dawne izby tortur odbzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich sprzed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milczące trzymało ją na łożu współmarłą znekaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Cosel porwała się z łoża, zażądała papieru, chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendahlowi i niszczone natychmiast, z zakazem, aby je kto śmiał otwierać. Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków, nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dnie całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jej chwilę nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpaczły przeszły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszej bytności swej na zamku przypomniła sobie te mury, które ją wówczas przeraziły posepnymi ścianami swymi. Z okien jej widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i w dali sine wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żołdactwa, znekaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszym przewinieniem tego jej naznaczonego dworu grzmiał chrypliwy głos Wehlena, który nie rozumiał najmniejszego pobłażania wobec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci, co pisali instrukcje, nakazywali wprawdzie grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, który by nawet marzenie ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury wysokie dokoła, wieża Świętego Jana wznosiła się ponad nimi wysoko, oknami poprzerynana tak, że straż niemal co chwila mogła, podniósłszy oczy, widzieć niewolnicę. Dwa podwórca bramami warownymi zamknięte przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straże, przy murach byli żołnierze. Sam zamek, na wysokiej górze, panującej okolicy, każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nie opodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabiny stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jej więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześniej.

Twierdza wprawdzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale stąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo też pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabiny. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęła dopiero czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabiny, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą – osłupiał, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar boży nadał jej wiekuiłą młodość. Śladu przebytych cierpień widać na niej nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jej oczów, białosc i świeżosc twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając się upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, obyczaj, mowę panującej. Rozkazywała, a w słowach jej przebijała się tym większa duma, im nieszczęśliwsze stawało się położenie. Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nie przeżyte, jednostajne! Cosel miała na zapelnienie ich wspomnienie tylko, a czasem... czasem wracała nadzieja. Przeklinała okrucieństwo Augu-

sta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla niej niemyym tym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla niej potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że rzuciła je w otchłań bezdenną, a jednak, jednak ulgę czuła, gdy myśl jej wylała się na ten papier, który być mógł tylko urągowiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać miano? Nawet pozbawić ją dzieci pod pozorem, że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą pałała przeciw niemu?

Gdy z Nossen chwymano naprędce, co należało do uwięzionej, ktoś rozproszone kartki *Biblii* zagarnął. Przyszły one tu z nią i hrabina zaczytywała się w nieśmiertelnej księdze, w której tyle ludzkich wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty, których część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej księgi. Posłała do Wehlena rozkaz, aby jej *Biblię* kupiono. Komentant odniósł się do Drezna, kazano spełnić żądanie. *Biblia* odtąd nie zeszła z jej stołu. Na jej kartach znajdowała, jeśli nie pociechę, to zapomnienie. Uczyła się z niej, czym od lat tysiąców było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna! Wiosna, w której się wszystko budzi wesołe i młode do życia, a która dla niej śmierć tylko przedłużać miała. W sąsiednich drzewach zaczęły przelatywać żwawe ptaki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży, aby je lepić na nowo. Drzewa zaczęły zielenieć i roztwierać się listkami ku słońcu. Ponad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się do życia, polami szły pługi i ludzie się przesuwali wolni, gromadami, a ona jedna była sama i przykuta. Stanąwszy w oknie i goniąc oczyma z dala ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jej byt, Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała, jak czasem żołnierz, stojący na straży, tak samo oślepiiony jej pięknnością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając, co tak piękna istota tak straszego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen, chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzył ku górze i czuł, że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana, Fryderyka Augusta. Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wąskie wschody i dziesięć kroków komnaty! I wiecznie to duszące sklepienie powietrze, którego słońce ogrzać nie mogło, i wieczne listy, co szły na stos, lub *Biblia* i łzy! Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży Świętego Jana był mały klinek ziemi, opasany murem twierdzy i ścianą wieży; miejsca tyle, jak na dostatni grób człowieczy. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka, i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się żdzbla trawy i posiane przez wiatry, nie nazwane kwiatki ubogie. Wehlen pomyślał sobie: gdyby choć ten ogródek. Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości – było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc, że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie tej, co jak kwiat pański zwiędła na łodydze.

Cosel wyjrzała w ten kątek i zobaczyła, że go kopano; przyszedł jej na myśl grób, odwróciła się. Dopiero gdy wiosna, co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty, Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swoich ogrodach i w Hesperyd Ogrodzie, i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogła. Zdawało jej się, że gdyby zamiast na kamieniach mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niej, odżyłaby znowu. Myślała, że kwiaty byłyby dla niej powiernikami i towarzyszami. Lecz prosić o to nie mogła królowa, cierpieć wołała. Witała z rana ogródek i żegnała go, gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jej powiedzieć słudze, że ten ogródek jest dla niej, że go sobie objąć może. W istocie uciec stąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze wschodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć. Powietrze zdało jej się upajającym, słońce – nieznośnym, światło – oślepiającym; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przyszła do siebie. Odtąd ogródek stał się jej całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękami własnymi pielęgnując kwiatki, które przywo-

zić sobie kazała. Niewiele ich było, mogła więc, znając krzaczek każdy i pielęgnując z osobna, wlać weń życie i oczyma go wychowywać.

Tak zesłała wiosna i lata bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jej nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jej, zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jej około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komendant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby nie podejrzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzód musieli się poddać starannemu opatrzeniu, aby z sobą nie wniesli pociechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słyhu o nim nie było. Aż jesienią późną Żyd, który przyniósł jej coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrawszy się wokoło bojaźliwie, szepnął, że ten, co podkowy łamał, żyje i kiedyś się pokaże. Dosyć było tych wyrazów, aby już uśpioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabiny z Nossen, musiał wszystko rozpocząć na nowo. Nie tajono bynajmniej, iż Cosel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała na niego i że dotknięta obłąkaniem, mieniła się być królową. Po cichu domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swej i lekkomyślności, z jaką w jej ręce dał cyrograf na siebie za życia żony, obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia w istocie, pomimo ciągle ponawianych żądań, odebrać jej nikt nie mógł ani go przez najściślejsze poszukiwania wynaleźć.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził nim nawet Denhoffową, chociaż ta ani tak wielkim przywiązaniem króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami pochłubić się nie mogła. Dwór nowej pani wprowadził był dosyć świetny, ale bliższe jej otoczenie żadnego politycznego znaczenia nie miało. Ona też oprócz zabaw i rozrywek nie panowała nad niczym.

Ci nawet, co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel, Flemming, Manteuffel, Friesen, Lagnasco, Vitzthum, z dała się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło, że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zasługiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór, po dziesięć tysięcy talarów wydając na szumne zabawy. Wtedy już nawet niewiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niej przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z tymi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów ostrzegało, aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował, ale nie lubił, zapatrzwszy się na los Beichlinga, na to, co spotkało Imhoffa po altransztadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę, nie miał pokoju, dopóki się nie zabezpieczył. Posprzedawał dobra swe w Saksonii, powywoził pieniądze i wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Szląsk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marszałkowi Schulenburgowi. W tym roku, gdy hrabina uwięzioną została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutku i tęsknoty dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszechwładnych metres na królewskim dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg, którymi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał, co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znanym, pojechał je obejrzeć z bliska. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróżnych bacności. Tu się też dowiedział, jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając okrążył zamek i zwierzyńiec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabiny czujność była wielka, a do środka, nie będąc osobiście dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał sobie głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jaką by mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół – żadnych. Zjawiali się wszakże teraz co dzień przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył, iż powinien wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur, starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten, co ją przedsiębrał, miał za sobą żelazną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego starej rodziny było już pewnym zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli, że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał, co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało, że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Szaniawskiego, biskupa kujawskiego, którego za młodu znał, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarży kapitańskiej w wojsku saskim. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł. Podejrzliwym okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego, iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarży, które mu zaraz następczo. Zaklika miał coś grosza powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sypał obficie. Dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtem. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi, co roztargnienia lubili, przyjemna. Wojska, które się w Polsce uganiały za konfederatami, więcej służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych za zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności, jakie dokazywali, przed zdumionymi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz, odarty z pierwszych potrzeb życia, pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki, które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągały, a rekrutowanie ich starym przeszkadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyzny rujnowała skarb, a szła na korzyść komisariatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego, znajdowało się w wojsku: awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesa między oficerami były nieustanne. Generałowie żyli z żołnierzy, a ci, do rozpacz przyprawieni, musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc, jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński, pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 r., na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę, nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu, gdy pospieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historia pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w roku 1704 stawia także dobry przykład karności wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miano za niepoczciwe prowadzenie oddziału a zbyt nie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych, co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi. Towarzystwo, w które wszedł, nad hulankę i wesołe życie, prędkiego zarobek i roztrwonienie ochocze nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w woj-skowych. Patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmy przy pucharze do półmisek królewskich, nie brali powołania swojego na serio. Gdzieś w tej zbieranej drużynie, w większej części z obcych, Francuzów, Włochów i przybłędów różnych, złożonej, trafił się rzadki człowiek, co żołnierzem być chciał i umiał. Z takiego się tylko wyśmiewano. Nic więc łatwiejszym nie było dla Zakliki, jak wdziawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszami, przygotować sobie drogi dla dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał.

Stary Wehlen, o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w warcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania.

Cosel zdziwiła się mocno, po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego Izraelitę, które jej zwiastowało przybycie tego, co łamał podkopy.

XI

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleniało w ogródku, też same kwiatki podniosły z grządek wskrzeszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu, z dala w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze wschodków tuż schodziło się do maleńkiego, wydzielonego jej kąta ziemi, a i ten dla niej był łaską człowieka, który się jej ulitował.

Niejeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla niej maleńką laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego niski przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani, aby się jej upadłej wielkości przypatrywano, lecz znękana potem witała twarz ludzką, zapominając, że była królową. I niejeden żołnierz mimowolnie stanął, wpatrując się w nią z politowaniem, a młodszy oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień jej oczów.

Jednym z tych, co się najdłużej zawsze przechadzali, szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzeć pięknej Dianie, bo ją tak zwano, od czasu gdy w osobie bogini występowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen, synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie po części dlatego, żeby mieć kogoś musztrować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w warcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karierą.

Henryk von Wehlen wcale w niej zamięłowania nie miał, ale matka owdowiała, spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majątnego, bo był dosyć skąpy, zmusiła syna, by się poddał jego rozkazom.

Młody, dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się stąd nie mógł.

Jakimże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością chłopaka było przybycie tego nieszczęśliwego, a tak pięknego więźnia do pustego zamku! Z pierwszego wejrzenia na Annę Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bóstwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną, rzucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć i przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia ani się go mógł domyśleć. On był najprozaiczniejszym z ludzi i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie sobie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszystkich, teraz do żadnej.

Nieznacznie Henryk poddał mu ową litość, która stworzyła ogródek u stóp wieży, a później inne drobne usługi dla hrabiny. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku i Cosel, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze, iż na niego rachować by mogła. Wolała wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka, Cosel zobaczyła w podwórzcu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi: Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna. Zaklika opowiadał, że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjaciółmi.

– A! Kapitanie von Wehlen – mówił drugi kapitan von Zaklika – niewesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział, że tu na tej skale takie pustkowie, taka nuda...

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

– A! Mój panie – rzekł – kto się chce bawić, temu się do Stolpen nie ma co wybierać, ale spokojnie patrzeć na piękną naturę i żyć sobie cicho... bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła, aby nie dać poznać, że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

– Kapitanie Wehlen – rzekł Zaklika – jeśli to nie jest grzechem, toćbyście mnie jako nowego przybysza powinni hrabinie przedstawić.

– Z całego serca! – zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądanym.

Oba razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się znacznie wyżej niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę.

– Pozwoli pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkim skierowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniące jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało z między lip Laubegastu. Hrabina nie odezwała się ani słowa zrazu.

– Jesteście tu gościem? – spytała po długiej chwili milczenia, zniżając się do kwiatków.

– Ale zdaje się, że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a niełatwo się znajdzie, kto by tu chciał zastąpić towarzysza.

– O, to pewna! Okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł! – zawołała hrabina. – W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały dzień szeroki widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną mur nieprzebity!

Wojskowi stali niemi.

– Cóżście wy zgrzeszyli, że was tu posłano? – dodała.

Zaklika umilkł.

– Los chciał – rzekł – jam już niemłody, nigdzie mi nie jest weselej. – Skłonili się i odeszli.

Wehlen, porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja, i towarzyszowi też postarał się blisko dać przytułek.

– Kapitanie Zaklika! – zawołał. – Wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu reichshrabinę Cosel?! Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co strącona z jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! Co za gwiazdzista twarz!

Mówił to z takim zapałem, czerwieniąc, iż od razu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę, ten stał zamyślony, oparłszy się o stół.

– Kapitanie Wehlen – rzekł krótko – nie dziwuję ci się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapału mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał.

Wehlen uderzył się w piersi.

– Obaśmy żołnierze – zawołał – i uczciwi ludzie, na co się mam zapierać?! Straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie nie ma.

– Ale na cóż się to wam zdało? – uśmiechnął się Zaklika smętnie. – Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci. Tyle nieszczęść wysuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

– A, na wieki! – przerwał Wehlen. – Cóż jest wiecznego na ziemi? Ona jeszcze, tak mi się wydaje, że jest młodą!

Zaklika się uśmiechnął.

– A i wy mnie wydajecie się młodzi! – dodał.

Kapitan Wehlen zawstydział się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął:

– W istocie, macie słuszność, ja nim jestem, młodym, dziecinny! To prawda, lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wąsy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? Patrzy na nią z daleka tak, jakby się grzał na słońcu, i wzdycha, odchodząc do swej izdebki, dopóki przy warcabach nie zapomni o bogini. Żołnierze godzinami patrzą się na nią jak na obraz, a cóż mówić o dwudziestoletnim jak ja wartogłowie.

Wehlen ze swoim uwielbieniem dla Cosel był zarazem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzeć zamek. A było w nim istotnie co oglądać w siedmiowierzchniej wieży, w podziemnych galeriach i gankach.

Zaklika, wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierzchołkach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy, od której zapomniany korytarzyk wiodł niewygodną, ciasną szyją na zewnątrz, w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z nimi. Cały plan już snuł mu się po głowie. Hrabina nocą, przebrana po męsku, mogła zniknąć ze wschodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły straże, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem. Myśli te zwijały mu się po głowie, a Wehlen milczenie jego brał w innym wcale znaczeniu.

– Prawda – rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą – wam się to wydaje strasznym, zamurowanym, nieprzebytym! Wszedłszy w te lochy, zimno się robi nie tylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na umęczenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali jak krety w tej górze, aby w niej ukryć występki lub zdradę. A jednak wierz mi, kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas, i tych wież, i bram, i jam, i straży, łatwiej stąd wyjść i wniknąć, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potem znalazł się już sposób dostania się do pokoju hrabiny Cosel, nie obudzając podejrzeń. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnął. Hrabina milcząc podała mu rękę do pocałowania.

– Długo, nadto długo – rzekła chmurno – kazałeś mi na siebie czekać.

– Środka nie miałem – odparł Zaklika – kto ostatek waży jak ja, ten musi być oględnym. Nie o mnie mi szło ani o życie moje, lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

– Miałeś słuszność – odpowiedziała – ciebie, jako najwierniejszego sługę, muszę zachować na ostatek! Synowiec komendanta najprzód być może użyty.

- Jak to? Do czego? – zapytał Zaklika.
- Taka jest wola moja – odparła Cosel. – Wehlen się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiej... jest tu panem. Nie mieszaj się do niczego, zostaw mu wolne pole, pomagaj nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spróbuję uciec.
- Ale to nieopatrny i szalony chłopiec! – przerwał Zaklika.
- A szalonym tylko szalone się przedsięwzięcia udają – rzekła Cosel.
- Lecz jeśli się nie powiedzie? – spytał chmurno Zaklika.
- Cóż mi tam! – zimno odezwała się hrabina. – Uczyniaj mi co więcej nad to, co robiaj? Żal by mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszość, wy powinniście zostać w odwodzie.
- Młody człowiek – po namyśle począł Zaklika, z ostrożnością oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym – młody człowiek może nie mieć odwagi począć cokolwiek sam i nie sądzę, żeby to miał na myśli.
- Zostaw to mnie – odezwała się Cosel – ja sama tym pokieruję; dobrze, iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę.
- Szmer na wschodach mówić im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i zszedł zaraz na niższe piętro.
- Ubodło go to, iż Cosel odrzucała pomoc jego, lecz zawsze posłuszny, choć mrucząc, postanowił się zastosować do jej woli.
- Wehlen od pierwszych dni wziął go sobie za powiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabinie i że dla oswobodzenia jej dałby życie.
- Wy przecież nie zdradzicie mnie?! – zawołał rzucając mu się na szyję.
- Ja was nie zdradzę – szepnął Rajmund – tego możecie być pewni, lecz czy się wy nie zdradzacie co chwila sami i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?
- Zaklika dopatrzał się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnymi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępywać u stolika z warcabama i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historii rodziny saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojonej jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzeć, domyślać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.
- Nie wtajemniczonymu, nie wypadało mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:
- Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem, co macie w sercu i na myśli, lecz lękam się, aby i drudzy jak ja nie dojrżeli u was zbyt jawnych jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań; nie wiem i nie chcę się domyślać do czego.
- Wehlen, trochę nastraszone, wzięwszy pod rękę, wprowadził go w kąt ciemny.
- Jak to? – spytał. – Cóż widzicie? Czego się domyślacie? Mówcie!
- Nie chcę się domyślać nic, a widzę – rzekł Zaklika – iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale*.
- Nie rozumiem! – podchwycił Wehlen. – Cóż jest we mnie niezwykłego? Co obudza te podejrzenia? Całą moją winę, że zakochany, że szalony, że tą miłością żyję cały!
- Patrzcie, żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tym, że ja ludzie dojrzeć mogą i po niej dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć i...
- Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała nagle o przyspieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmiennym niż zwykle.
- Zaklika – rzekła – nie mieszaj się do niczego, bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.
- Jeśliby ucieczka się powiodła – przerwał Zaklika – cóż mam czynić.

– Natychmiast tam stawić, gdzie ja każe.

Słowa więcej wydobyć z niej nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutnym przeczuciem jakimś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjąć nie mógł. Wehlen, którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant, nie domyślający się niczego, skinął na Zaklikę, aby z nim szedł napić się piwa i sięść do zwykłej gry w warcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz, który zamykał bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze na pozór bardzo prostej, a w istocie pochłaniającej człowieka, który się do niej przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer, dający się słyszeć na zamku, że komendant wygrywający ciągle śmiał się z niego.

– Co ci dziś jest, kapitanie? – pytał.

– Głowa mnie boli.

Po kilku partiach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna, zapalono świece. Henryka, który zwykle w tej porze przychodził, nie było.

– Pewno mi się wyrwał na miasteczko – odezwał się komendant – bo mu tu nudno, i wołałbym to z lichem – dodał zniżając głos – niż że mi się pod wieżą modli do tej dumnej pani, której w istocie zdaje się, że jest królową, i ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę.

Na zamku cicho było, godzina, o której wachmistrz odnosił klucze, zbliżała się; zapukano do drzwi. Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika; najemnik, który pono przeszedł służby wszystkie: niemieckie, flandryjskie i holenderskie, nim się oparł w saskiej, zjawił się błady i z twarzą dziwnie wykrzywioną w prog. Wyraz jej uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant, choć go używał, nie lubił, ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

– Panie komendancie – odezwał się Wurm – mam mu donieść o ważnym wypadku...

– Cóż, pali się?! – porywając się z krzesła, krzyknął Wehlen.

– Nie, ale pański synowiec ucieka w tej chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha, ha!

Stary komendant rzucił się jak szalony ku drzwiom.

– II! Nie ma się czego obawiać – rozśmiał się dziko Wurm – ja na to dawno czekałem, czatowałem, widziałem, że to nie minie i nagroda nie minie.

– Co za kłamstwo bezecne! – zawołał komendant. – Jak śmiesz?!

– Ja spełniam mój obowiązek – zimno rzekł Wurm – w tej chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk, co mnie po pyskach trzepał, gdy zły był, głowę da!

Z wyrazem piekielnej zemsty uśmiechnął się wachmistrz. Komendant drżał, chwytając to za broń, to za klucze i nie wiedząc, co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szalu go doprowadzała.

– Kapitanie Zakliko! – zawołał. – Ratuj mnie, ratuj jego!

– Nie ma tu co ratować – odparł wachmistrz – jutro całe miasto się dowie i król, i dwór, nadto ludzi tę sprawę widziało. O, ja to dobrze urządziłem! Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no tom i ja na to gotów.

Mówili jeszcze, gdy hałas w podwórzcu od podziemia wieży o siedmiu wierzchach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów: hrabinę, która szła przodem niema i blada, i Henryka związanego, bo pistoletem jedną był sobie zadał ranę i życie by pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrupowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą biegła, nie oglądając się, na wieżę. Henryk stał. Stary zbliżył się doń łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla

biednego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Wurma, który szydersko się prześmiewając tryumfował.

Stryj był zmuszony w tej chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna. Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i łzy mu ciekły z oczów; zawołał zwykle go wyręczającego pisarza. Ze łkaniem i przekleństwami ledwie wyjątkane słowa usłyszeć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiając jak powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę, obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale na ostatek winę też przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepocziwie zamiast zapobiec nieszczęściu, czekał na nie, by z niego korzystać.

Podwojono strażę przy wieży, noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza też oddał pod areszt. Z papierami wysłano kuriera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stolpeński zamek smutniejszym niż kiedyś, niemym. Cosel leżała konwulsjami miotana.

Okolo południa już chmurą spadli z Drezna wysłani z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników. Na samym wstępie stary Wehlen nie mówiąc słowa szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania starego komendanta, odwoływania się do łaski i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła, przecucie mówiło jej, że człowiek, co ją kochał, płacił w tej chwili swą miłość życiem. Zaklika stał blady jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę, list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

XII

To była pierwsza próba hrabiny Cosel uwolnienia się z narzuconych jej więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka, i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku zmieniło się niemal wszystko w Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej, niż zasłużył. Świeży wypadek zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinie z wieży krokiem ruszyć się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z upojenia komendanta, który co wieczora po odebraniu kluczy bezprzytomny padał na łożo, Zaklika, nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją na wpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

– Jak to, już i ty mnie opuszczasz?! Ty? ze strachu?! – zawołała z oburzeniem.

– Ja nie z własnej woli stąd idę – odezwał się Zaklika cicho. – Kazano mi wracać do pułku; muszę! Odchodzę dlatego tylko, ażebym lepiej mógł służyć.

– A ja?! Mam tu wieki czekać?! – płacząc wołała Cosel. – Umierać powoli?!

– Rozkazuj pani – dodał Rajmund smutnie – zrobię, co każesz; nic mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu Cosel wstała z suchymi oczyma.

– Nie, tak jest dobrze, tak musi być – rzekła – idź, myśl sam, co masz czynić. Ty to będziesz wiedział lepiej, mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie – wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga, przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek. Nie było czasu do stracenia; hrabina wskazała drzewo w Pillnitz, pod którym sama zagrzebała, wyjeżdżając w przewidywaniu potrzebnej późniejszej, szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hrabiny, jeśli się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na wschodach zmusił go do spiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem wierny sługa nie mógł nic więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmował o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tym razem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi. Nakazała Zaklice czekać na siebie w oznaczonym miejscu na granicy z końmi i pieniędzmi. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jej wiele swobody, a tej użyła na zjednanie sobie porucznika Helma, który tak samo, jak Wehlen, rozkochał się do szalu w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcej wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze próbował szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jej, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie, zatopiona w *Biblii*, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego Zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jej, strój, ruchy, spojrzenie zdradzały stan umysłu niezwykajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w siebie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem mogącym nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swym nieszczęściu na łagodnym w Pillnitz wygnaniu, zachwycali się jej wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięćkroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrawszy ją, tak wielką; nadzwyczajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wyręło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jaką i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w *Biblii*. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do pocałowania. Staremu słudze łzy zakręciły się w oczach.

– Widzisz – rzekła – żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie prześladowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

– A, pani – przerwał nieśmiało Zaklika – czyliż się nie obawiasz, by znowu...

– Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego – rzekła spokojnie. – Ten człowiek jest moim, władam nim, robi, co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradzi!

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan. Drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini z zupełnym spokojem ducha: Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zaklika, wzięwszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezpieczenie, z końmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą Zaklika stanął na straży. W ciszy niczym nie przerwanej upłynęła noc, nadszedł brzask... on czekał na próżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy jadący od Stolpen w gospodzie rozpowiadali, że zamknięta w twierdzy hrabina już po wyśliznięciu się z zamku wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i skazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o czym innym. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wąskiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę, od strony, gdzie nawet straż nie chodziły. Tu, choć urwisko stromym było, zniżyć z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonymi kamieniami.

Podpojęne straże, niebytność komendanta – wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczki. W ciemną noc dżdżystą hrabina po męsku ubrana wysunęła się z wieży nie postrzeżona. Helm czekał na nią w trzecim podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie po cichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkakrotnego upadku oboje spuścili się wzdłuż bazaltowych słupów do podnóża. Na gościńcu nie opodał czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały, narobiła krzyku. Co żyło, zerwało się: komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku dostrzeżono otwór pod murem. Puściła się pogoń w tej chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z nimi co rychlej do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc, gdzie się schronić, za radą jej puścili się polami ku bliskim łąkom sądząc, że tam się ukryć potrafią. Ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił, spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zebrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie, lecz na strzał nadbiegli inni i mimo oporu wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny. Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy, do hrabiny Orzelskiej, o opiekę i łaskę. Nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieszony został do Drezn, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucje odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy Rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało ciżby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimo to ciekawych było wiele, gdyż historia młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który – jak opowiadano – w więzieniu kokardę jej całował, rażno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Okolo południa uderzono w bębny, wyszedł oddział wojska, wyprowadzono Helma. Oczy wszystkich skierowane były na pięknego, złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazji, idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufryzowanych. Kilka powozów z liberią wspaniałą ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił, aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze. Odkomenderowani żołnierze nabili broń, oficer, który miał dać znak do strzału, stanął. Ofiara już była gotową, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adiutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalazłby ludzi, kto by sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość. Wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczym i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, ciżba rozplynęła się z wolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nic się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nie tknięto jednak hrabiny ani ścieśniono tej małej części swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć w sumieniu swym, sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział, jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej, nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać.

Czuł on, że teraz kolej przyszła na niego, i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzałszy od tych, co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale, iż Wehlen życiem, a Helm przypłacił całą przyszłością swą szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszalałej niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowle, podziemia, chody, lochy nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tym, czy zręczniejszy mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby, osiąść czasowo w miasteczku i z wolna się przysposobić do uwolnienia hrabiny.

Po głośnym wypadku z Helmem jakiś czas wypadało nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać, iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy. W załodze na Stołpach miał towarzyszków wojskowych, znających sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić. Między innymi był tam i przyjaciel jego, niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka niepomiernej, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy, i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czymże się miała wszczać rozmowa, jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny czuwać ciągle musiano.

– E! – rzekł stary żołnierz. – Nie chcę ja sądzić, co drudzy robią, a zwłaszcza król Jego-mość, Pan Nasz Miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem tej srogości nad kobietą i tej obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jej zmienić nie mogło, ani więzienie, ani łązy i męczarnie.

– A gdybyście ją byli widzieli w blasku jej chwały jak ja, gdym przy dworze był – rzekł Zaklika – dopiero byście poznali niebezpieczeństwo. Myślicież, że król się lęka jej pistoletów? A! Nie, obawia się oczów jej i władzy, jaką miała nad nim, bo wie, że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jej by leżał, prosząc o przebaczenie.

Kaschau się rozśmiał.

– Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen, stary, z pozwoleniem, bałamut!

– Rad bym też ją zobaczyć – odezwał się Zaklika – bo to zawsze ciekawa rzecz taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

– Któż ci broni? We dnie jej nie wykradniesz! – rzekł Kaschau. – Idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymałszy to pozwolenie, Zaklika poszedł na wieżę Świętego Jana. Na drugim piętrze był pokój Anny Cosel. Gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpowiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok, którego w życiu swym nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel, ręką jedną na nim wsparta, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą, ogromną Biblią i dumiała. Ubrana była tak niezwykłym smakiem, iż Zaklika uląkł się, czy przytomną była. Miała na sobie suknie

szerokie, czarne, z rękawami długimi, pas, na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pargaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękną była w istocie, lecz niepodobną do owej Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jej rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona, słysząc kroki, nie oderwała oczów od księgi, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepionym w karty, jak posąg, trwając w osłupieniu. I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

– Duchem jesteś czy żywą istotą? – zapytała.

– Wierny sługa, przychodzę po rozkazy – rzekł Zaklika.

– Są więc jeszcze słudzy wierni i ja, niewolnica, mogę jeszcze rozkazywać komu?

– Mnie – odpowiedział Zaklika – dopóki żyję.

– Jakżeś się tu dostał? Tu już nikogo nie wpuszczają!

Zaklika na mundur swój ukazał.

– Po tamtych kolej na mnie – odezwał się – ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

– O, nie – odpowiedziała – wszystko w życiu ludzkim jest z góry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

– A dlaczegóż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrząsała głową.

– Dlatego, że ja w inny sposób będę wolną – rzekła. – Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnym przeznaczeniu, czytam je w tej księdze. Łaski nie ma na świecie, jest tylko konieczność żelazna, niezłamana, nieuchronna. Trzeba się jej poddać, ją badać i uczyć się jej; w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy zamknął usta Zaklice, nie wiedział, co mówić dalej.

– Zostaniesz tu? – zapytała Cosel.

– Sam nie wiem; mamli zostać? Powiedz pani, jam na wszystko gotów.

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

– Trzeba się wyroczni poradzić – rzekła – czekaj, nie tak!

Zamknęła kłamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwę, potem rozwarła *Biblię* nagle, spojrzała na prawą stronę jej, oczy padły na księgi Jozue rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

„I znowu rzekł im: «Nie lękajcie się ani się trwóście, ukrzepcie się i bądźcie mocnymi, tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciołom waszym, przeciwko którym walczyście.»”

Zamyśliła się.

– Tak, rozumiem – poczęła po chwili – mocną będę z tobą, ale nic poczynąć nie trzeba, a czekać głosu bożego. Ale jakże możesz ty tu pozostać?

Zaklika, którego ta *Biblii* wyrocznia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

– Starać się będę o to, gdy potrzeba – rzekł – w ten lub inny sposób dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku czy rzucić?

– Zrzucić tę liberię ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów – przerwała żywo Cosel. – Niewierni są poganie, bałwochwálcy, gwiazdokłóńce.

Znowu zamilkł Rajmund.

– Potrzeba mi niewielkiego czasu – rzekł ciszej po chwili – ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać, co mam, i przybyć do Stolpen, Kaschau, który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

– Kaschau? – spytała Cosel. – Jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła *Biblię* i zaczęła się przechadzać po pokoju.

– Wracaj więc – rzekła – ani się lękaj o mnie. Ja wiem, że z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z nim szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden człowiek, który mi służyś wiernie. Twoje przeznaczenie Bóg w nagrodę lub za karę splótł z moim, musisz cierpieć razem, a w chwili tryumfu pójdziesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić. Cosel, jakby przejęta czytaniem *Biblii*, zapomniała o tym, co ją otaczało. Zaklika, postawszy u drzwi i oznajmiwszy, że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

– Cóżes z nią mówił? – zapytał.

– Stałem u drzwi na próżno i rozmówić się nie mogłem – szepnął Zaklika. – Zastałem ją nad *Biblią*, czekałem dosyć długo, nie mogła przerwać czy modlitwy, czy zadumy; przyjdę raz jeszcze.

– Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił – dodał Kaschau – ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej. A jakżeście ją znaleźli? Zmienioną?

– Zapewne – odparł Zaklika, nie chcąc się z tym wydać, że ją później widywał – jakże nie ma nią być? Cosel królowa musi być odmienną w pamięci od Cosel niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli, chodząc po wałach i dokoła murów, a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie, w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przenocować. Usłużny gospodarz, Niemiec, widząc wojskowego, nadszakiwał mu wielce i chciał bawić opowiadaniem, lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz, gdy otwarto bramy, wrócił do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatkach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwyczajny i mowa odmienną, weselszy promień igrał na czole.

– Patrz – rzekła – to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! Matce odebrać jej własność. W godzinach długich niewoli myślą tylko odgaduję, jak porosły. Nie poznałabym ich pewnie, a one by się ode mnie odwróciły z przerażeniem. Prosiłam, by mi je choć widzieć dano! Niestety, dzieci to króla, nie moje! Powiedziano mi, że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot troje, tak moich, jak tylko dzieci matce być mogą, których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to? Rozumiesz, jak mi serce pękać musi? Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca Niebieskiego. Ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a nimi. Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci! A! Gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzuciłyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą, że nieżywa lub gorzej niż umarła, obłąkana, szalona.

Zaklice się łzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów, zamilkła.

– Idź – rzekła – idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb; powrócić powinienes i dotrwać tu.

Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i pod pozorem służby przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze, już nie zobaczył Cosel przy kwiatkach. Stała w górnym oknie, ubrana jak wczoraj, z książką w ręku, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając, jakie go tu losy czekać miały, Zaklika posłuszny, wróciwszy na kwaterę w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia.

Zabrał, co miał, i jednego dnia smutnej jesieni zajechał na gospodę do Stolpen, oświadczając gospodyni, iż tu na ustroniu myśli zamieszkać.

Trafiał się dworek do nabycia tanio i kapitan kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarowali.

XIII

W r. 1727, we trzy lata po nieszczęśliwej z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tym, co przeżyły, dawnym, spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegetowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tym ani się starając o to. Do jej smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jej znikali z tego pola lub ze świata. Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

Wpółśród tych ruin jeden tylko król August Mocny stał, zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jej nie mogąc.

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, na próżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniejszym sądziła pójść za męża. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselej zawsze na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwale nad więzy, co by dłużej krępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofia Dieskau, córka tajnego radcy Dieskau z Czeplina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król prędko za męża za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując, że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potem zakochał się August w Henriecie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wygnała ją do klasztoru, skąd później Stanisławski żoną ją wywiózł do Polski.

Po tych wszystkich przemijających zapalach nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henrietty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze, złotem szytym, z orderem Orła Białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania. Król przy niej odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojej, starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstenberg, który swym zakładem z Hoymem sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a później stał się jej najzjadlejszym prześladowcą, nie żył od dawna; z wielkich łask pana z wolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego, ministrowie, pierwsi przeczuwając, co go czekało, wyparli ze swej rady, odejmując mu wszelki czynny udział w państwa sprawach; król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu, jak z alchemią, bigoterią i myślistwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiej.

Ten, co namiestnikiem będąc, wszystkich z góry wiódł i przez panią Reuss całemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony marzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na

świat lepszy tak cicho, iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, było to przeżycie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którym Hülchen, Reuss, pani Reichenbach, jej siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały, znikł zupełnie. Rozpierzchnęło się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzód oddalony od króla, przebył w Szwecji. Za niego i za siebie czynną niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąśmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jej strąceniem. O ile sam Vitzthum był nie znaczącym, o tyle ona, pani Rachela, jak ją zwano, pracowała za dwoje. A przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawiała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jej ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiecej intrygi przeciw pani Przebendowskiej, którą Sasi dla ułatwienia sobie zwali panią Brebentau. W czasie poselstwa męża w Szwecji Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko, co miała, zebrała sama. Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtem, będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adiutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nie przyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, poważnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt kilka, St. Gilles – dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał, zaczął przeciwnikowi przymawiać; od słowa do słowa przyszło do łajania i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszość, zgromił Włocha i skazał go za obejście się grubiańskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles, odsiedziawszy trzymiesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i dostawszy się do Nadarzyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł go on nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział, i nazajutrz, dnia 13 kwietnia 1726 roku przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (ks. Lubomirskiej) był na kolacji, bawił się jak najwesелей i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potem jechał potajemnie do Nadarzyna, wzięwszy z sobą jednego tylko sekundanta, hrabiego Montmorency.

Z rana, między piątą a szóstą, stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkim męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strzelił i ugodził Vitzthuma tak śmiertelnie, iż trupem z konia się zwałił. W tejże samej chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. St. Gilles, nie wiedząc, co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze teatynów. Król, rozżalony, nakazał, nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gillesa odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtora żołnierza, w tej samej chwili St. Gilles za laika przebrany umknął na Berlin i Lipsk do Włoch.

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do rodzinnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta.

Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników.

Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genialnemu synowi, Maurycemu Saskiemu, marzył Flemming o księstwie kurlandzkim dla siebie, a o żenieniu pięćdziesiętosiemioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymie-

rze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną) a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się być na to małżeństwo, przyszłoby było do skutku.

Niecnny Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na sławie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu”, przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarcząc z Flemmingiem, nie rzucał kłamki dworskiej, choć król na niego patrzeć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam zawsze panował szal zabaw i potrzeba nienasycona rozrywek. Przybycie Orzelskiej pobudziło do nowych wystąpień, tak jak przed kilką laty ożenienie syna odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem.

Wpółród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazja sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych łaknął popisów.

W tym roku król wiosny pięknej w Pillnitz zażywał. Wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbarth towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

– A jednak – rzekł Wackerbarth – znam miejsce i kamienie, których by one nie wzięły; za to ręczę.

– Gdzie? – zapytał August.

Wackerbarth spojrzał na króla, zdawał się zafrasowany tym, że mu się to słowo wyrwało, i milczał.

– Gdzie? – powtórzył król.

– W Stolpen, na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nic nie mogą.

– W Stolpen! – zawołał August i twarz mu się okryła chmurą. – A, w Stolpen!

Była milczenia chwila, król się przechadzał niespokojnie, znać było, iż go jakaś fantazja dręczyła, której zadośćuczynić nie chciał czy nie mógł.

– W Stolpen! – powtarzał kilka razy. – Można by kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbarth spojrzał trwożliwie na króla, który, jakby ubodnięty tym wejrzeniem, zawołał:

– Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować?! Przecież zamku nie obalimy? A kilka strzałów...

Wackerbarth zmilczał, jakby czekając rozkazów i nie dowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przypisywać, okazać.

– Poślij waćpan do Stolpen – odezwał się – dwa działa, każ mi przygotować baterie na przeciw tych słupów; będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, z rana – dodał – póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne.

Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze mimo wszelkich przeszkód możliwych we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen. Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch niezwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnymi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką.

Kapitan wychylił z okna głowę, nie mogąc pojąć, co się stało, i sądząc, że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonii granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swym *Herr Jeses*, powtarzanym nieustannie, zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera, kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać, co się stało i skąd pośpiech był tak wielki.

– Król! Najjaśniejszy Pan! – krzyknął oficer pędząc ludzi. – Król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie!

– Król? w Stolpen?

– Tak jest i jeśli macie ludzi, ślijcie ich z łopatami, trzeba naprędce usypać baterie do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

– Gdzie?! – krzyknął zdumiony Zaklika.

– A! Gdzie?! Tu, na górę zamkową! – śmiejąc się powtórzył oficer. – Czyż mnie nie rozumiecie?

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił [się] co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! Król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tyłu, jakby na urągowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabiny! Włosy powstały mu na głowie, omackiem począł chwytać odzież, ubierać się bezprzymownie, machinalnie. Chciał biec, oznajmić jej o tym, przygotować ją, nakłonić do przeżycia tej próby, na którą miała być wystawiona.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się, że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosel ścisnął mu serce, łzy dobywały się z oczów.

– Król! Król! – powtarzał machinalnie. – A! To nie może być! W ostatniej chwili zawstydzi się, zboleje, nie przyjedzie. To nie może być! Co się z nią stanie?

Szarżało na dworze, gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały, pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone. Wiadomość, że król przybywa, jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miasta, z wiosek sąsiednich żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania baterii naprędce. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła. Konni krzyżowali się na drogach, wszyscy potracili głowy. Jedną baterię już sypać zaczynało w zwierzyńcu przy tak zwanej Röhrpforte, drugą na Hannewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns-Gärtchen).

Gdy Zaklika do bram przypadł na rozcież otwartych, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zamiatano, znoszono gruzy. Komendant chrypl od wołania, oficerowie nie wiedzieli, od czego poczynać. Około wieży Świętego Jana cała służba żeńska i męska hrabiny Cosel stała w najdziwniej ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała, sądząc, że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc, co się stało i co przygotowywać mogło. W otwartym oknie błada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po wschodach załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, cała drżąca.

– Król! – zawołała. – Król! A! Rozumiem! Król do mnie przybywa...

– Pani – przerwał Zaklika – król przybywa kul swoich dział na słupach u góry próbować.

Cosel się rozśmiała.

– Prosty, naiwny człowieku! – zawołała. – I ty w to wierzysz?! Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błdził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szukał pozoru. Chce mnie widzieć. On wie, że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić, jak dał słowo. Niech mnie ubiorą jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chcę być piękną! Chcę mu przypomnieć tę Annę, przed którą klękał. Król! – powtórzyła z zachwytem. – Mój król, mój pan!

I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stał niemy.

– Wołaj sługi moje – dodała – niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jej na białą szyję spadały, ujawnszy w dłonie, biegła po ciasnej izdebce.

– Wołaj mi sługi co prędzej! On może przybyć co chwila! A ja nie będę gotowa! Mój król! Mój pan... August!

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam siadł na wschodach i niemy, zbolały, półmartwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało. Liczono minuty, liczono sekundy, nielitościwe bicze smagały dla pośpiechu pracujących. Baterie rosły w oczach, ale i dzień rosł straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropione, dyszały wonią łąki rozkwitłe, cała natura, jak dziecię w kolebce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury w zamku jak w poruszonym osim gnieździe syczało, ruszało się, roilo.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawałki, starszyzna dobywała najświeższych rynsztunków. Komendant dowiedział się z przerażeniem, iż przeciwko obyczajowi z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież Najjaśniejszego Pana przyjąć czymś należało. Co tu znaleźć, co by ust pańskich było godnym? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się flaszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego? Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, godzien ust pana, a misy i talerze, i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczili obrusa, gospoda dostarczyła wiele, bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich, wrędcie usypanych bateriach. Było już po czwartej, czas upływał z szybkością przerażającą. Lada chwilę można się było spodziewać Najjaśniejszego Pana, który zapowiedział, że z Pillnitz do dnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów” wyrostka, aby mu dał znać, gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześniej celowali półkartauny tak, aby kule na pewno w słupy bazaltowe były. Zabawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazji musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś bajecznym oblężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczupłe swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W tej samej chwili burmistrz, ławnicy, mieszczanie, z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od spichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościniec. Na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku, ażeby powitać Pana biciem we wszystkie swe dzwony. W miasteczku, co żyło, świętecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu widny z daleka zbliżał się żywo, nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym kłusem dorodnego, pięknego, wspaniałej postaci mężczyznę. Za nim gonili adiutanci, szczupły dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu drugi orszak, jakby doganiając pierwszy, pośpieszał.

Milczenie głucho zaległo szeregi, oczekiwano. Coraz widoczniej rozeznąć było można niebieski ziustokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła Białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schylonym do samej ziemi, biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bęben i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomieszany, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia ku baterii przy Röhrpforte w zwierzyńcu i popatrzał chwilę, nie mówiąc nic; potem ruszył pod twierdzę na Hannevalde. Przed tą baterią najpotężniejsza masa czarnych słupów, jakby związanych w pęk ogromny, wznosiła się. Widać stąd było wieże, mury i okna Świętojańskiej Wieży, w których postać biała migiała. Ale król nie śmiał podnieść oczów. Po krótkiej chwili zawrócił do zwierzyńca.

W tej chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Drezna i towarzyszył królowi roztargnionemu, zasepionemu widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było, dał znak, przystąpili artylerzyści do dział i ogromny huk dał się słyszeć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyciło krzyk dziwny, jakby rozpacz i boleści. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszeć ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwróconą była na półkartaunę i bastion, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał skierowany na mur bazaltowy wprowadził wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryznięła się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją Najjaśniejszemu Panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy rosnące z ziemi, u stóp bastionu. Kula została strzaskana i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, znać dawniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyżej sterczące. Skutek był ten sam, kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tym miejscu, gdzie go trafiły. Słupy wytrzymywały. Za każdym strzałem pękające kule i kamienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia, przy Röhrpforte trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim też strzałem kawał rozbitej kuli, około sześciu funtów ważący, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na słodownię, przebijając dach, sufit i rusztowania aż do ziemi. Komendant, zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie Najjaśniejszemu Panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterii na Hannelwalde, król miał tej próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomna. Najprzód serce jej chwyciła nadzieja, że August stęskniony, dla niej tu przybywał. Ubrała z gorączkowym pośpiechem, z największym staraniem, patrzyła długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

– A, nie, to nie może być inaczej – szeptała – jestem pewna, przybywa do mnie. Mógłżeby strzelać do tych murów, w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki. A, nie! To koniec mojej niewoli, to mojego tryumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać było pillnitzką drogę i na niej Niederthor. Postrzegła tumany pyłu, serce jej biło, płakała. Wtem dały się słyszeć dzwony, bębny, król wjeżdżał; cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jej się, że go usłyszy na wscho-
dach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potem milczenie złowrogie – i strzał się rozległ; strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się jak wściekła, rozjuszona, z rozrzuconymi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce dygoczące ze wzruszenia odmawiały jej prawie posługi. Odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chusty, dobyła pistolet, który ją nigdy nie opuszczał, i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak obłąkana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z tej strony słychać było trzaskające strzały i skały gruchotane, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprostowała się, oczy jej pałały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekala.

Za każdym strzałem chwytala się za głowę i serce, jakby nie wierząc uszom, nie ufając oczom. Śmiech dziki błakał się po ustach, a łzy napełniały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło. I długo było cicho. Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąć pistolet.

Już prawie znużona tym oczekiwaniem paść miała, gdy na drodze pod oknem tętent konia dał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół, patrzyła.

To był on! On! August! Jechał sam, pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła. Podniósł głowę, stanął i rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał rwąc konia, który mu się wrywał. Hrabina wychyliła się ku niemu z okna, jakby się rzucić chciała.

– Królu! Panie! Litości!

August nie odpowiedział, Cosel się uśmiechnęła.

– Litości od ciebie się spodziewać, okrutniku nikczemny! Ty, co słowa łamiesz i karzesz za nie tych, co się o nie upominają! Litości od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czym serce ludzkie dla ciebie? Cosel niewolnica gardzi tobą, brzydzi się, przeklina! Ciebie i pokolenie twe, i kraj, i imię! Giń, nikczemny!

W tej chwili dobyła pistoletu i – strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech. Cosel padła. Król jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli, która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał, skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw, że potem, nie przyjąwszy śniadania u komendanta, chmurny natychmiast nazad do Pillnitz odjechał³.

³ *Bei dieser Gelegenheit haben Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66).*

XIV

Gdy Zaklika przerażony strzałem i hałasem wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dymił pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże nikomu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się stąd, iż o nim rozpowiadać nie należy. Nierychło, poruszona tym wypadkiem, hrabina wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona, iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jej był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw też, że wśród tej długiej, jednostajnej niewoli w umyśle jej chwilami czuć było jakby obłęd jakiś, jakby zwichnięcie i szaleństwo.

Na pozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i po tym r. 1727 nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. W rok po tym, mając przez Zaklikę znaczną sumę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała nie radząc się go, nie mówiąc mu nic, wyrwać, przekupując otaczających. Jednego dnia później jesieni spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrządzoną pomoc do wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sowicie, niezręcznie posiłkowali jej do tej ucieczki. Już była na drugiej stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty, usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwycono ją, odprowadzając nazad do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniano jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę później we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku, nie obudzając szczęściem podejrzania, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posądzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą niewolnicę wiadomości o obchodzoną świetnie, świetniej może niż kiedykolwiek, karnawale w Dreźnie z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał stąd do Seckendorfa. „Tutejsza magnificencja jest tak wielka, iż sądzę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem”.

Magnificencje te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i stąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającej się u feldmarszałka przyszli powitać przybywającego. Następne dni spływały na nużących zabawach, komediach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dziurków itp. Nie przeszkodziło zabawom, że wybuchł pożar w cekaunie zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sadzono się na karuzele, w których król występował po polsku, w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myślistwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka Wielkiego, który był nią mocno zajęty, a król, zazdrośny, wypłacał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc, Fryderyk mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfałszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czci ani wiary, oszukaństwo jest dlań jedynym prawem, własny interes a różnienie drugich – ciągłym staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła.”

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta najczulej się ściskano a trzpiotano. Jednego dnia król August z księżną Teschen grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopcy francuscy (żona księcia następcy), włoscy komedianci (Orzelska), górnicy (Rutowski i pani Manteuffel, z domu Błudowska), w ostatku chłopcy norwescy (feldmarszałek Flemming i żona jego, z domu księżniczka Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za pantalona, a Fryderyk Wielki – za norweskiego chłopca! Król szczególnie odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiędzy nimi jaśniał nabyty przed piętnastą dniami blisko dwóchsetkaratowy brylant najczystszej wody.

Odbyszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorffa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym co dzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebyciem tu przyjemnościami. Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, że w tym żadnej przyjemności nie czułem i powracam tak czysty, jak przybyłem”.

Zabawom tym nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühleberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały, który poeci opiewali, ale też i wyśmiewano się z niego po cichu. Miejsce na obóz samo, oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i w pień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dzieśięć jazdy polskiej i saskiej stało obozem – wszystko na nowo wyekwipowane i na francuski sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy *grands mousquetaires* konni, grenadierowie konni, gwardia konna, *spahi* i kozacy, a z piechoty – janczarowie i batalion lejbgwardii grenadierów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi zachwylił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeithen, w drewnianym, naprędcie wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterrenami, okrytym zewnątrz płótnem malowanym. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na chorągwi powiewało godło: *Otia Martis*. Oprócz pałacyku król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych, a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francji przybył nawet Maréchal de Saxe.

Więcej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańczono i spalono ogni sztucznych, niż popisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych podano sławny ów olbrzymi pasztet czy cia-

sto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedemnaście szefli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły płodny w nie August sam wynajdował i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchini sztychował później ku podziwowi potomnych historią mühlberskich cudów. Opiewał je König, poeta nadworny, a Fryderyk Wielki z nich szydził nielitościwie.

O wszystkim tym donoszono i rozwożono wiadomości po kraju, lud i słudzy je chciwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokradzko, bez czucia powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swej niedoli, a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dni szału i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklice: „Na ciebie kolej”. On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko – sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszłej zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał; czekał.

Jednego dnia, gdy Żydzi razem z innym towarem przynieśli jej hamburską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innymi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślanego, Cosel oburzyła się, oczy jej jak zwykle, gdy bywała poruszona, zaiskrzyły się, odczytała dziwnym stylem napuszonym opowiadanie, zmięła je i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł. Chodziła długo zamyślona.

– Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie? – zapytała po cichu.

– A, zawsze! – po prostu odparł Zaklika.

– Masz jaki sposób ratowania mnie?

– Będę go szukał.

– Żał mi ciebie, najwierniejszym mi byłeś – rzekła – ale nie żałuję siebie, gotowam zginąć sama. Muszę się stąd wyrwać, muszę!

Rajmund stał zamyślony.

– Potrzebujesz wiele czasu?

– Nie mogę się obrachować – odezwał się Zaklika – trzeba raz tak począć, aby dokonać, co się zamierzyło.

Skinęła Cosel, Zaklika wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał od dawna, wszystkie one najlepszymi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o ucieczkę dowiedziano. Należało tę obwarować, aby nie została odkrytą, aż gdy Cosel dostanie się za granicę. Potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonię.

Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość. Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdała mu się ta najlepszą, gdy jak najmniej spodziewać się jej mogli na zamku. Powiedział więc sobie: „We dnie”.

W bramach zamku ścisłej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabiny, do komendanta i mężczyźni nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straż by jej nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić na zwierzyniec do koni wierzchowych, które tu dosiąść mieli, i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się naówczas ze zwierzyńcem królewskim, konie miał w pogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał; nic lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabiny, poddając jej myśl swoją.

Chwyciła się jej gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą.

– Pierwszy dzień dżdżysty, nie ma czego zwlekać – zawołała – trzeba próbować! Jestem zdecydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wiać im gołą ręką; trzeba się więc uzbroić.

– Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebnym.

Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził co dzień, czyniono przygotowania. Przewidując, że tu już nie powróci, sprzedał za bezcen swój dworek i spieniężył, co tylko było można.

Na ostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się, że na dni kilka stała się słota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się, wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy, iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było w pogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona Cosel posunęła się ku pierwszej bramie Świętego Donatha i nikt na nią nie zwrócił uwagi. W drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił nic nie mówiąc.

W kilka minut potem prawie podobnie okryty Zaklika spiesźnie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo. W drugiej żołnierz zaczął mruczeć:

– A wiele was tu jest? Tylko co jeden, już drugi?

Zaklika odsonił mu twarz.

– Diabeł cię zna – odezwał się żołnierz – tylko wiem, że jeden wszedł, a dwóch wychodzi.

– Jakich dwóch?

– Juści, zem nie ślepy.

Zaklika, nie zważając, posunął się ku wyjściu, żołnierz go zatrzymał.

– Ależ mnie tu wszyscy znają – rzekł śmiejąc się – czegoż chcecie?

– Idź się tłumacz do komendanta, a nie, to cię nie puszcza.

Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Poskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczano go.

W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierz mruczał.

– Cóżes do niego upatrzył? – zapytał wachmistrz.

– Na straży muszę liczyć, ilu wchodzi, a ilu wychodzi; jeden w takim płaszczu wszedł, a dwóch ich wyszło. I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był. A nuż Cosel? – dodał śmiejąc się.

– Ano, pleciesz! – rzekł niespokojnie wachmistrz. Stanął, pomyślał i poszedł ku wieży Świętego Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzecim też nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznym było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie ulegało już wątpliwości, iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzieliwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogoń zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanym jej miejscu stać miały, omyliła się w pośpiechu i zbłądziła. Zaklika dobiegł do nich, gdy jej jeszcze nie było. W rozpaczę puścił się szukać, nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słyszeć było.

Straciwszy czasu niemało, spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu; pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel, odzyskawszy przytomność umysłu, rzuciła się na siodło, Zaklika chwycił konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł

się bezbronną dać wziąć Zaklika i wołając na nią, aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i poczciwy Zaklika, rażony kulą w samo czoło, jęcząc powalił się na ziemię. W tejże chwili żołnierz chwycił konia hrabiny, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci, i poddać się było koniecznością.

Komendant nadbiegł, gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi, a trzeci ranny dogorywał.

– Pani hrabino – zawołał – licz pani, ile życia ludzkiego jej wycieczki daremnie kosztują.

Na to nie odpowiedziała nic hrabina.

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Bładymi usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi, gdzie był złożony powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nieprędko wyszła. Siedziała po całych dniach zanurzona w *Biblii* i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najojętniej na jej los patrzyli. Zaklice kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

– Mnie go nikt nie sprawi – rzekła – nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel w chwili, gdy się to działo, miała już lat czterdzieści dziewięć. Piękność jej, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom. Była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od tej pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała *Biblię*, studiowała kabałę, kazała sobie księgi hebrajskie tłumaczyć: zabijała czas, nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził, naśladowując pilnie pierwowzór swój – Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepychy ustąpiły nieco fantazji budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno, drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na Starym Rynku. Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski musieli wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król Pałac Japoński, wprzód Holenderskim zwany. Zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta. Stał już piękny Zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem Zwinger, mają bajeczną historię swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycję wysłał do Afryki, jako balast wrzucono w okręt czterysta ściętych drzew, które do robót towarzyskich miały być użyte. Spróbowano je posadzić, większa ich część ożyła.

W okolicy Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pillnitz itp.

W roku 1731 przedstawiono z wielkim powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w której występowała po siedmkroć piękna Faustyna, słynna śpiewaczka, a po siódmym przedstawieniu mąż jej uznał właściwym udać się do Włoch dla dalszego muzycznego kształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw, o które by się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierziły, wszakże sejm saski dla samej reprezentacji zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu, a Lubomirski, Sapieha, Czartoryski i podkanclerzy Lipski byli świadkami, jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu, i zamieszkał w Wilanowie. Tu obchodzono świętego Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obchodzony był w Dreźnie. Król znowu ruszył do Polski, skąd dwanaście par żubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły.

Najjaśniejszy Pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z panem majorem d'Argelles, który paszkwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opo-

liczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreźnie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryskiego i wiele innych budowli. Wilanów też dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomogło to jednak wcale na chroniczną chorobę i sejm został zerwany. Szlachta wcale się na królu nie znała, a król też cierpieć jej nie mógł. Pocieszając się jechał August z Friese-nem i Brühlem oglądać gmachy, które dwa tysiące robotników wznosiło: piramidgmach, Ja-poński Pałac, koszary, kościół, twierdzę. Król się starzał, choć chciał zawsze młodego uda-wać. Jeszcze w roku 1697, gdy padł był, popisując się przed księżną Lubomirską, stłukł sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się szanować, o czym wcale nie myślał. W roku 1727 mu-siano zgangrenowany palec u nogi obcinać, a Weiss chirurg, który się podjął operacji, głowę ważył, gdyby się nie udała. Powiodła się jednak szczęśliwie, pomimo to z trudnością mógł się już na nogach utrzymać i rozmawiając z damami, na taborecie przysiadł.

W ostatnim roku w Lipsku jeszcze obchodził ulubiony swój jarmark noworoczny, oglądał przyproawdzone konie. Potem karnawał uroczyste w Dreźnie otworzył, a że sejm się zbliżał, ruszył do Warszawy na dzień 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wysiadaniu spowodowały gangrenę i we trzy dni król nie żył. Dziwna rzecz, że w takim życiu do lat sześćdziesięciu trzech mógł wytrzymać.

Przywodziliśmy wyżej wiele zdań o Augustcie mniej więcej zgodnych w oceniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie hrabia Schulenburg wezwany przez Voltaire'a napisał o Augustcie II:

„Pewną jest rzeczą, że król August polski był jednym z monarchów najwykształceńszych, jakich sobie wyobrazić można (*vollendesten*), posiadał sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar roz-różniania największy; nadzwyczajną zręczność i energię, był bardzo pracowity i tak pilny (?) jak prywatny człek, który się chce czegoś dobić; kto go w różnych okolicznościach nie wi-dział, ledwie by mógł uwierzyć, do jakiego stopnia umiał udawać i dysymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego ro-dzaju fortyfikacje znał dobrze, napaści i obrony twierdz; – wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcje, na ostatek znał artyleryjską naukę jak ci, co się jej z powołania oddają.”

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie, między wyznaniem protestanckim a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać, na lat kilka od-dalony był z Saksonii i w tej podróży przez jezuitę Salerno ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiero 1717 roku ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym.

Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austriacką, Marią Józefą. Po siedmioletniej niebyt-ności młody kurfirst powrócił do Drezna z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II. Przypuszczano jednak raczej, że drugi z nich będzie owym wszechwładnym mini-strem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z Warszawy do Saksonii i obwieszczano ją po ca-łym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stała długo niema i osłupiona, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się płacząc na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy nie mogły jej niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jej ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni z Drezną przybył niejaki Hennicke, który później tak świetną zrobił karierę. Kazał się zameldować do hrabiny Cosel w poselstwie od kurfirsta. Siedziała jak zwykle nad książkami swoimi, gdy się ukazał w progu.

– Jestem przysłany do Waszej Ekscelencji – odezwał się – od Najmiłoścowszego Pana, aby jej dobrą nowinę zwiastować, żeś pani wolną i możesz, gdzie się jej podoba, zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

– Ja? wolną? – zapytała. – A na cóż mi dziś wolność? Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzież pójde? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! Z kim żyć będę? Nikt mnie nie zna! Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hrabinę Cosel, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

– A! Nie, nie! – powtórzyła. – Nie, wolności nie chcę, nie mam gdzie się podziać. Proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie łzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzie indziej. Zostawcie mi ten kąt, proszę; nie pożyję długo.

Hennicke odpowiedział tylko, że Najmiłoścowszemu Panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyślić, że dozwolono jej tu pozostać. Hrabina w roku 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży Świętego Jana i przytykającym do niej ogródku. Głównym jej zajęciem i ulubionym czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabala. Otaczała się też ciągle Żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensja jej wynosząca trzy tysiące talarów starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepocziwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jej i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małej ilości. Po śmierci Cosel kilkadziesiąt sztuk tych monet znaleziono w jej fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowej. Miejscowych urzędników, duchownego i innych zwała: „ty”. Osobom, które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę”. Po siedemnastu latach niewoli za życia Augusta II przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanie szląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godne uwagi, że pierwszy strzał, który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonii, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzeć. Fryderyk Wielki w czasie wojny wypłacał regularnie hrabinie Cosel jej pensję, ale w tej lichej monecie, którą zwano efraimitami.

Z gniewu hrabina ćwieczkami do ścian poprzybijała wszystkie te talary.

XV

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austriaków książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszym widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzód była ona protestantką jak hrabina Königsmarck i Maréchal de Saxe. Oświadczyła też księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła była wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła, ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina *Biblię*, która jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nie przyozdabiało. „Szukała tego skarbu – pisze książę de Ligne – tak uroczyście, z taką troskliwością, żem sądził, iż chyba mnie najdroższymi diamentami obdarzy.”

Książę de Ligne widział ją ośmdziesiąt dwa lat mającą. Wkrótce otrzymał od niej list, ledwie dający się wyczytać a trudniej jeszcze zrozumieć, i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu orientaliście, superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłumaczyć *Pirke aboth*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłumaczenia innych traktatów, płacąc mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz, zaciekawiony, chciał wiedzieć, dla kogo to robi. Powiedziano mu, że listy jego, adresowane do Drezna, posłaniec ze Schmiedefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nie życiono.

W końcu ów nieznany korespondent zaprosił pana Bodenschatza do Drezna, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go w istocie w Dreźnie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w pełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobiecą twarz poznał zaraz Bodenschatz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała o różne objaśnienia Talmudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hrabina Cosel Bodenschatza miała się starać przez ojca swej synowej, hrabiego Holzen-dorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny książę Bayreuth zażądał.

Bodenschatz zraził się też tym, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękna, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Na ostatek, w roku osmdziesiątym piątym życia, dnia 2 kwietnia 1765 roku zmarła na zamku w Stolpen. A współcześni zostawili świadectwo, iż zwłoki jej zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności, którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą, pogrzeb także. Dnia 5 kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel, urodzonego w roku 1712, generała jazdy, szefa gwardii i pana na Zaborze nad Odrą w Szląsku (pod Zieloną Górą). Jego to pałac nosił imię Cosel. Cosel żonaty był z panną Holzen-dorf i zmarł w roku 1770, zostawując jednego syna, który zszedł bezpotomnie.

Córka jedna, starsza, Augusta Konstancja, wydana za hrabiego Friesena, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza, Fryderyka, urodzona w 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystiana Moszyńskiego. Mąż jej zmarł w roku 1737, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla ona panowała nad Saksonią. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

Takie były losy tej kobiety, którą najsurowiej sądząc na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowiała, niepodobna jej odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swej dostojności wyrzekła, Cosel wołała niewolę, męczarnie niż wyrzeczenie się tego, co zdawało jej się honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niej powiedzieć.

Miłość jej dla Augusta, który nigdy żadnej kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłędach biednej kobiety czuć umysł czynny, nie mogący wyżyć bez zajęcia i sięgający najwznioślejszych zagadnień, które by niezrozumiałe jej życie wytłumaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końcu potrzebowali zapewniać czytelników naszych, iż cała ta historia hrabiny Cosel, we wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nic do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonii i z profilu. Król August nie ma w niej pięknej roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów pełnych charakteru, które by dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziaływały na kraj nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie; widzimy tu rodziny niegdyś najzaczniejsze, ubiegające się o piętno sromotne łask królewskich: Bielińskich, Denhoffów, Pocięjów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie z Augustem przychodzą do Polski, ale z saską dynastią nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczepi się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancja jego na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy; nie widziane dawniej w rodzinach polskich zgorszenia przechodzą nie spostrzeżone, społeczność chwieje się w posadach. Smutny to widok, tym bardziej że tak na pozór wesoła i świetna ma fizjonomię.

Nie mniejszymi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego – rozrzutność samowolną, drugiego – nieudolność i opieszałość zdumiewającą. Naśladowca Lu-

dwika XIV zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom o koronę polską, wojnom, dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle, co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnotrawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzód jeszcze, nim Brühl począł wysysać Saksonię, Hoymy, Beichlingi, Fürstenbergi wyciągnęli z niej dawną jej zamożność. Ani Sasi nam, ani my im nic do zazdroszczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazji Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychlej obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ją Niemiec odrodzić mogła – nam na to dłuższego dla wielu a wielu przyczyn potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi, wspinając się wieżami swymi do góry. Zachował jeszcze dosyć cało i wieżę Świętego Jana, pokoje hrabiny Cosel, jej ogródek – wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizjonomię nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nich to strzelał August II, niepomny, że tam wśród nich zamknięta siedziała kobieta, której zatrul życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wie.

KONIEC